

Na Wielkanoc: Zygmunt Bauman, Mirosław Bałka, Krystyna Janda,  
Marek Dyjak, Robert Kuśmirowski, Joanna Szczepkowska

**PRZE  
KROJ**

Rozmowa z ks. Jackiem Stryczkiem → 6

# Spowiedź last minute

nr 12 (3531), 25 marca 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)  
[www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)



DEKS  
1424

ISSN 0033-2488

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

12 >


# i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

 RZECZPOSPOLITA

 rp.pl / zakupy

## PRZEKROJ

W tym tygodniu nie piszemy...

...o tym, że diabeł w bijącym rekordy popularności amerykańskim serialu „Biblia” wygląda jak nieco starsza i zmęczona wersja Baracka Obamy. Producenci telewizyjnego przeboju tłumaczą się teraz gęsto deklarując, że bardzo kochają prezydenta, a podobieństwo jest dziełem przypadku. Albo samego Lucyfera.

...o nowym talk-show, zatytułowanym „Szpilki i kalosze Mai Popielarskiej”. Już sam tytuł zachęca nas do oglądania tego pełnego głębokich rozmów o świecie, życiu i spulchnianiu głębi programu. Chwasty w telewizji kielkują na wiosnę.

...o „Super Detektywie”, cotygodniowym dodatku do „Super Expressu”, który zadebiutował na rynku 21 marca. Pierwszy numer poświęcono „Tajemnicy śmierci Madzi”. Przepraszamy, zemdlilo nas.

...o sprawy ubiegłorocznej strzelaniny w szkole w Ohio. 18-letni zabójca trzech osób pojawił się w sądzie na ogłoszeniu wyroku w koszulce z napisem „killer”, a rodzinom ofiar pokazał Środkowy palec. Ręce opadają.

...o polskich pasażerach na pokładach samolotów Qatar Airways. Niedawno uruchomiono bezpośrednie połączenie Warszawa – Ad-Dauha. Teraz Ambasada RP w Katarze musi przeproszać za rodaków, którzy w przestworzach palą papierosy, nadużywają alkoholu i są arogancy wobec personelu lotniczego. Nie będzie okłasków przy lądowaniu.

...o zimie. Nie chcemy już o niej pisać, nie chcemy jej widzieć ani przeżywać. Pragniemy jej definitywnego końca. Szybkiego. Najlepiej dziś.

## NA POCZĄTEK

ZUZANNA ZIOMECKA



FRANIEK MAZUR (2)

Gdyby nie rozsądek – którego podszepci sprawił, że odrzuciłam swój pomysł – wywaliłabym z tego numeru wszystkie teksty nawiązujące do religii katolickiej w ramach ostentacyjnej laicyzacji mediów.

Za sprawą podania się do dymisji jednego szefa tej organizacji i przejścia sterów przez nowego od trzech tygodni przedstawiciela Kościoła katolickiego dominują dyskusje publiczną. I teraz jeszcze święta! Zanim ktokolwiek się obrazi, niech postawi się w mojej sytuacji. Gdyby tematem de jour były wybory nowego kierownika klubu, do którego nie należycie, nie aspirujecie i który w gruncie rzeczy bardziej was uwiera, niż interesuje, też mielibyście ochotę stworzyć sobie azyl. Wiem, że jestem raczej w mniejszości, więc o świętach i papieżu redakcja przygotowała mądre

MARCIN PROKOP



Gdyby nie Zuza, której niespecjalnie spodobał się ten pomysł, najchętniej dałbym na okładkę tego numeru Bogusława Lindę z twarzą wykrzywioną w charakterystycznym grymasie i tytułem: „Co ty, k..., wiesz o Wielkanocy?”. Bo gdyby zapytał tzw. statystycznego Polaka, dlaczego właściwie raz do roku maluje jajka w fantazyjne wzory oraz co ma z nimi wspólnego zając siedzący w koszyku obok baby drożdżowej, okazałoby się, że nie ma zielonego pojęcia, skąd wzięły się te i inne elementy świątecznego ceremoniału. Co więcej, nie jeden z tych, którzy wychodzili oburzeni z seansu „Pokłosa”, otworzyłby

ciekawe teksty, którymi możecie się raczyć do syta. Jednak poszukujący wytchnienia od tematu lekturę tego numeru „Przekroju” mogą zacząć od strony 32, od tekstu o vlogach, który zamówiliśmy z czystej i szczerzej ciekawości. Oraz, nie ukrywajmy, z głębokiego przerażenia. Jak to możliwe, że liczba wyświetleń filmów amatorskich, na których nieznany facet gra w grę komputerową albo nieznana kobieta maluje sobie rzęsy, przewyższa nakłady profesjonalnie przygotowanych magazynów drukowanych?! Analiza, czym są vlogi i w jakim celu dziesiątki tysięcy osób je oglądają, okazała się błyskotliwą diagnozą współczesnych mediów klasycznych – sztucznych, odrealnionych i męczących dla odbiorców. Na szczęście na końcu tego wstrząsającego dla mnie wydania jest to, czego potrzebują wszyscy – wierzący, ateiści, vlogerzy i redaktorzy – uzasadnienie medyczne, by położyć się do łóżka i zaciągnąć kołdrę na głowę (str. 68). Oby do wiosny!

szeroko oczy ze zdumienia, gdyby się dowiedział, że niektóre wielkanocne obrzędy celebrowane w katolickich domach przywędrowały do nas z kultury żydowskiej. Nie wspominając już o rytuałach mających korzenie jeszcze w pogaństwie (str. 16).

Współczesność również zdaje się dokładać swoje trzy grosze do wielowiekowej tradycji. Choćby dzięki takim osobom jak ksiądz Jacek Strzyżek, który wyprowadził wielkanocną spowiedź z kościelnych naw do supermarketów, a brewiarz odmawia z iPada (str. 6). Życzyłbym tylko sobie i Wam, żeby od majstrowania przy świątecznych zwyczajach powstrzymała się pogoda. W Lany Poniedziałek wolę jednak pobiegać z wiaderkiem, niż obrzucać się śnieżkami.

RACZKOWSKI



**AKTUALNOŚCI**

- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Rachunek sumienia z tabletem w rękę  
Z księdzem Jackiem Stryczkim o prawdziwym sensie spowiedzi rozmawia Hanna Rydlewska
- 14 → **ŚWIĘTA** Wielkanocne jaja programistów Piotr Kościelniak

**GRUBE SPRAWY**

- 16 → **OBYCZAJE** Wielkanocne pobudzenie Mike Urbaniak



- 20 → **WIELKANOC** Pasja człowieka dzisiejszego Jacek Marczyński
- 24 → **BEZINTERESOWNOŚĆ** Lekarze na służbie O pracy z bezdomnymi opowiada dr Maria Sielicka-Gracka
- 28 → **TEOLOGIA WYZWOLENIA** Papież, który zawstydzą Kościół Jarosław Makowski
- 32 → **YOUTUBE** Vlognation Sylwia Kawalerowicz
- 36 → **SILNE ZWIĄZKI** Wielka wpływowa miłość Olga Świącicka
- 40 → **CZARNOBYLSKA KATASTROFA** Postnuklearna modlitwa  
Z Joanną Szczepkowską rozmawia Adam Radecki
- 44 → **NASZ TYP** Nabuzowany refrenista Z Markiem Dyjakiem po meksku rozmawiają Bartosiak & Klinka

**KULTURA**

- 48 → **SPOTKANIE** Bauman i Bałka Fragmenty książki
- 54 → **TEATR** Wszystkie kobiety Krystyny Jandy Mike Urbaniak

- 58 → **WYSTAWA** Wysokie napięcie, czyli spiszek elektryczny  
Stach Szablowski pisze o nowej wystawie Roberta Kuśmirowskiego
- 62 → **FILMY** Kino w czasach kryzysu Dorota Chrobak
- 64 → **MUZYKA** Historia pewnej (widowskowej) kariery  
Angelika Kucińska



- 66 → **LITERATURA** Dyskretny urok parowozu Cezary Polak o „Rzeczach niepospolitych”

**ROZMAITOŚCI**

- 68 → **SEN** Nocne samobójce Monika Maciejewska
- 72 → **MODA** Doczekać dyplomu Ewa Panewka, Wanda Dysk
- 74 → **PRZYRODA** Oczko się otworzyło temu misiu Jerzy Ziemacki
- 77 → **PO-PATRZ** Zejdź z tego statku Kuba Dąbrowski
- 78 → **KUCHNIA** Moc jaj Aga Kozak
- 80 → **WINA** Jajo czy cura? Wojciech Bońkowski

**FELIETONY**

- 13 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Zemsta na Cyprze
- 15 → **MAX CEGIELSKI** PRL trademark
- 60 → **MACIEJ NOWAK** Herody polskie

RACZKOWSKI



**PRZEKROJ**

**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,  
22 463 03 00, www.przekroj.pl,  
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

**Redaktorzy naczelni:**  
Zuzanna Ziomecka  
Marcin Prokop

**Zastępcy redaktorów naczelnych:**  
Hanna Rydlewska  
Monika Brzywczy  
(redaktor działu Kultury)

**Redaktor działu Grube Sprawy:**  
Anna Gwozdowska

**Redaktor:**  
Grzegorz Sobaszek

**Sekretarz redakcji:**  
Katarzyna Czarnecka

**Współpracownicy:**  
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,  
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,  
Angelika Kucińska, Wojciech  
Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska,  
Cezary Polak, Marek Raczkowski,  
Marianna Saska, Karolina Sulej,  
Stach Szablowski, Mike Urbaniak,  
Jerzy Ziemacki

**Projekt graficzny:**  
Magdalena Piwowar

**Pracownia graficzna:**  
Andrzej Figatowski

**Fotoedycja:**  
foto@przekroj.pl,  
Dorota Majka-Czarnecka

**Korekta:** Dominika Stepien,  
Agnieszka Ujma

**Strona internetowa:** KRCDMedia.pl

**Wydawca:** GREMI MEDIA Sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

**Promocja i marketing:**  
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora  
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska  
(p.berska@rp.pl)

**Biuro Reklamy i Ogłoszeń:**  
GREMI MEDIA Sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;  
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;  
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;  
reklamainfo@presspublica.pl

**Dyrektor Biura Sprzedaży  
Korporacyjnej Witold Trzcinski**  
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencyjnego  
i Magazynów Filip Weichert**  
tel. 22 463 01 88



**PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”**  
Prenumerata redakcyjna:  
Cena prenumeraty 2013 r.:  
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł  
Zamówienie na prenumeratę należy  
składać e-mailem:  
prenumerata@przekroj.pl  
Dodatkowe informacje  
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

**Prenumerata kolporterska**  
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803  
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro  
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18  
www.prenumerata.ruch.com.pl  
urzędy pocztowe

**Prenumerata na e-Wydania:**  
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,  
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl  
Dostęp na stronie www i wersji na iPad  
Prenumerata na iPad przez App Store  
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,  
rok – 19,99 €

**Prenumerata na Android**  
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,  
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł  
Dostęp do serwisu oraz e-wydanie  
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,  
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł  
Informacje: serwisypłatne@rp.pl,  
tel. 22 46 30 066

**Okladka:**  
Magdalena Piwowar

# Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów.  
Sprawdzony program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



Pobierz program  
[www.rp.pl/pit](http://www.rp.pl/pit)  
infolinia 801 15 15 15

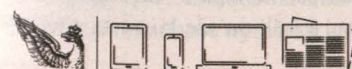
Wpisz kod: **RZ2012PIT**  
a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy



Partner projektu:



ROZMAWIA HANNA RYDLEWSKA, ZDJĘCIA PIOTR GUZIK

## Rachunek sumienia z tabletem w ręku

– Obecnie naturalnym środowiskiem człowieka jest marketing, a podstawową religią konsumpcjonizm – mówi **ksiądz Jacek Stryczek**, duszpasterz akademicki, społecznik, pomysłodawca i prezes Stowarzyszenia Wiosna. Wstawił się licznymi happeningami, które miały wyrwać ludzi z duchowego letargu, na przykład w okresie przedświątecznym ustawił konfesjonał przed galerią handlową w Krakowie. W Wielkim Tygodniu, gdy zgodnie z tradycją katolicy masowo idą się spowiadać, pytamy księdza Stryczka o prawdziwy sens wyznawania grzechów.

**Przed naszym spotkaniem uprzedził mnie ksiądz, że możemy rozmawiać o duchowym wymiarze spowiedzi, ale nie będziemy – nawet ogólnie – mówić o tym, z czego Polacy spowiadają się najchętniej. Dlaczego?**

Tajemnica spowiedzi polega na tym, że ktoś, kto przychodzi do konfesjonału, ma prawo do dyskrecji. Czasami widzę w telewizji psychoterapeutów, którzy opowiadają o przypadkach ze swoich praktyk i wyobrażam sobie pacjentów słyszających własne opowieści przetworzone na potrzeby cudzej rozrywki. To musi być śmierć dla człowieka, który i tak boryka się przecież z problemami psychicznymi. Uważam, że jeżeli my, księża, stracimy tajemnicę spowiedzi, zgubimy coś najcenniejszego. Konfesjonał to wyjątkowe miejsce – można do niego przyjść, wyrzucić wszystko, co się w sobie nosi. Oczyszczyć się.

**W ubiegłym roku mówił ksiądz o spowiedzi w „Gazecie Krakowskiej”: „Coraz częściej przychodzą osoby, które tak naginają zasady, że to już nie jest katolicyzm. Nie mogę im dać rozgrzeszenia i nie chcę ich nawracać na siłę”. Co to znaczy „naginają zasady”?**

Opowiem o hipotetycznej spowiedzi. Załóżmy, że ktoś mówi: „Nie odma-



Ks. Jacek Stryczek w konfesjonał pod Galerią Krakowską nikogo nie spowiadał. Chciał tylko przypomnieć ludziom o tym, że czas zmarnowany na zakupy mogliby spędzić w kościele.

wiałem paciorka, zanieczyściłem spowiedź”. Jako ksiądz mam obowiązek zbadać integralność spowiedzi, czyli sprawdzić, czy wszystkie obszary, które są dla Boga ważne, zostały uwzględnione przez tego, który się u mnie spowiada. Więc pytam: „Czy w ogóle chodzisz do kościoła?”. A on mówi: „Tak, chociaż muszę księdzu powiedzieć, że nie lubię niedzielnych mszy świętych, źle się podczas nich czuję, tam jest wielu ludzi, więc chodzę do kościoła zwykle w tygodniu, a w weekendy jestem w górach i tam się modlę”. Na co ja odpowiadam: „Wiesz co, szanuję twoje poglądy, jednak

mój Bóg mówi, że trzeba być w niedzielę w kościele. Twój mówi, że nie, a ja nie mogę spowiadać niekatolików”.

Ludzie mają prawo tworzyć sobie własną religię – nie ma już takiego świata, w którym księża gonią „odszczępieńców” – ale też niech nie oczekują oni wówczas udziału w katolickich obrzędach. W Europie do dzisiaj jest 80 proc. ludzi, którzy deklarują się jako wierzący, ale praktykuje mało kto. Ludzie tkają własne poglądy z różnych informacji i na dodatek są przekonani, że Bóg ich kocha. W ostatniej książce papież Benedykt XVI zadał pytanie: „Czy Bóg kocha wszystkich ludzi?”. Odpowiedź jest jednoznaczna – nie, kocha tych, w których ma upodobanie.

**Myslałam, że Bóg kocha wszystkich ludzi, a najbardziej tych, którzy błędzą?**

Jednak nie. Benedykt XVI nie napisał co prawda wprost, że Bóg kogoś nie kocha, tylko przeprowadził wywód, z którego wynika, że Bóg kocha tych, w których ma upodobanie. Czyli Bóg daje szansę wszystkim, ale jak ktoś z niej nie korzysta, to się z nim dalej nie koleguje. To jest tak jak w związku – daje się komuś szansę, a jeśli on nie korzysta z tej szansy,

nie angażuje się dostatecznie w relację, to po prostu związek się kończy.

**Dlaczego osobista spowiedź jest tak ważna w katolicyzmie?**

Najważniejszą modlitwą chrześcijan jest medytacja oraz spotkanie z innym sposobem myślenia. Czytam Biblię i zastanawiam się nad tym, czy Bóg myśli inaczej niż ja. Ze względu na chrześcijan powstało pojęcie osoby. W 325 r., na soborze w Nicei, próbowano połączyć to, że jest jeden Bóg – co było wielkim odkryciem judaizmu – z tym, że Jezus objawił, że jest Syn Boży, Duch Święty i Bóg Ojciec. Dla stworzenia idei Trójcy Świętej potrzebne było zdefiniowanie osoby. Osoba określa ową odrębność, jest zdefiniowana jako byt relacyjny. W chrześcijaństwie interesujące jest to, że Bóg jest inny, inaczej myśli i coś dla mnie z tego wynika. Spowiedź jest tego naturalną egzemplifikacją – spotykam się z człowiekiem, który myśli inaczej niż ja.

**W akcie spowiedzi zawiera się element świadomego upokorzenia. Muszę przeprowadzić rachunek sumienia, wypunktować własne słabości, a potem wyznać je księdzu. Czemu ma to służyć?**

W spowiedzi nie ma upokorzenia. Ona opiera się na budowaniu relacji z Bogiem, a nie na samobiczowaniu. Jeśli narzeczona zdradziła, oczywiście może być zadowolona z siebie, ale może też zrozumieć swój błąd i próbować go naprawić. Nie biczować się, ale działać. I tu zaczyna się rewolucja, bo nasza cywilizacja rozplywa się w samozadowoleniu. A przecież to, że jestem zadowolony z siebie, nie znaczy, że druga osoba będzie chciała ze mną być. Właśnie teraz prowadzę rekolekcje dla małżeństw i dla mnie istotna jest ta wzajemna atrakcyjność, staranie małżonków o to, żeby imponować sobie nawzajem mądrością, charakterem, osiągnięciami. „Jeśli zrobisz to i to, mogę z tobą być” – rzadko tak stawia się sprawę w związkach. Zazwyczaj „kupujemy” drugiego człowieka bezwarunkowo. Szkoda, bo stawianie wymagań jest



ły się banały, które stały się herezją. Na przykład „opcja fundamentalna”, w myśl której jeśli powiesz Bogu, że go kochasz, to cokolwiek zrobisz, już nie grzeszysz. Opcja ta zrodziła się po Soborze Watykańskim i w duchu ruchów hipisowskich 1968 r. Ideologia dzieci kwiatów głosiła, że najważniejsza jest globalna miłość. Ludziom powiedziano, że wystarczy, żeby mieli dobrą wolę i kochali, również Boga, więc przestali się przesadnie starać. Co się dzieje, gdy rodzice przestają dbać o dziecko, chociaż je kochają? Nie muszą chyba odpowiadać. Rozumiem, że chrześcijaństwo jako globalna religia wymaga ponownego przemyślenia, nawet kardynał Dziwisz po wyborze nowego papieża powiedział, że potrzebna jest reforma Kościoła, ale nie dajmy się zwariować. Uważam, że owej reformy nie powinniśmy zaczynać od rozważań nad zniesie-

potrzebne i rozwijające. Czymś takim jest też spowiedź, która wydobywa z człowieka to, co najpiękniejsze.

**Na Zachodzie katolicy coraz częściej uchylają się od spowiedzi osobistej i wyznają winy Bogu na przykład w ramach zbiorowych modlitw. W Polsce zaś tak zwana spowiedź uszna ma się dobrze.**

Odejdźcie od osobistej spowiedzi katolików na Zachodzie może być efektem tego, że w nauczaniu Kościoła, a bardziej – niektórych osób, pojawi-

niem celibatu, ale od przegadania spraw najważniejszych, istoty chrześcijaństwa.

**Czyli ten zwrot w stronę ascezy i podstawowych chrześcijańskich wartości, którego się można spodziewać po papieżu Franciszku, podoba się księdzu?**

Jeszcze nie znam obecnego papieża, więc trudno mi to ocenić. Widać, że na drodze kapłańskiej wybrał pewien rodzaj prostoty, który dla mnie jest czymś naturalnym. Myślę, że to nie jest żadna strategia. Ja też mam trudności z pewnymi rzeczami, z tą sferą materialną.



Ks. Jacek Stryczek uważa, że odnowę Kościoła należy zacząć od rozmowy o podstawowych wartościach chrześcijańskich. Sam uwielbia kontakt z wiernymi, ten tradycyjny i za pośrednictwem nowych mediów.

**Przyjechał ksiądz na rowerze mimo śniegu?**

Nie, samochodem. Ale dlatego, że ostatnimi czasy choruję. Zazwyczaj jeżdżę na rowerze albo biegam – nie mam kiedy uprawiać sportu, to moja jedyna szansa na ruch. Lubię prostotę życia, którą propaguje papież Franciszek. Kiedy byłem studentem, mieszkalem w kawalerce, w której były dwie wersalki, a ja i tak spałem na podłodze, bo wydawało mi się, że to jest dobra droga do pracy nad sobą. Uważam, że życie człowieka, jeżeli nie ma w nim ascezy, do niczego nie prowadzi.

**Żyjemy w takiej kulturze przesytu, że asceza jest ekstrawagancją. Chcemy mieć, a nie być, i to dużo – tutaj, teraz, natychmiast.**

Obecnie naturalnym środowiskiem człowieka jest marketing, a podstawową religią konsumpcjonizm. 50 lat temu, kiedy ludzie przychodzili do kościoła, z tym, co usłyszeli podczas kazania, szli do domów, przeżywali to w rodzinach i wracali, żeby zacerpnąć więcej. A dzisiaj siedzą w sklepach, a potem przychodzą do nas. I chcą być tak samo obsługiwani, więc to też buduje napięcie. Ale w Polsce od roku, może dwóch lat widać ogromne przebudzenie religijne, o którym się nie mówi.

**Dlaczego się nie mówi?**

Bo jest trudno zauważalne. Od kilku lat ogromne triumfy święcą rekolekcje ignacjańskie, w ciszy – trzeba się zapisywać kilka miesięcy wcześniej. Takie rekolekcje trwają pięć dni czy osiem, tych ośrodków powstaje coraz więcej, wszystkie są przepełnione. Przebudzenie polega na tym,

że coraz więcej ludzi wraca do Kościoła, bo szuka dla siebie innego sposobu myślenia. Z potrzeby serca, a nie z obowiązku. Powiedziałbym, że to jest trochę tak jak z dziećmi, którym było za ciasno w domu, więc się zbuntowały i uciekły, ale teraz chcą wrócić, bo czują, że w domu było coś istotnego.

**Nowe technologie mogą być wsparciem przebudzenia, o którym ksiądz mówi? Czy rachunek sumienia z tabletem w ręku jest dopuszczalny?**

Odmawiam brewiarz z tabletu, więc jak mógłbym krytykować wynalazki techniki? Słyszałem o tym, że w kolejkach do konfesjonałów ludzie wyliczają sobie grzechy z telefonami komórkowymi w rękach.

**I nie razi to księdza?**

Kiedy prowadziłem rekolekcje dla księży w Kanadzie, połowa miała tablety, z których odmawiała brewiarz, a połowa korzystała z tradycyjnych metod. Jaki to problem?

**W Internecie mamy wysyp stron związanych z duchowością i wiarą. Nie boi się ksiądz takiej popreligii?**

Jest dowód na istnienie Ducha Świętego w Kościele, który dla mnie jest oczywisty. Żyje nas miliard 200 milionów na świecie, jesteśmy osadzeni w różnych kulturach. I mimo że jesteśmy różni, jesteśmy jednością. Pewnie dlatego tak często nas się atakuje, bo owa jedność niewierzącym wydaje się nieprawdopodobna.

**Chociaż w obrębie Kościoła widać podziały, odmienne przekonania, tworzące się frakcje. W Polsce również – nie każdy katolik zgadza się na przykład z tym, co robi tzw. ośrodek toruński i ojciec Tadeusz Rydzyk.**

Polska jest na przedostatnim miejscu na świecie pod względem wzajemnego zaufania społecznego obywateli, za nami jest tylko Albania. Tylko 12 proc. Polaków ufa drugiemu. Doszukiwanie się w innych czegoś, co jest w nich złe, do niczego nie prowadzi, a Jezus mówi: „Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami”. Różni ludzie różnie interpretują swoje życie, ale jeśli dokładają się, robiąc coś dobrego, to jesteśmy w jednej drużynie. Nasza jedność wynika z różnorodności.

**Czy ksiądz ma prawo eksponować własne poglądy polityczne?**

Kościół ma w swojej nazwie „powszechny”. A partia to „part”, czyli część. O ile jestem księdzem, interesują mnie wszyscy, dla których moja posługa jest ważna, choć oczywiście wyrobiłem sobie własny pogląd polityczny. Kiedyś zrobiłem spotkanie u siebie w duszpasterstwie. To był taki moment, w którym wydawało mi się, że Kościół stał się narzędziem politycznym – używanie Kościoła do walki politycznej jest chamstwem. Zaczęłam o tym dyskutować z moimi studentami i okazało się, jak różne mamy poglądy polityczne. To było świetne. I tylko utwierdziło mnie to w przekonaniu, że nie ma powodu, żebyśmy rozmawiali

o tym w tym środowisku, w którym jesteśmy naprawdę w dużej jedności.

**Mówi ksiądz o tym, że Polacy nie ufają sobie nawzajem. A czy ufają księżom?**

Przeżywamy kryzys zaufania społecznego, jeśli chodzi o przedstawicieli wielu kluczowych zawodów. Przygotowuję teraz rekolekcje dla lekarzy i usłyszałem wiele dziwnych historii. Na przykład, że jak ktoś idzie do lekarza i słyszy diagnozę, to potem idzie jeszcze do pięciu innych, bo nie ufa temu pierwszemu. My, księża, jesteśmy częścią tego procesu. Ale jeśli mówimy o Kościele, zawsze będę powtarzał: każdy w Polsce kiedyś spotkał fajnego księdza. I ogólnie się mówi źle o księżach, ale każdy kiedyś trafił na prawdziwego duszpasterza.

**Mówi się źle o księżach?**

Tak, wystarczy wejść na portale, przeczytać tygodniki. Jest tego tak dużo w mass mediach, że ludzie też już o tym rozmawiają.

**A z czegoś to się bierze? To tylko uprzedzenia i pomówienia czy to wykiełkowało na niewygodnych dla samego Kościoła historiach?**

Po pierwsze, to jest przedłużenie PRL-u, kiedy się budowało negatywną narrację na kler i ludzie się nauczyli, że tak jest. Drugie źródło to walka ideologiczna – ja to nazywam walką o rząd dusz – że albo mnie słuchają, albo kogoś innego. Trzecia to niewątpliwie fakt, że następuje pauperyzacja treści w mediach. Rozmawiałem z jednym redaktorem portalu, który powiedział mi, że najczęściej czytane newsy to te o seksie i o księżach.

**A jeśli te dwa tematy się pozeń, to już jest hit. Tak, natomiast ja rozumiem, że mówimy tutaj też o grzechach ludzi Kościoła?**

**Mówimy o spowiedzi, a pytanie brzmi: może sam Kościół też powinien się wypowiadać?**

Nie mam co do tego wątpliwości. Ze strony Kościoła nie ma właściwej odpowiedzi na to, co się dzieje, i w związku z tym tworzy się bardzo jednostronny wizerunek całej instytucji. Tak jak chociażby było w przypadku lustracji, kiedy na-

**Odmawiam brewiarz z tabletu, więc jak mógłbym krytykować wynalazki techniki? Słyszałem o tym, że w kolejkach do konfesjonałów ludzie wyliczają sobie grzechy z telefonami komórkowymi w rękach.**

prawdę tych umoczonych wśród księży było najmniej, a najwięcej było bohaterów i męczenników. Tak teraz nakręca się narrację, że jeden przypadek może przykryć całą ogromną organizację. Myślę, że Kościół dzisiaj potrzebuje nowej kultury organizacyjnej. Są nowe czasy, ludzie inaczej funkcjonują, inaczej z nimi trzeba postępować.

**Spowiednik bywa czasem terapeutą, to jedna z jego funkcji. Terapeuci mają tzw. supervisorów, czyli osoby, które ich kontrolują, ale też pomagają im zmagać się z bagażem emocjonalnym, jaki towarzyszy praktyce. Jak księża radzą sobie z tym obciążeniem?**

Każdy ksiądz ma swojego spowiednika. Ale zgadzam się, że spowiadanie niesie za sobą pewne niebezpieczeństwo. Kiedy spowiadałem dużo, 20–30 godzin tygodniowo, liczba spraw, która do mnie docierała, była tak olbrzymia, że zacząłem patrzeć na świat pesymistycznie. I myślę, że część tej komunikacji, która wychodzi od księży, wynika z tego, że nawet jeśli się o tym nie rozmawia, to wszystko trzeba potem przepracować. Natomiast rozwiązanie tkwi w istocie chrześcijaństwa, sama spowiedź służy temu, żeby wydobyć z człowieka coś pozytywnego.



**KS. JACEK STRYCZEK**

duszpasterz ludzi biznesu, zaangażowany w pracę akademicką oraz działalność społeczną. Pomysłodawca, współzałożyciel oraz prezes Stowarzyszenia Wiosna, które realizuje m.in. projekt Szlachetna Paczka. Laureat wielu nagród, np. Człowiek Roku „Gazety Krakowskiej” (2010).

**Wielu ludzi do spowiedzi udaje się w Wielkim Tygodniu na ostatnią chwilę, wybiera taką spowiedź last minute. W pośpiechu ciężko chyba przeżyć coś głęboko i naprawdę?**

Jesteśmy w okresie przejściowym. Inaczej wyglądało życie religijne, w tym spowiedź święta, parędziesiąt lat temu. Wielki Post był Wielkim Postem, Adwent był Adwentem, czyli funkcjonował rok liturgiczny. Nie było tak wielu bodźców – mówię o mediach, o tętniącym świecie – więc to, co wydarzało się w kościołach,

jakoś trwało w ludziach. Pamiętam też swoje dzieciństwo w taki sposób. To był taki model Kościoła, gdzie główna część religijnego praktykowania usytuowana była w rodzinie. Czasy się zmieniły. Kiedy mnie teraz pytają, jaka jest polska młodzież, mówię: „Nie wiem”. Jest posegmentowana. Jedni żyją tak jak ja lata temu. Ale są też ludzie, którzy żyją w świecie globalnym, ich religijność również się zglobalizowała. Nie zamykam się na to. Ostatnio głosiłem w Adwencie rekolekcje – powiedziałem kazanie w niedzielę, w poniedziałek i wtorek było w Internecie do pobrania, a w środę była kolejna msza święta. Założyłem, że ludzie nie mają czasu i ja też nie, ale jest różnica pomiędzy wysłuchaniem a uczestnictwem. Połączyliśmy jedno z drugim, żeby podołać współczesności. Często pokazuje się mnie w mediach jako księdza, który odpowiada na wyzwania współczesności, tak jakby to było coś wyjątkowego.

**Mówi się też o happeningach, które ksiądz zorganizował. Na przykład o ustawieniu konfesjonału pod Galerią Krakowską. To sposób na to, żeby wybić ludzi z duchowego letargu?**

Pierwszy mój głośny happening odbył się faktycznie z konfesjonałem przed Galerią Krakowską. Oczywiście tam nie spowiadałem, na konfesjonale było napisane: „Istnieje inny świat”. W Polsce obowiązuje monokultura, która nakazuje ludziom przed świętami zarabiać i wydawać. Ja od lat nie robię zakupów w Adwencie dla zasady, zresztą wyprzedają się po. A konfesjonał pod centrum handlowym symbolizował alternatywę, bo przedświąteczny czas można spędzić w kościele, a nie w supermarkecie. Wystarczy 20 sekund, taki news, a ludzie już się gubią w swojej bieganinie.

**Chciałabym zapytać księdza o definicję grzechu, który jest jednym z centralnych pojęć związanych ze spowiedzią. Czym on jest?**

W swojej istocie grzech to wystąpienie przeciwko dobrej relacji z Bogiem. Czasami posługuję się takim przykładem: dziecko uczy się zasad dobrego wychowania. Dziecku wydaje się, że to głupie,

aż do momentu, kiedy się zakocha i nagle okazuje się, że jak nie jest dobrze wychowane, to ciągle rani drugiego człowieka. Z grzechami jest podobnie – nauka zasad jest żmudna i nudna, ale efekt jest tego wart. Usłyszałem ostatnio mocną wypowiedź kobiety, która stwierdziła, że zdrada jest niedopuszczalna, ale to jest dla niej normalne, że życie to wiele związków. Po co się męczyć w związku, skoro można mieć inny? Ale ośmielę się zadać pytanie: „Jak się taki związek kończy?”. Jedna osoba już się znudziła i chce kogoś innego, a druga jest nadal otwarta na miłość i krew jej się leje z serca, i nie może się pozbyć. Rozumiem, że jeżeli ludzie się do siebie zbliżają, to pojawia się jedność i zaufanie. I co, nagle jedna osoba mówi: „Aaa, to ja idę już gdzie indziej”? Tego nie da się przeprowadzić bezkosztowo. Grzechy wydają się niektórym zbędnymi znakami drogowymi. Ale jeśli ci ludzie weszliby głębiej, odkryliby mnóstwo ukrytych funkcji i znaczeń.

**Porozmawiajmy o antykoncepcji. Czy stosowanie metod innych niż naturalne pozostanie w XXI w. grzechem? Zdaje się, że nawet papież Franciszek uważa, że należy zmodernizować podejście Kościoła do kontroli narodzin.** Na razie granicy nie przesunięto. Myślę, że akurat problem antykoncepcji to jeden z wątków szerszej debaty o sprawach seksu, które przed długi czas były w Kościele tabu, nie podlegały daleko idącej debacie. I tam, przypuszczam, jest potrzebne wiele dystynkcji. Pracowałem przez długi czas w środowisku lekarzy i zawsze zadawaliśmy sobie pytanie, co jest sztuczne, a co jest jeszcze naturalne, i nie jest to wcale oczywiste w naszych czasach. Zupełnie czym innym to było w 1968 r., a czym innym jest teraz.

**Ale czy ksiądz jest zwolennikiem modernizacji założeń doktryny Kościoła na polu seksualnym?** Brakuje otwartej debaty po obu stronach. Nie tylko Kościół zamykał się latami na rozmowę o ciele. Dzisiaj ludzie nie rozumieją, jak się ma seks do związku. Za każdym razem, kiedy ktoś mnie

**Ludzie tkają własne poglądy z różnych informacji i na dodatek są przekonani, że Bóg ich kocha. Papież Benedykt XVI zadał pytanie: „Czy Bóg kocha wszystkich ludzi?”. Odpowiedź jest jednoznaczna – nie, kocha tych, w których ma upodobanie.**

pyta, czy jestem za takim czy innym rozwiązaniem, mówię: „Zastanówmy się, bo wydaje mi się, że trzeba wrócić do wnętrza”. Moi wychowankowie opowiadają mi na przykład, jak w poniedziałki na uczelniach słyszą od kolegów o weekendowych seksualnych podbojach. Więc z takiej perspektywy powiedziałbym, że jak mówimy o seksie, to nie wiemy, o czym mówimy. Teraz, jak wygłaszam rekolekcje dla młodych małżeństw, powtarzam, że seks to taki związek w pigułce. Można seks sprowadzić tylko do fizycznego wyzycia się, a może w nim być cała kwintesencja związku. Nie ma drugiego takiego spotkania dwojga ludzi jak seks.

**Nie każdy seks pozamałżeński jest mechanicznym wyzyciem się, czasami można nie żyć w związku małżeńskim, a jednak uprawiać seks z miłości.** To już nawet nie o to chodzi, czy to jest „z miłości”. Ja mówię, że seks to jest związek w pigułce, że da się tak zrozumieć seks jako coś bardzo istotnego.

**Czyli i tak musiałabym się wypowiadać, nawet jeśli to seks w stałym związku i z miłości?**

Tak. My w Kościele cały czas uważamy, że ślub robi różnicę, i w to wierzymy. Efektem seksu zawsze może być dziecko, bo żadna forma antykoncepcji nie daje 100-procentowego zabezpieczenia przed ciążą. Nawet w normalnych sytuacjach pojawienie się dziecka robi w życiu rodziców rewolucję. A co dopiero w życiu ludzi, którzy nie byli na to przygotowani. W tym ujęciu seks jest zawsze otwarciem się, jakąś próbą głębszego zaufania drugiemu człowiekowi i powierzenia mu siebie, być może swojej przyszłości. I ślub robi różnicę, bo ślub mówi, jaka będzie

przyszłość. To jest ta najważniejsza różnica, jeśli chodzi o ślub.

**A jeśli małżonkowie okażą się niedopasowani? Czy tego nie trzeba zweryfikować przed ślubem?**

Ludzie często mówią: „Jesteśmy tacy różni”. Dla mnie to porażka związku, bo to oznacza, że jedna z osób mówi do drugiej: „Nie udało mi się ciebie zmusić, żebyś był taki jak ja”. Osoby w związku powinny się rozwijać i cały czas być w procesie dogadywania się. Rekolekcje, które teraz wygłaszam, mówią o tym, że udany związek ma wymiar kosmiczny, jest taką rakieta kosmiczną. Ludzie się spotykają i są dla tej rakiety paliwem, które składa się z dwóch części – każda z tych osób daje coś innego, zachodzi reakcja syntezy, która produkuje energię. Po jakimś czasie to się naturalnie wypala. I pojawia się pytanie, czy związek ma siłę, żeby ta raketa mimo to leciała dalej.

**A gdybym przyszła do księdza do konfesjonału w ciąży, w którą zaszłam metodą in vitro, to musiałabym się z tego wypowiadać? Tak.**

**A dlaczego?**

Nie jestem specjalistą, ale generalnie chodzi o podejście do życia. I nasze, Kościoła, i tworzących go katolików. Podejście jest takie, że życie tak, ale nie za wszelką cenę.

**Coraz więcej młodych katolików, którzy tworzą Kościół, boryka się z problemami z płodnością. Dlaczego Kościół nie chce wyciągnąć do nich ręki?**

Naturalna bezpłodność, genetyczna, to 5 procent par. W tej chwili w Polsce to jest 20 proc. par. Czyli ta różnica pomiędzy 5 a 20 proc. to jest bezpłodność cywilizacyjna, wynikająca ze stylu życia.



Z tego, co jemy, ile mamy stresu, ile siedzimy przed komputerem, z antykoncepcji. Wszystkie te czynniki sprawiają, że właściwie od 15 lat ciągle przybywa par, które...

**Akurat antykoncepcja nie powoduje bezpłodności.** Hormonalna powoduje.

**Skąd ksiądz o tym wie?**

Każda ingerencja w organizm wpływa na jego funkcje. A to, że brakuje w mediach badań, które mogłyby to potwierdzić, jest efektem zabiegów reklamodawców.

**Czy to nie jest teoria spiskowa?**

W tamtym roku czytałem o tym, że pewna pani profesor w Kanadzie przebadła środki antykoncepcyjne, podobno bardzo nowoczesne, i wykazała całą masę negatywnych skutków ich stosowania. Po czym producent zwrócił się do uczelni, na której pracowała, z pytaniem, czy ta uczelnia chce nadal otrzymywać dotacje. Ja nie mówię o teorii spiskowej, bo każdy sobie może sprawdzić, co i jak. Mówię o zakrywaniu reklamami rzetelnych informacji. Kiedy mówimy o niepłodności, powinniśmy przede wszystkim skupić się na stylu życia ludzi, którzy starają się o potomstwo. Niepłodność to często pokłosie złego stylu życia. Im bardziej uczy się ludzi, jak nie mieć dzieci, tym bardziej ich nie mają. A druga sfera, o której rzadko mówimy, to sfera podejścia do życia, bo teraz jest taki kult, że jak ktoś chce, to niech ma. A my mówimy: „Nie za wszelką cenę”.

**Osoby, które się starają o dzieci, powiedziałyby, że nie ma takiej ceny, której nie byłoby w stanie zapłacić za to, żeby posiadać potomstwo.**

Rozumiem, co ci ludzie mówią, że jak ktoś chce, to ma. I jest to bezwarunkowa komunikacja. A jednak jest wiele takich sytuacji w życiu, że jak chcę, to nie mam. Przykładem były niedawne zamieszki w Wielkiej Brytanii – ludzie rabowali sklepy, bo chcieli mieć coś natychmiast.

**Nie da się tego porównać.**

Ja tylko mówię o tym, że są takie sytuacje w życiu, że czegoś chcemy i tego nie mamy.

**Zamykając się na in vitro, Kościół świadomie decyduje się na to, że wiernych będzie mu ubywać. Bo nas wszystkich jest mało i będzie jeszcze mniej – katolików i niewierzących.**

Chyba w tym momencie rozmawiamy o dwóch różnych światach. Ja pani przedstawiam, jak ja ten świat widzę, a pani nie musi się ze mną zgadzać. Wydaje mi się, że każdy w swoim życiu ma wiele takich dylematów, że na czymś bardzo mu za-

leży i nie może tego mieć. Wielu księży chciałoby być papieżem, a tylko jeden może nim być, wielu ludzi chciałoby mieć luksusowe samochody albo założyć wielką firmę. I to „chcę czegoś za wszelką cenę” jest trochę takim igraniem z ogniem. Więc rozumiem, że czasami tak jest, że ktoś chce żyć, a umiera, prawda? To jest pierwszy punkt, który powinien dać ludziom dystans do tego ich „chcę”. Kanwą dla moich tegorocznych rekolekcji będzie wypowiedź pewnej pani, której mąż zachorował i lekarze zdiagnozowali, że to jest nieuleczalna choroba. Ona przyszła do lekarza i oświadczyła: „Panie doktorze, pan chyba zwariował, to jest XXI wiek!”. I cała jej walka toczyła się o to, że ona chce i musi mieć swojego męża. Ja mówię z szacunkiem o jej miłości, ale zadając sobie pytanie: „Za jaką cenę?”.

**A czego ksiądz chce, a nie ma?**

Nie wiem, jak odpowiedzieć. Jestem po pięciu operacjach kolana, a jestem w ogóle siatkarzem, sportowcem i uprawiam sport raczej przez łzy, więc na pewno gdybym miał taką sprawność jak kiedyś, byłoby inaczej. Gdy miałem pierwszą operację i okazało się, że nie mogę grać w siatkówkę, przez rok chodziłem do tyłu, bo siatkówka to było moje życie. Teraz nie mogę w ogóle skakać, bo to oznacza kolejne kontuzje. Takich ograniczeń każdy z nas ma wiele. Chociaż ja jestem przypadkiem człowieka, który większość ograniczeń pokonuje. I moim pierwszym rozwiązaniem wtedy, jak miałem kontuzję, było to, że natychmiast się przesiedłem na rower, bo na rowerze jeździ się z odciążeniem kolan. Znam ludzi, którzy nie mogli mieć potomstwa, zaadoptowali dziecko i po pół roku kobieta zaszła w ciążę. I to jest dla mnie taka sytuacja wyjścia z cienia tego „muszę”, tego naporu, który sam w sobie jest zgubny. Z całym szacunkiem do otwartości na życie.

**Czego ksiądz życzy czytelnikom „Przekroju” na święta?**

Życzę takiego podejścia do życia, w którym są wyzwania i w którym człowiek wydobywa z siebie to, co najpiękniejsze. Bo to jest też istotą chrześcijaństwa.

## POLSKA

## Święconka w kubku po kawie

Wiklinowy koszyczek, sól, chleb, kiełbasa, jaja. Do tego dwa baranki, kilka pisanek, trzy bazie i gałązka bukszpanu. A wszystko pod białą serwetką, najlepiej ręcznie haftowaną przez prababcie. Oto święconka jak się patrzy. Jeszcze tylko odświętny strój i niczym Czerwony Kapturek z koszyczkiem pełnym łakoci można maszerować na wielkosobotnie święcenie. Oczywiście można i tak. Ale da się też bardziej nowocześnie. Dowodem na to, że tradycja wcale nie musi się gryźć ze współczesnym wzornictwem, jest wystawa nowoczesnych święconek w Warsztacie Woni, artystycznej pracowni Marty Gessler w warszawskiej Starej Fabryce Koronek, którą można oglądać do 30 marca. Gessler proponuje zamianę wiklinowych koszyków na designerskie wiaderka. To kompozycje praktyczne – wręcz wielokrotnego użytku, nawet po świętach, ale i potraktowane z przymrużeniem oka – jak święconka dla singla w kubku po kawie. Jak podkreśla sama organizatorka – żeby tradycja żyła, trzeba ją dostosowywać do zmieniających się czasów. → eb

**Warsztat Woni, ul. Burakowska 5/7 (Stara Fabryka Koronek)**  
czynne: poniedziałek – piątek w godz. 11–20, sobota – niedziela w godz. 11–18

## AUSTRALIA

## Królik po australijsku

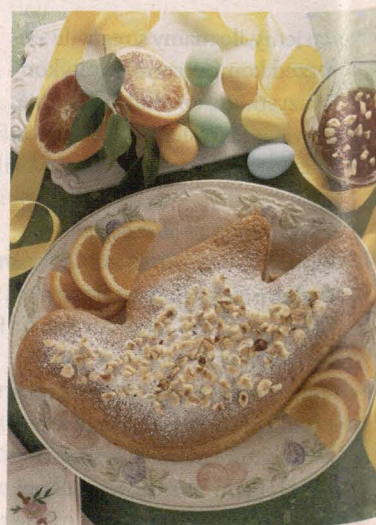


Australijczycy powiedzieli zdecydowane „nie” królikom w 1991 r. i od tej pory na ich kontynencie trwa prawdziwa antykrólicza kampania. Skąd ta niechęć do sympatycznych stworzeń? Rozmnażające się w zatrważającym tempie kicające zwierzęta rozjuszyły rolników i plantatorów z powodu wyrządzonych przez nie szkód. Do tego zresztą stopnia, że nawet wielkanocnego króliczka postanowili zastąpić... królikopodobnym torbaczem, który w Australii jest gatunkiem objętym ochroną. Żyjące na Antypodach dzieciaki odwiedza więc i wręcza im czekoladowe jajka wielkouch króliczy, popularnie nazywany „bilby” lub zdrobniale „pinkie”. Sympatyczne stworzenie ma duże uszy i torbę, w której przez osiem tygodni trzyma nowo narodzone potomstwo, które przychodzi na świat głównie w okresie świątecznym (marzec–maj). Pomysł natychmiast podchwycili producenci słodczy – królika zapędzili do nory, zastępując go czekoladowymi „bilbies” – „zajaczkami”. → eb

## WŁOCHY

## Gołębica na słodko

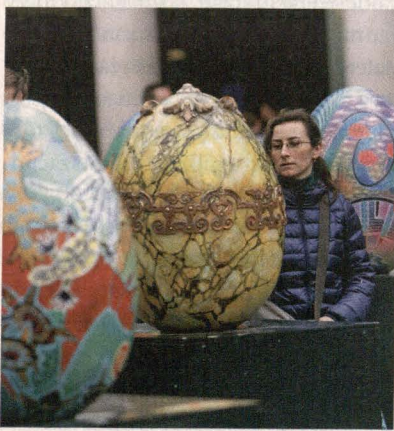
Trzeba mieć nie lada wyobraźnię, by w La Colomba pasquale doszukać się kształtu gołębic. Niemniej jednak to właśnie Colomba – tradycyjna wielkanocna baba drożdżowa w kształcie gołębia – jest obowiązkowym przysmakiem na świątecznych stołach Włochów. Deser spopularyzował w XX w. Angelo Motta, założyciel firmy Motta specjalizującej się w komercyjnej produkcji słodkich ciast, głównie panettone – które rządzi z kolei w czasie Bożego Narodzenia. Włoska gołębica smakiem przypomina nasze polskie babki. Idealne ciasto powinno być lekkie jak puch, mimo sporej ilości bakalii. Obowiązkowy jest również chrupiący lukier na wierzchu. A że jest to ciasto tyleż pyszne, co pracochłonne – nawet najbardziej konserwatywne włoskie gospodynie domowe coraz częściej zamawiają je w lokalnych cukierniach. → eb



## WIELKA BRYTANIA

## Polowanie na jajka

W Wielkiej Brytanii trwa tradycyjne polowanie na wielkanocne jajka, zorganizowane przez artystów i celebrytów. W poprzednich latach szczęśliwcy mogli znaleźć skarby zaprojektowane przez Zahę Hadis, Vivienne Westwood, Bruce'a Oldfielda, Ridley'a Scotta. W tym roku czeka na nich 101 czekoladowych jaj Lindta – każde z nich jest dziełem sztuki. Zabawę w londyńskim Covent Garden ułatwiają specjalne poradniki myśliwego. Równocześnie na stronie www.thebigegg hunt.co.uk trwa wielka aukcja charytatywna, z której dochód przeznaczony zostanie na rzecz potrzebujących dzieci. Najwyżej licytowany jest Humpty Dumpty – wańka wstańka, popularny bohater angielskiej rymowanki. → eb



# Mariusz Ziomecki

## Zemsta na Cyprze



FRANEK MAZUR

**Rządy nie  
cierpią rajów  
podatkowych  
– tak jak  
prawowite  
małżonki agencji  
z panienkami.**

„Jeśli jesteś winien pieniądze bankowi, nie jesteś wolny...”. Założyciel koncernu, w którym pracowałem w Stanach, legenda wydawców w epoce, kiedy gazety jeszcze coś znaczyły, lubił przypominać tę prawdę młodym dziennikarzom. Wciąż mi dźwięczy w uszach jego skrzekliwy, starczy głos z południowym akcentem: „If you owe money to the bank, you ain't free”.

Prosta myśl – wydawałoby się nie do podważenia. Jednak Cypr pokazuje, że to działa i w drugą stronę.

Niewielka wyspa z monstrualnie rozrośniętym systemem bankowym – faktycznie mamy tam do czynienia z kombinacją rajów podatkowych i wysokowydajnej pralni lewych pieniędzy – doprowadziła do sytuacji, kiedy to wolność banków stanęła pod znakiem zapytania. Pytanie brzmi teraz, czy tylko cypryjskich i tylko tych nadmiernie zadłużonych? Nie chodzi mi tu wyłącznie o banki. Banki są nudne. Chodzi mi o to, czy mamy jeszcze czego się trzymać. Czy zostało jeszcze cokolwiek ze znanych nam do tej pory świętych zasad demokracji, państwa prawa i wolnego rynku? Czy jest jakaś reguła gry, która nie zostanie naruszona, pozbawiona praktycznej treści bądź wręcz odwołana przez polityków pod hasłem walki z kryzysem?

Chwilami odnoszę wrażenie, że dzisiejszy świat zrywa się z kotwic.

W skrócie poszło to tak. Cypryjskie banki płaciły hojniej niż inne w Unii za depozyty, a firmy (w tym sporo z Polski), które obrały prawną siedzibę na wyspie, unikały wysokich podatków u siebie. Władze nie zadawały zbędnych pytań, gdy na Cypr płynęły szare miliardy z Rosji i innych podobnych miejsc, i wszystko grało bardzo ładnie. Kraj rósł w siłę, a ludzie żyli dostatniej – do momentu, gdy w tarapaty wpadła Grecja, a właśnie w jej papiery dłużne dużo inwestowali cypryjscy bankowcy.

No i cud gospodarczy się rozsypał. Rząd cypryjski już w zeszłym roku poprosił o ratunek. Chodziło o śmieszne pieniądze w skali unijnej, mniej niż 20 miliardów euro, ale w dzwone europejskich finansów nie spieszyli się z odpowiedzią. Gdy wreszcie pod koniec marca odpowiedź przyszła, zbaranieli nie tylko obywatele Cypru, ale cały cywilizowany świat. Unia pożyczyci połowę potrzebnych pieniędzy, reszta funduszu ratunkowego musi przyjść z podwyżki podat-

ków i zostać zabrana z depozytów w cypryjskich bankach. Ze wszystkich jak leci.

Nie trzeba być liberalnym doktrynerem, żeby w tym momencie poczuć się nieswojo. Bo oto rząd i parlament unijnego państwa – Cypr wstąpił do Unii Europejskiej w 2004 r. – dostają ze szczytów unijnych władz ukaz, by dokonać arbitralnej, natychmiastowej konfiskacji części mienia wszystkich, którzy legalnie trzymają w bankach pieniądze.

Posypały się oczywiste komentarze: że to lekarstwo jest gorsze od cypryjskiej choroby, bo podważa zaufanie do banków w ogóle. Dziś Cypr, jutro Hiszpania. Albo Włochy. Tzw. rynki finansowe straszą, że nieprzemysłane recepty mogą wywołać paniczną reakcję łańcuchową, masowe wycofywanie depozytów w wielu krajach, załamanie systemu i na koniec przyniesie upadek unii walutowej.

Pocieszam się, że rynki straszły tym już nieraz i jakoś ich czarne prognozy się nie sprawdzały. Zapewne tak będzie i tym razem. Warunki dla Cypru pewnie zostaną złagodzone. Pozostaje jednak dręczące pytanie: „Jakim cudem tak brutalna, iście leninowska propozycja w ogóle mogła zostać złożona?”.

Myślę, że to owoc strachu i złości w Brukseli. Eurobiurokraci to bystrzy ludzie, już widzieli nagłówki w „Bildzie”, że niemieccy podatnicy bulą tym razem, by ratować ciche konta ruskich oligarchów. Pomysł, żeby ci, co przyczyniają się do tworzenia problemów w systemie finansowym, czuli konsekwencje we własnych kieszeniach, też nie jest nowy. Więc teraz będziemy mądrzejsi. Zaparkowaliście miliardzik na Cyprze? Uratowanie tamtejszych banków będzie nas wszystkich kosztowało. Bardzo nam przykro, wasz udział, towarzysze, to 15 proc. depozytu!

Złość z kolei wynika z tego, że rządy nie cierpią rajów podatkowych – tak jak prawowite małżonki agencji z panienkami. Podatki to dla rządów rzecz święta, prawdziwe sacrum. Każdy, kto zmniejsza skuteczność strzyżenia naszych obywateli, jest wrogiem. A wrogów się przecież niszczy. Francuzi mawiają, że zrozumieć znaczy wybaczyć, ale wybaczenie próby zemsty biurokratów na małym, niegrzecznym Cyprze może okazać się trudne. To było gorsze niż zbrodnia – to był błąd. → eb

Autor jest redaktorem,  
dziennikarzem,  
publicystą, biznesmenem.  
U nas pisze o cywilizacji.

PIOTR KOŚCIELNIAK

# Wielkanocne jaja programistów



Na dobry dowcip trzeba zasłużyć. Z takiego założenia najwyraźniej wychodzą informatycy, którzy swój humor ukrywają w grach i programach biurowych. A użytkownicy mają zabawę z samych poszukiwań, **nagradzanych „jajem” – czyli Easter egg.**

**N**ie spodziewaliście się pewnie, że stary Excel Microsoftu kryje wyścigi samochodowe? Że wasza przeglądarka internetowa zawiera pseudoreligijną apokaliptyczną Księgę Mozilli? A może próbowaliście wyznaczyć trasę w Google Maps, a program zasugerował skorzystanie z kajaka?

To właśnie przykłady Easter eggs, czyli ukrytych, zwykle humorystycznych funkcji oprogramowania. Często są też nawiązania do filmów czy literatury. Żeby je znaleźć, trzeba albo pewnej

W grze „Diablo” pojawiają się ukryte poziomy. W części drugiej gracz walczył z krwiożerczymi krowami, w trzeciej – z jednorozcami.

sekwencji działań (np. wyścigi w Excelu potrzebują aż 16 czynności), albo wiedzy o triku – spróbujcie w przeglądarce Firefox wpisać „about:mozilla” albo w mapach Google’a wyznaczyć trasę przez ocean.

Żeby nie było wątpliwości – nazwa Easter egg wzięła się ze zwyczaju poszukiwania jajek (prawdziwych lub wypełnionych słodyczami) w okolicach świąt wielkanocnych. Najchętniej z tego typu żartów korzystają twórcy gier. Bo moda na „jaja” rozpoczęła się właśnie od nich. Pierwsze znaleziono w 1979 r. w grze „Adventure” na Atari 2600. Ponieważ Atari nie miała wtedy zwyczaju podpisywać programistów, twórca „Adventure” Warren Robinett wziął sprawy we własne ręce. Ukrył w kodzie zawartość ekranu z podpisem i gracze mogli go obejrzeć po wykonaniu odpowiednich – wcale niełatwych – działań.

Do historii gier wideo wszedł też ukryty poziom z „Diablo II”, w któ-

rym trzeba było się zmierzyć z hordami krwiożerczych krów. A nowsze przykłady? W grze fantasy „The Elder Scrolls V: Skyrim” jedna z jaskiń przypomina lodową grotę z serii „Gwiezdne wojny”. W konsolowym hicie „Halo 4” zobaczymy gwiazdora amerykańskich talk-show Conana O’Briena – o ile potrafimy go znaleźć wśród setek postaci.

Również polska seria gier „Wiedźmin” została wyposażona w ukryte dowcipy. Część jest nawiązaniem do naszej krajowej rzeczywistości (np. gangster nosi imię Mutton, czyli Baranina), inne w wyrafinowany sposób odnoszą się do gier, historii, popkultury czy nawet filozofii.

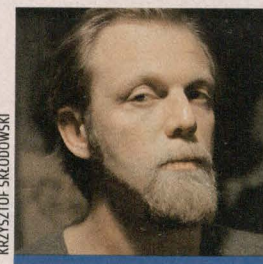
Z żartów słynie też Google. Najczęściej są to dowcipy ukryte w internetowych aplikacjach – np. wpisanie do Thumacza ciągu „pv zk bschk” pozwoli skorzystać z... syntezatora perkusyjnego. Odpowiednia kombinacja klawiszy na stronie YouTube’a uruchamia zaś popularną grę w węża.

Nie zawsze zresztą taka ukryta zawartość wychodzi programistom na zdrowie. Na przykład jedna z części gry „Grand Theft Auto” zawierała ukrytą minigrę o erotycznym charakterze. Skandal wokół sprawy spowodował konieczność wprowadzenia ograniczeń wiekowych dla kupujących. Jacques Servin, jeden z programistów firmy Maxis, zdecydował zaś, że część występujących w „SimCopterze” atrakcyjnych kobiet wymieni na muskularnych mężczyzn w slipkach. Przyjacielscy geje mieli się pokazywać jedynie w piątce trzynastego i w urodziny Servina. Sprawa została odkryta, a za „homoseksualną propagandę” programistę zwolniono. Z kolei na dysku z grą konsolową „Tiger Woods 99 PGA Tour Golf” dociekliwi użytkownicy odkryli odcinek serialu „South Park”. Wydawca, firma EA, musiał zapłacić za ponowne wydanie gry – tym razem już bez „jaja”.

Ile wielkanocnych jaj pozostaje nieodkrytych? Jedno z najsłynniejszych, w grze „Donkey Kong” z 1983 r., zostało odnalezione dopiero po ćwierćwieczu. W końcu na puentę dobrego żartu warto trochę poczekać.

Max Cegielski

## PRL trademark



**Dalekie podróże oraz mały handel przy okazji turystyki w Europie razem z doświadczeniem górali w USA i pracy w Niemczech stworzyły podwaliny wybuchu biznesu po 1989 r.**

„Poloneza caro kupi ten, co jest naprawdę głupi” – śpiewała Apteka. Ale maska samochodu świetnie się sprawdzała jako stoisko sprzedaży. Kawałek tektury i sklep gotowy. Może być też maluch, jeśli asortymentem są tylko trzy puszki szynki konserwowej, jak na zdjęciu Tadeusza Rolkego. Wystawa „Jutro będzie lepiej” prezentuje jego zdjęcia dokumentalne z pierwszego okresu transformacji po 1989 r. Łóżka polowe i szczęki, symbole lat 90. Sam, zamiast iść na lekcje, stałem ze składanym stolikiem i handlowałem podróbkami eleganckich toreb. Szał biznesowy ogarnął wtedy miliony z nas, pijanych wolnością.

Okazało się przy okazji, że Polacy są świetnymi kupcami, ponieważ za komuny nie tylko kombinowali, lecz także handlowali na potęgę i uczyli się interesów. Anegdota z epoki: statek Polskich Linii Oceanicznych, wówczas bardzo globalnej firmy, wpływa do portu w Afryce. Stojący na nabrzeżu miejscowi już z daleka pytają: „Perfumy masz? – Nie. – Rajstopy masz? – Nie. – Ręczniki masz? – Nie. – To po co przyjechał?”. Nie jest to bynajmniej historia o czarnym ludzie i świecidełkach, lecz o tym, z czym kojarzył się Polak na całej planecie. Doświadczyłem tego, kiedy rozpoczynałem podróże po Azji pod koniec lat 90. W Pakistanie pytano mnie, czy mam na sprzedaż namiot czy może suszarkę, a w Indiach nagabywano o kryształ. Nie wiedziałem, o co chodzi, do czasu obejrzenia filmu dokumentalnego „Sztuka wolności”, który powstał niedawno w ramach cyklu „Podręcznik do Polaków” Instytutu Adama Mickiewicza. Opowiada o historii sukcesów naszych himalaistów przed 1989 r. Pierwszy raz stawia proste pytanie: „Jak to się właściwie stało, że w czasach pustych półek i kryzysu zdobywaliśmy najwyższe szczyty świata, zadziwiając Azję i Europę?”. Do wspinaczki na wysokość ponad 8 tys. m nie wystarczy sam heroizm, odwaga i umiejętności, potrzeba też trochę sprzętu i pieniędzy. Film oraz książka „Ucieczka na szczyt” pokazuje, że nasze ekspedycje musiały żyć z przemytu. Na wywożone 12 ton połowa to były towary na sprzedaż, jak mówi jeden z uczestników wypraw. Inny opowiada o sprzęcie, który oficjalnie gi-

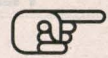
nał, a naprawdę pojawiał się na bazarach Azji. To tylko wierzchołek góry lodowej, ponieważ anegdota świadczy o grubszych historiach z nieclonowymi walizkami latającymi przez Moskwę i Singapur do Indii z coraz to inną zawartością. Takie są nie tylko tajniki himalaizmu, ale w ogóle podróży, szczególnie sportowych, w czasach PRL. Było ich na tyle dużo, że stworzyły całą sieć alternatywnej, hybrydycznej ekonomii na styku kapitalizmu i socjalizmu.

Mając utrudnione podróże na Zachód, Polacy skupili się na Afryce i Bliskim Wschodzie oraz dalekiej Azji. Pchały nas tam nie tylko oficjalne wytyczne ekspansji marksizmu-leninizmu, ale też zyski. W najlepszym okresie u złego Saddama Husajna pracowało nawet 12 tys. polskich specjalistów. Zarówno architekci, jak i inżynierowie byli tam w ramach kontraktów, które nasze przedsiębiorstwa wygrywały w przetargach, pokonawszy równie dobrych, ale droższych specjalistów z Europy Zachodniej i USA. Słynne powiedzenie „Z Polservicem lepiej jak z Orbisem” nie oznaczało tylko egzotycznych podróży ani zarobku, lecz także możliwość realizacji marzeń zawodowych.

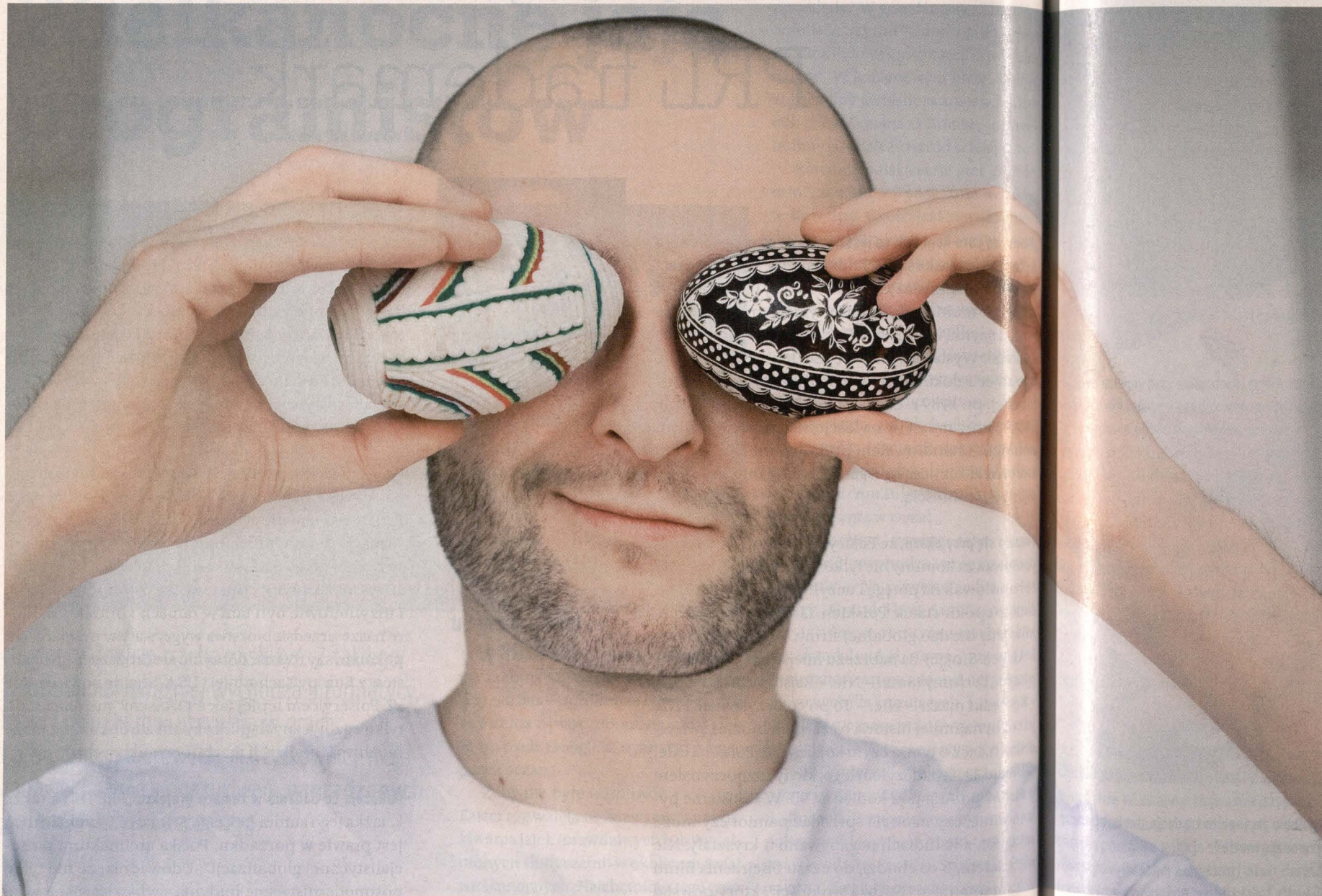
Pokazują to badania w ramach projektu „PRL TM”, a także książka jego autora Łukasza Stanka „Postmodernizm jest prawie w porządku. Polska architektura po socjalistycznej globalizacji”. Udowadnia, że nie tylko postmodernistyczne budynki szybko stawiane w latach 90. wynikały z doświadczeń nabytych na Bliskim Wschodzie. Architekci, a także inżynierowie różnych branż uczyli się wolnej konkurencji, indywidualnej odpowiedzialności i liczenia pieniędzy właśnie w Azji. Dalekie podróże oraz mały handel przy okazji turystyki w Europie razem z doświadczeniem górali w USA i pracy w Niemczech stworzyły podwaliny wybuchu biznesu po 1989 r. Nie stało się to nagle, życie uczyło nas liczenia zysków przez cały okres PRL, pomimo, ale także dzięki globalnej socjalistycznej ekspansji tej epoki. Nawet jeśli „poloneza caro kupi, kto głupi” to był on z powodzeniem sprzedawany w Chinach. Dziś wszystko jest na odwrót.

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozaikę. Śladami Rechowiczów”.





Bezdomni też chcą mieć swojego lekarza.  
O bezinteresownej pomocy  
mówi dr Maria Sielicka-Gracka → 24



ROZMAWIA MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA MAGDA STAROWIEYSKA

## Wielkanocne pobudanie

O babach wielkanocnych z dębowej dzieży, dziadach śmigustnych, smaganiu witkami i kogucie pojonym alkoholem opowiada etnolog **Patryk Pawlaczyk**.

### **PATRYK PAWLACZYK**

Jest etnologiem, pracuje w Dziale Etnografii Polski i Europy Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Zajmuje się zagadnieniami związanymi z kulturą tradycyjną i estetyką transkulturową.

**Kiedy czytałem o obyczajach wielkanocnych, pomyślałem, że to chrześcijańskie święto zbudowane na pogańskich rytuałach.**

Jest taka teoria, ale niekoniecznie prawdziwa. Bo co to znaczy pogańskie? Oczywiście w Internecie możemy przeczytać, że Wielkanoc to Jare Gody, a Marzanna to słowiańska bogini Morena, ale niewiele z tego wynika.

**Jare Gody wzięły swoją nazwę od słowiańskiego bóstwa Jaryty?**

Tego nie wiemy. Przychylam się raczej do pochodzenia agrarnego. Mamy przecież zboża jare i ozime. Jare, czyli wysiewane na wiosnę – wtedy, kiedy jest Wielkanoc.

**A marzanna skąd się wzięła?**

Obrzędy polegające na paleniu kukły, która symbolizuje odejście zimy i przyścisie wiosny, znane są niemal całej Europie. Co ciekawe, w Polsce to był obyczaj praktykowany zazwyczaj na południu i po całym kraju rozplenił się stosunkowo późno, bo po drugiej wojnie światowej. Na Podkarpaciu i w okolicy Krakowa praktykowano raczej wieszanie Judasza, którego rytualnie sądzono, bito, wieszano, a na koniec topiono. Ten obyczaj już niemal zanikł.

**Świetnie się za to mają wszelkie stwory pojawiające się w różnych rejonach Polski. Nazywają się dziadami śmigustnymi, a najsłynniejsza jest chyba Siuda Baba.**

To też bardzo stara tradycja. Takie postaci pojawiają się nie tylko w polskiej kulturze, ale także szwajcarskiej czy rumuńskiej. Zwykle mamy podobny zestaw ludzi poprzebieranych w skóry, futra, kożuchy nałożone na lewą stronę. Twarze są wysmarowane sadzą. Te stwory mają nieodokreśloną naturę i przybywają w charakterze istot z zaświatów. Sieją zamęt i pobudzają zasiedziały po zimie ludzi.

**Dużo tego pobudzania. Temu też służy smaganie dziewczyn różgami po nogach?**

Oczywiście, podobnie jak polewanie wodą w Poniedziałek Wielkanocny. Ale są też obyczaje, skoro mówimy o pa-

nach zaczepiających panie, które się ostały w niewielkich społecznościach. Na przykład w Szymborzu, kiedyś wsi, a dzisiaj dzielnicy Inowrocławia, w okresie świątecznym praktykuje się tak zwane przywołówki. Kawalerowie budują ambone, z której wykrzykują w stronę pańien dowcipne, czasem obraźliwe wierszyki. Bodajże sześć lat temu matki kilku dziewczyn podały panów do sądu, oskarżając ich o obrażanie córek.

**Ciekawe spotkanie tradycji ze współczesnością. Dzisiaj też jest dużo narzekania na wynaturzenie tradycji, szczególnie w kontekście śmigusa-dyngusa.**

Tak było zawsze, nic nadzwyczajnego teraz się nie dzieje. Czytamy nieustannie o atakowanych wiadrami wody starszkach, ale zapewniam, że podobnie się działo w czasach dawniejszych. Wiadra z wodą też były w ruchu.

**Co właściwie oznacza śmigus-dyngus?**

To dwa oddzielne słowa, które stały się zbitką, nie do końca wiadomo kiedy. Dyngus, inaczej wykup, to po prostu kołędowanie i zbieranie datków. Dzisiaj ta tradycja zachowała się w głównie na wsiach, gdzie obchodzono z chórągami pola po mszy rezurekcyjnej.

**A śmigus?**

To śmiganie, czyli uderzanie, smaganie witkami, o którym już mówiliśmy. Wiosenne pobudzanie witalności. Warto dodać, że biczowanie było wielowymiarowym obyczajem okresu Wielkanocy. Kiedyś okładano się palmami z Niedzieli Palmowej. Popularne też były procesje kapników i samobiczowanie się odnoszące się do męki Chrystusa. Ten zwyczaj został w końcu zakazany przez Kościół katolicki, ale co roku możemy oglądać w telewizji, jak na Filipinach mężczyźni umęczają ciało do krwi, a nawet są przybijani do krzyża.

**Bicze w naszej tradycji zastąpiła głównie woda?**  
Która świetnie pasuje do Zmartwychwstania, bo jest uniwersalnym sym-

bolem oczyszczenia, nowego życia. Kiedyś podczas Wielkiego Tygodnia dokonywano ablucji w rzekach, strumieniach. Był też obyczaj mycia się wodą z miednicy, w której były monety. To miało zapewnić dostatek.

#### Najważniejszym symbolem Wielkanocy jest niezmiennie jajko.

To symbol uniwersalny, znany we wszystkich kulturach indoeuropejskich. Jajko to życie i potencja, symbolizuje również kosmos.

#### Kiedy jajko zostało inkorporowane przez polski katolicyzm?

Na samym początku. Postępująca chrystianizacja ochrzciła też obecne w kulturze ludowej od zawsze jajko i nadała mu nowy sens – jajko stało się symbolem Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. A w kulturze i tradycji było od zawsze. Kontaktowano się nim także z zaświatami. Jajka były strawą dla tamtego świata, dlatego zanoszono je na groby. Ten zwyczaj ostał się tylko jeszcze na wschodnich rubieżach Polski, w regionach o silnych wpływach prawosławia.

#### A dlaczego jajka zdobimy?

Jest wiele niezwykle ciekawych mitów powstałych na bazie kultury chrześcijańskiej dotyczących pisanek. Jeden z nich mówi, że autorką pierwszych pisanek jest Matka Boska. Kiedy zobaczyła ukrzyżowanego Jezusa, zapłakała i jej łzy zabarwiły jajka – utworzyły desień z błękitnych plamek.

#### Ale skąd Ona miała te jajka ze sobą?

To nie ma znaczenia, tego mit nie wyjaśnia. Jeszcze inny mit mówi, że pierwsze jajka były zafarbowane na czerwono od krwi Chrystusa. Dlatego długo to był dominujący kolor pisanek, który uzyskiwano dzięki gotowaniu jaj w wywarze z cebuli.

#### Czyli robiąc kraszankę, co jest stosunkowo proste. A co ze sztuką pisankarską? Polska jest tu chyba potęgą?

Rzeczywiście, mamy w tej dziedzinie wielkie osiągnięcia. We wschodniej Pol-



Agnuski (od Agnus Dei, czyli Baranek Boży) wyrabiano dawniej z wosku, później z masła lub ciasta. Służyła do tego specjalna drewniana lub miedziana forma.

sce dominuje metoda batikowa, do której potrzebne jest tak zwane żelazko. To cienki, wypełniony woskiem metalowy lejek. Podgrzewa się go nad świecą, wosk się roztopia i można nim pisać różne wzory, głównie geometryczne. Następnie wkłada się jajko do dowolnego barwnika, wyciąga, płucze pod ciepłą wodą, która wosk roztopia, i mamy gotową pisankę.

Inną metodą, praktykowaną na Karpach, jest tworzenie pisanki za pomocą rdzenia tataraku. Wyciąga się go delikatnie i następnie wykleja nim wzory na jajku. W Łowiczu i okolicach jajka okleja się z kolei kolorowym papierem, wycinanką. Co region, to inna metoda.

#### Robienie pisanek to tradycja zamierająca czy trzyma się niezłe?

Źle nie jest, bo chyba w każdym przedszkolu i szkole w Polsce dzieci przed Wielkanocą robią pisanki i przynoszą je później do domów. Pisanki są więc tworzone przez kolejne pokolenia.

#### Ale ciągle tradycyjnie czy nowymi metodami?

Tu ograniczeniem jest tylko wyobraźnia osoby robiącej pisankę. Jajka dzisiaj dekoruje się dosłownie wszystkim: sznurkiem, wstążkami, brokatem, naklejkami. Nie ma żadnych granic. Stosunkowo nowe jest pojawienie się na pisankach wzorów figuralnych: zajączków, baran-

ków, a nawet Chrystusa z chorągwią rezurekcyjną. Są też pisanki posrebrzane i pozłacane. I oczywiście najsłynniejsze na świecie, wysadzone drogimi kamieniami, jajka Fabergé.

#### Mówimy o pisankach jako obiektach dekoracyjnych, ale jeśli są poświęcone, to trzeba je przecież przede wszystkim zjeść.

To prawda, święconka powinna być zjedzona. Można takie jajko też komuś podarować. Kiedyś dostawały je dzieciaki, które chodziły po kweście. Matka chrzestna dawała je chrześniakom. Jajo dawało się także osobie, z którą chciało się zażegnać spór. Czyli święconka na zgodę.

#### Skoro jesteśmy przy święconce, czyli koszyczku z jajkami i innymi produktami, to zdaje się, że to typowo polski wynalazek, prawda?

Bardzo polski, choć też zmieniający się z czasem. Kiedyś zapraszano kapłana, który święcił wielkie kosze jedzenia, w których było wszystko, co chciało się potem skosztować. Dzisiaj święconka ma wymiar symboliczny. Niesiemy tylko odrobinę pokarmu. Jajka, szynkę, chrzan, sól. Koszyczek jest oczywiście przyozdobiony bukszpanem.

#### Dlaczego właśnie nim?

Bo jest wiecznie zielony.

W czasie Wielkanocy Żydzi obchodzą Pesach, czyli po polsku Paschę. Zresztą Paschą nazywano także Wielkanoc. Najważniejszym elementem Pesachu jest przebiegająca według ściślego porządku kolacja sederowa (seder znaczy po hebrajsku porządek), a na talerzu musi się między innymi znaleźć jajko. Czy to możliwe, że chrześcijaństwo zainspirowało się judaizmem?

Być może, choć nie jestem do tego przekonany. Jajka były głównym składnikiem wielkanocnych uczt. Nadal są najważniejsze podczas śniadania w Wielką Niedzielę. Jest za to teoria, że sztuka wycinanki, służącej do ozdabiania izb świątecznych, została przez katolików przejęta właśnie z tradycji żydowskiej.

Fascynujący jest ten przepływ obyczajów. Ciągły ruch w interesie.

Jest ruch, bo kultura się ciągle zmienia. Przecież święconka była nieznana na Śląsku. Dopiero po wojnie obyczaj wędrowania z koszyczkiem do kościoła przywieźli w tamten rejon kraju napływający masowo Polacy. Podobnie było z choinką w Boże Narodzenie na Kaszubach.

#### A baba wielkanocna była wszędzie?

Prawie, ale wywodzi się z kultury szlacheckiej i jest – trzeba przyznać – tematem samym w sobie. Baba musiała mieć idealny rozmiar i kształt, nie mogła być zwichrowana, bo to wróżyło nieszczęście. Robiono ją w dzieży, czyli drewnianym naczyniu wyciosanym z dębu, bo dąb to drzewo piorunowe, ma moc ochronną. Do baby, o czym nie można zapomnieć, dodaje się dużo jajek, a jej smak ewoluował z czasem. Dzisiaj baby są słodkie, a kiedyś bardziej pachniały podpiwkami.

**Baba musiała mieć idealny rozmiar i kształt, nie mogła być zwichrowana, bo to wróżyło nieszczęście. Utensylia do jej wypieku również mają rozległą biografię symboliczną. Dzieża jest macicą, w której wyrasta ciasto – nowe życie.**

#### Baba ma jakieś symboliczne znaczenie?

I to jakie! Wyrabianie i wypiekanie pieczywa obrzędowego było aktem symbolicznej kreacji świata. Utensylia do wypieku również mają rozległą biografię symboliczną. Dzieża jest macicą, w której wyrasta ciasto – nowe życie.

#### Niezłe. Przejdźmy teraz do palm, bo to chyba jedyny atrybut wielkanocny, który jest zaczerpnięty prosto z Biblii.

To historia wjazdu Jezusa do Jerozolimy. Nie mamy w naszym klimacie palm daktylowych, więc tradycja wytworzyła ich polskie odpowiedniki. Do dzisiaj robienie palm to ważne wydarzenie w wielu miejscowościach. Przygotowuje się leszczynowe żerdzie, otacza je bukszpanem, całość wieńczą gałązki sosny. Im

większa palma, tym większa chluba dla ludzi, którzy ją przygotowali. Często rywalizowały między sobą całe wsie.

Przygotowania do Niedzieli Palmowej trwały nieraz całymi tygodniami. W okresie zimowym obcinano na przykład gałęzie drzewom owocowym i wkładano do wody, by puściły pąki. Potem przyozdabiano nimi palme. Używano też bagniatek, czyli bazi. Nimi z kolei smagano zwierzęta.

#### A jakie znaczenia mają wybitki, czyli stukanie się jajkami?

To zwykła zabawa, lubiana szczególnie przez dzieci. Można wybitki uznać za animację czasu wolnego.

#### Kurek dyngusowy to też zabawa?

Obwożenie na specjalnym wózku figurki koguta po wsi to tradycja, która jest znana obecnie wyłącznie z opowieści. Kogut jest symbolem siły, płodności, witalności.

#### Dlaczego pojono go alkoholem?

Żeby było zabawnie. Kogut się wtedy zataczał. Alkohol podczas tego typu obrzędów miał charakter mediacyjny, sprawiał, że zwierzę było bliższe zaświatom. Z czasem żywego koguta zaczęto zastępować drewnianą figurką.

#### Najnowszymi nabytkami w wielkanocnym wachlarzu symboli są kurczaczki, zajączki, baranki.

Baranki nie są takie nowe. W Polsce agnuski (od Agnus Dei, czyli Baranek Boży) wyrabiano dawniej z wosku, później z masła lub ciasta. Służyła do tego specjalna drewniana lub miedziana forma. Nowością stały się baranki z masy cukrowej, które wyparły te z masła. Kurczaczki przywędrowały do nas z Zachodu, podobnie jak zajączki, znane wcześniej w kręgu kultury niemieckiej i anglosaskiej. Zdomowały się szybko w wielkanocnej symbolice, są w końcu symbolami płodności.

#### Odnoszę wrażenie, że większość ludowych obyczajów związanych z Wielkanocą kręci się wokół cielesności, pobudzania, płodności.

No tak, w końcu idzie wiosna! ☺

JACEK MARCZYŃSKI

# Pasja człowieka dzisiejszego

Gdy dzisiaj twórcy przedstawiają **mękę i ukrzyżowanie Chrystusa**, nie czynią tego jak dawni mistrzowie, na chwałę Boga. Interesuje ich człowiek ze swoimi wadami, lękami i problemami.

**W**surowym wnętrzu warszawskiej archikatedry na prostym, drewnianym krześle siedzi przed ołtarzem Maja Komorowska. Kiedy czyta fragmenty Ewangelii wg św. Łukasza, przypomina matkę z troską o los swego syna prowadzonego na śmierć na Golgocie. On sam, ubrany w białą koszulę i ciemny prosty garnitur, zbliża się do nas, idąc powoli między rzędami kościelnych ławek. Siedzący w jednej z nich, razem z widzami, Piotr Nowacki zrywa się nagle, by wyprzeć się znajomości z Chrystusem, a jego potężny bas długo rozbrzmiewa we wnętrzu świątyni. My zaś czujemy, jakby cząstka tego kłamstwa obciążała nas, bo przyzwyczailiśmy się, że w sytuacjach wymagających odwagi lepiej zachować obojętność.

Tak podczas tegorocznego wielkopostnego festiwalu Gorzkie Żale w Warszawie Tomasz Cyz zainscenizował „Pasję według św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego. Z ogromnego dzieła skomponowanego na solistów, orkiestrę i cztery chóry wykreślił skromne, kameralne, niespełna godzinne widowisko. Partię orkiestry zastąpił organami, z sekwencji chóru zachował odtworzony z taśmy poruszający lament opisujący Matkę Bożą, stojącą pod krzyżem. I okazało się, że w śpiewanych partiach

solistów jest ponadczasowa prawda o ludzkich słabościach, ale i o gotowości do poświęceń. Widowisko „Pasja – fragmenty” poruszało surowym pięknem antycznej tragedii.

## Pod kosmiczną kopułą

Po ponad 45 latach od powstania „Pasja według św. Łukasza” Pendereckiego bardzo pociąga teatralnych twórców. Właśnie ukazała się na DVD inna inscenizacja, którą zrealizował Grzegorz Jarzyna. Jej telewizyjną premierę zapowiada na Wielki Piątek TVP 2. Na miejsce akcji reżyser wybrał supernowoczesną halę studia w podkrakowskiej Alwerni.

– „Pasja” Pendereckiego to dla mnie jeden z najważniejszych utworów, towarzyszy mi od młodości lat – mówi Jarzyna. – Jeśli nie zrobiłem wcześniej tego spektaklu, to dlatego że nie znalazłem odpowiedniego wnętrza. Wiedziałem, że nie może rozgrywać się w świątyni, bo takie miejsce nasuwa widzom zupełnie inną interpretację. Ja chcę, żeby to była „Pasja” człowieka dzisiejszego.

Pod kosmiczną kopułą w Alwerni środek hali przeznaczono dla orkiestry i solistów. Wokół zasiedli wymieszani widzowie i chórzyscy. Ci ostatni ubrani w szaty, jakby uszyte dwa tysiące lat

temu, a zarazem współczesne. „Pasja” rozgrywa się bowiem tu i teraz, wszyscy staliśmy się jej uczestnikami. Jest dynamiczna i odarta z sacrum, bo Grzegorz Jarzyna chciał udowodnić, że w naszym dzisiejszym życiu coraz mniej jest dla niego miejsca.

Nie taki był zapewne zamysł Krzysztofa Pendereckiego, gdy przystępował do komponowania „Pasji”. W chwili otrzymania zamówienia na utwór, którym planowano uświetnić 700-lecie katedry w niemieckim Münster, miał 30 lat. Był wówczas kompozytorem, który zdobył sławę dzięki radykalnym eksperymentom. I oto czołowy przed-

stawiciel awangardy niespodziewanie zwrócił się ku przeszłości. Wykazał się odwagą, której przez 150 lat brakowało kompozytorom onieśmielonym dokonaniem Jana Sebastiana Bacha lub też dzieląc opinię Romaina Rollanda o muzyce przeszłości. Francuski pisarz powiedział kiedyś o arcydziele baroku, „Pasji Brockhausa” Georga Friedricha Händla, że „zły smak styka się w niej ze wzniosłością”.

## Zaginione rękopisy

Gdy w 1723 r. Jan Sebastian Bach został kantorem kościoła św. Tomasza w Lipsku, przez ponad ćwierć wieku – aż

Kompozytor Krzysztof Penderecki wybrał do swojej „Pasji” tylko te wersety Ewangelii, które uznał za niezbędne. To opowieść najkrótsza z możliwych.

do śmierci – co tydzień musiał dostarczać muzykę do niedzielnych mszy. Jeden ze zbiorów utworów organowych ozdobił sentencją, która może być mottem dla całej jego twórczości: „Bogu najwyższemu na chwałę jedynie, bliźniemu na pożytek, co z nauki płynie”.

W religii protestanckiej historia Męki Pańskiej ma szczególne znaczenie, jej lektura zalecana jest nie tylko podczas Wielkiego Tygodnia. W wykazie utworów Bacha spisanych krótko po jego śmierci w 1750 r. jest zatem mowa aż o pięciu pasjach, ale do naszych czasów zachowały się dwie, los pozostałych jest nieznan. Nie wiado-

mo, czy ich autografy dostały się w ręce spadkobierców, gdy utworami podzielili się wdowa Anna Magdalena i czterech synów Bacha. Niektórzy sprzedawali potem rękopisy na aukcjach. Jeden z synów, Johann Christian, uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczył na podróż do Włoch.

Ocalała „Pasja według św. Jana”, wykonana w Wielki Piątek w Lipsku w 1724 r. – zwarta, o surowej prostocie, jest podzielona na dwie części. Pierwsza opowiada o pojmaniu Chrystusa, druga opisuje sąd nad nim, mękę na krzyżu i zmartwychwstanie. Największe wrażenie wywiera pieśń wieńcząca całość,

GRZEGORZ ZIEMIAŃSKI/MBF/MATERIAŁY PRASOWE





PIOTR GUZIK

a jej ostatnie słowa – „Panie Jezu Chryste, wysłuchaj mnie. Chcę Cię sławić na wieki” – można uznać za wyznanie samego Bacha.

W 1729 r. Bach zaprezentował „Pasję według św. Mateusza”. Jej 20 scen pokazuje zdarzenia od Ostatniej Wieczerzy do złożenia do grobu ciała Chrystusa. Kompozytor skorzystał z tekstów ulubionego autora – na co dzień urzędnika pocztowego – Christiana Friedricha Henriciego, w dziejach literatury znanego jako Picander. O tym zaś, z jaką sumiennością Bach pracował, świadczą rękopisy tej „Pasji”. Wszystkie teksty Ewangelii wpisał własnoręcznie czerwonym atramentem, nuty i pozostałe słowa – brązowo-czarnym. Arie zachwycają zaś nie tyle wokalnymi ozdobnikami, ile oryginalnymi rozwiązaniami brzmieniowymi i siłą wyrazu.

Penderecki nie korzystał z wzorów Bacha bezkrytycznie, widać to już w podejściu do ewangelicznego tekstu. Bach nie odważył się w nim dokonywać skrótów, Penderecki wybrał tylko te wersety, które uznał za dramatycznie

nie niezbędne. Jego pasja rozpoczyna się od sceny na Górze Oliwnej, kończy śmiercią na krzyżu. To opowieść najkrótsza z możliwych, przekazana za pomocą najmniejszej liczby słów, ale w sposób niezwykle dynamiczny. – Chodziło mi o to – tłumaczył kompozytor – aby nikt nie stał z boku. Każdy z nas może być wciągnięty przez tłum pasyjny, który domaga się ukrzyżowania Chrystusa, podobnie jak każdego dotyczy Odkupienie.

W muzyce odwołał się nie tylko do polifonii Bacha, ale i chorału gregoriańskiego, łącząc to z techniką XX-wiecznej dodekafonii i własnymi eksperymentami brzmieniowymi. Prawykonanie „Pasji według św. Łukasza” odbyło się 30 marca 1966 r. w katedrze w Münster. Z niemieckimi zespołami wystąpili polscy soliści – Stefania Woytowicz, Andrzej Hiolski, Bernard Ładysz, a dyrygował stały artysta kompozytora, Henryk Czyż (pokłócili się i rozstali się definitywnie cztery lata później przy okazji premiery „Diabłów z Loudun” w Hamburgu). W latach 1967–1970

Inscenizację „Pasji według św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego Grzegorz Jarzyna zrealizował w hali studia w podkrakowskiej Alwerni.

utwór doczekał się około 70 wykonań, co w muzyce współczesnej jest absolutnym ewenementem.

### Studencki buntownik

W tym samym czasie, gdy Penderecki komponował „Pasję”, Włoch Pier Paolo Pasolini przystępował do realizacji filmu „Ewangelia św. Mateusza”. Lewicowy radykał i skandalista, nieukrywający swego homoseksualizmu, wydawał się być ostatnim twórcą, któremu można powierzyć nakręcenie opowieści o Męce Pańskiej. Powiedział jednak kiedyś: „Jeżeli wiesz, że jestem niewierzący, to znasz mnie lepiej niż ja sam. Być może jestem człowiekiem niewierzącym, ale takim, który tęskni za wiarą”.

Pasolini zawsze solidaryzował się z ludźmi ubogimi i odrzuconymi. Amerykańskich studentów walczących z dyskryminacją rasową porównywał do pierwszych chrześcijan, bo cechowała ich podobna stanowczość. Do roli Jezusa zaangażował spotkanego przypadkiem studenta ekonomii. Przystojny Katalończyk o ciemnych włosach i gęstym zarostie był młodym buntownikiem. Mógłby stanąć na czele studenckiej rewolty, która niebawem, w 1968 r., miała przetoczyć się przez Europę.

Jeszcze bardziej konkretnego powiązania tematu pasyjnego ze współczesnością dokonał Andrzej Wajda w filmie „Piłat i inni” (1972), swobodnej adaptacji wątków ewangelicznych z „Mistrza i Małgorzaty” Michała Bułhakowa. Drogę Krzyżową nakręcił na ulicach Frankfurtu nad Menem. Jeszua (brodaty, z przepaską na włosach Wojciech Pszoniak) jechał na wozie z krzyżem, mijając przechodniów. Scenę Golgoty umieścił na śmietniku przy autostradzie.

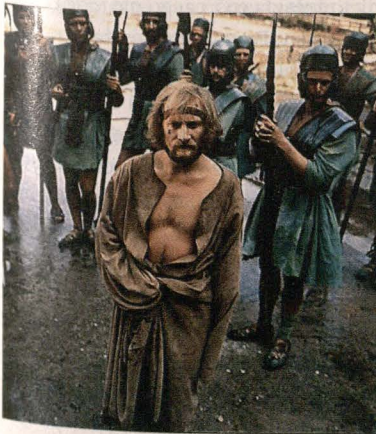
„Pokazałem turystów, którzy rzucają się do okien autokaru, by przez moment zobaczyć egzekucję” – wspominał potem Wajda – „ale znaki drogowe zakazujące zatrzymywania rozwiązuje problem moralny. Gdybyśmy przybliżyli do krzyża człowieka prawdziwymi goździami, ich reakcja byłaby taka

sama. Cóż można zrobić dla cierpiącego, jak mu pomóc, skoro pojedź i tak nie może się zatrzymać. Myślę, że film dobrze oddawał smutek obojętności i samotność śmierci”.

### Opowieść o egzekucji

Nakładem „Zeszytów Literackich” ukazała się niedawno książka Tomasz Cyza „Pasja 20,21. Powroty Chrystusa”. Autor, muzykolog z wykształcenia, nie pozostaje w świecie swoich zawodowych obowiązków. Zaprasza czytelnika do wędrówki przez współczesną sztukę. Przypomina spektakle teatralne Jerzego Grotowskiego i Krystiana Lupy. Sięga do malarstwa Marca Chagalla, choćby do obrazu „Męczennik” pokazującego płonące miasteczko żydowskie i ukrzyżowanego na słupie człowieka, przepasanego modlitewnym tafilesem. Cytuje zdanie Chagalla: „Motyw Chrystusa w moich obrazach to typ naszego męczeństwa na tym świecie”. Biograf artysty, Jonathan Wilson, skontrował tę myśl: „Jezus niemal zawsze w twórczości Chagalla jest nie tyle Synem Bożym, ile cierpiącym Żydem”.

W książce nie zabrakło oczywiście „Ostatniego kuszenia Chrystusa” Martina Scorsese, uznanego za jeden z najbardziej skandalizujących obrazów w dziejach kina. Ale Tomasz Cyz wydobyl też z zapomnienia wzruszający film kanadyjsko-francuski z 1989 r. „Chrystus z Montrealu” Daniela Colombe’a. To opowieść o aktorach przygotowują-



Andrzej Wajda w „Piłacie i innych” (1972) pokazał Drogę Krzyżową na ulicach Frankfurtu nad Menem w tłumie współczesnych przechodniów.

**Jedni twórcy otwarcie deklarują ateizm, inni mówią o poszukiwaniu Boga, tylko nieliczni wprost przyznają się do wiary.**

cych widowisko pasyjne. Im bardziej zagłębiają się w wydarzenia sprzed prawie dwóch tysięcy lat, tym mocniej odczuwają miłość własnego życia. W finale czwórka apostołów zwraca się wprost do widzów: „Nie bądźcie egoistami. Miłujcie się. Szukajcie zbawienia. Niech pokój zamieszka w waszych sercach”.

Jest też u Cyza analiza cykli „Drogi Krzyżowej” namalowanych przez Jerzego Nowosielskiego dla kościołów w Wesołej pod Warszawą oraz na krakowskich Azorach. Artysta powiedział, co prawda, kiedyś o tym biblijnym temacie: „To opowieść zawierająca w swej malarskiej warstwie elementy sadyistyczne. Opowieść o torturach, o egzekucji”. Kiedy zdecydował się na własną realizację, jego Drogi Krzyżowe robią piorunujące wrażenie. O tej z kościoła w Wesołej Tomasz Cyz napisał: „Nie ma w sobie nic z triumfu, zwycięstwa nad śmiercią, nadziei na zmartwychwstanie. Jest tylko rozkładająca się ciemna materia, zejście do otchłani, mrok śmierci. Nie wiem czemu, ale kolory tej Drogi Krzyżowej przypominają mi spacer po Auschwitz”.

Niezwykle znaczenie „Pasji” Krzysztofa Pendereckiego polega i na tym, że utwór zachęcił innych kompozytorów, by poszli w jego ślady. Najwspanialsza jest „Pasja według św. Jana” z 2000 r. rosyjskiej kompozytorki mieszkającej w Niemczech Sofii Gubajduliny, którą potem dopełniła „Zmartwychwstaniem według św. Jana”. Dramatyzm biblijnych wątków połączyła z obrzędkiem prawosławnym i jego tradycją muzyczną. Dało to efekt niezwykle, zupełnie inny niż w kameralnej, skomponowanej w latach 80. na zaledwie czterech solistów, mały chór i pięć instrumentów „Pasji Janowej” Estończyka Arvo Pärtta. Niezwykła jest

„Pasja według św. Marka” Argentyńczyka Osvaldo Golijovia z 2000 r., w której chórálne kontemplacje ustąpiły miejscem tańcom, przybliżając utwór do musicalu.

### Gitara Piłata

W dzisiejszej sztuce odwaga generalnie staniała. A jednak miał jej wiele Paweł Mykietyn, przedstawiając w 2008 r. „Pasję według św. Marka”. Nadał zdarzeniom odwrotny bieg – od przejmującego krzyku umierającego na krzyżu Jezusa po dokonane w nocnej ciszy jego pojmanie. Recytatorem uczynił Piłata, partię ukrzyżowanych łotrów oraz narratora powierzył czterem głosom chłopięcym, Chrystusa – uroklivemu mezzosopranowi Urszuli Kryger, z myślą o której tę rolę pisał. Cały utwór zbudował z surowych elementów, jakimi często są pojedyncze, wielokrotnie powtarzane dźwięki poszczególnych instrumentów czy poszczególne głosy niewielkiego chóru. Muzyczny ascezyzm zburzył Mykietyn w scenie przesłuchania przez Piłata elektrycznymi gitarami, rozbrzmiewającymi, gdy Piłat (Maciej Stuhr) rozmawia z żydowskim tłumem. Partię Judasza komponował z myślą o Lechu Janerce, ostatecznie zaś śpiewała ją ostrym, rockowym głosem Katarzyna Moś.

– Jestem wierzący, choć może nie bardzo religijny – wyznaje Paweł Mykietyn. – Przez długi czas myślałem, że nie będę w ogóle pisał muzyki sakralnej. Dawniej zresztą ten podział był prostszy, czytelniejszy. Jeśli muzyka służyła nabożeństwu, była sakralna. A dzisiaj?

Odpowiedź na to pytanie podsuwała Tomasz Cyz: – Pasję nie powstają na klęczkach. Jedni twórcy otwarcie deklarują ateizm, inni mówią jedynie o poszukiwaniu Boga, doświadczaniu Go na swój sposób, nieliczni tylko wprost przyznają się do wiary. Nie to jest jednak najważniejsze. Okazuje się bowiem, że obok Chrystusa nie można przejść obojętnie, że Jego los, słowa, śmierć i zmartwychwstanie stają na drodze, domagają się oddźwięku.

ROZMAWIA ANNA GWOZDOWSKA

# Lekarze na służbie

Miarą wartości człowieka jest to, ile zrobi dla innych – przekonuje w rozmowie z „Przekrojem” dr Maria Sielicka-Gracka.

**W**arszawianka. Jest endokrynologiem dziecięcym. Od ponad 20 lat z grupą zapaleńców leczy bezpłatnie bezdomnych. W kontenerach przy ul. Wolskiej przyjmują 10 tys. nieubezpieczonych pacjentów rocznie. Szacuje się, że na terenie całego Mazowsza żyje około 5 tys. bezdomnych, z czego dwie trzecie w Warszawie. Państwo nie zauważa ich potrzeb zdrowotnych.

W czasie naszej rozmowy dr Maria Sielicka-Gracka odbiera telefon od zdenerwowanej młodszej koleżanki i diagnozuje przypadek, o którym rozmawiają: – To znaczy, że ma spastyczne zmiany w oskrzelach – mówi spokojnym i pewnym głosem – nie dawaj mu więcej niż trzy razy dziennie po łyżeczkę. Jaki ma szmer? Pęcherzykowy? Osłabiony? Kiedy po chwili odkłada słuchawkę, przyznaje, że jej znajoma lekarka jest przerażona, bo dziecko się dusi. – Wychowuję trzecie pokolenie lekarzy i maluchów – zamyśla się. Kocha pediatrię, ale bez pracy dla bezdomnych nie wyobraża już sobie życia.

## Dlaczego zaczęła pani leczyć bezdomnych?

Z nakazu dr Marysi Czarneckiej (śmiech). Ona sobie w ogóle nie wyobrażała, że mogłabym robić coś innego. „Przyjdiesz i się tym zajmiesz” – powiedziała mi któregoś dnia. Zresztą to zawsze się tak odbywa. Ona jest człowiekiem niezwykle wrażliwym na potrzeby innych. Podoba mi się jej osobowość. Jest dość bezpośrednia w kontaktach z ludźmi. Taka prawdziwa. Naprawdę mam szczęście, że ją znam. Trafiłam do niej w czasie mojego

pierwszego stażu, w poradni dziecięcej na Lesznie.

Pierwsza poradnia dla bezdomnych, właśnie dzięki dr Czarneckiej, powstała w 1992 r. na warszawskiej Sadybie, przy Powsińskiej. Na początku okoliczni mieszkańcy protestowali, spotykaliśmy się z niezyczliwością, ale pomógł ksiądz proboszcz. Przyszedł na zebranie lokalnej społeczności inicjujące powstanie poradni i nikt już nie śmiał protestować. Musieliśmy jednak stamtąd szybko uciekać, bo w tym samym miejscu zaplanowano muzeum wojska. W 1994 r. otworzyliśmy następną poradnię na Wolskiej, w kontenerach, które zostały po budowie metra. To była droga przez mękę, walczyliśmy dosłownie o wszystko. W końcu dzięki znaczącej pomocy finansowej, którą otrzymaliśmy od organizacji Medecins du Monde, do której wówczas należeliśmy, urządziliśmy poradnię. Dopiero po kilku latach nazwaliśmy się Lekarzami Nadziei, nie zmieniając szefa – profesora Zbigniewa Chłapa – ani zadań statutowych. Otwarcie odbyło się 15 grudnia 1994 r. – pamiętam, bo tego dnia urodził się mój wnuk. Działamy tam do dziś.

## Pani specjalność to pediatria. Nie obawia się pani leczenia dorosłych?

Przyznaję, że to dla mnie bardzo trudne. Leczenie zwykłego przeziębienia

**Pracujemy za darmo, bez żadnych list obecności. Taki system funkcjonuje od ponad 20 lat. To coś, czego nie mogą pojąć urzędnicy.**

nie jest oczywiście problemem, ale bezdomni przychodzą często z poważnymi schorzeniami, choćby kardiologicznymi. Na szczęście w naszym zespole pracują teraz 22 osoby – lekarze bardzo różnych specjalności. Na przykład moja koleżanka z roku, znana pulmonolog. Bardzo się przydaje. Większość lekarzy to emeryci, którzy nie chcieli się rozstać z zawodem. To specjaliści wysokiej klasy. W życiu zresztą tak bywa, że ludzie, którzy chcą coś robić dla innych, zawsze się gdzieś spotykają. Moje drogi z dr Czarnecką też się w pewnym momencie rozeszły, ale kiedy powstała „Solidarność”, spotkałyśmy się w komisji etyki.

## A jak odbywa się rekrutacja do poradni przy Wolskiej?

Rozmawiam, opowiadam o naszej poradni, a na koniec rzucam: „Jak chcesz, możesz do nas przyjść”. A kiedy już ktoś do nas raz przyjdzie, zostaje. W poradni panuje szczególna atmosfera. Wszyscy czujemy się odpowiedzialni za to, co robimy. Nie jesteśmy wynagradzani, to zresztą coś, czego nie mogą pojąć urzędnicy. Pracujemy bez żadnych list obecności, każdy po prostu wie, kiedy ma przyjść. Taki system funkcjonuje od z góry 20 lat i naprawdę świetnie się sprawdza. A przecież pracują z nami także młodzi ludzie, którzy są dopiero na początku kariery lekarskiej. Kierownikiem poradni jest teraz 33-letnia lekarka Aneta Obcowska, kończąca specjalizację z chirurgii. Jest bardzo zaangażowana. Przyszła, bo gdzieś o nas usłyszała, i wsiadła, mimo że to dla niej ogromne obciążenie. Do tej pracy szyb-

ko się można przyzwyczaić i zrezygnować jest bardzo trudno.

## Codziennie można panią spotkać w poradni pediatrycznej. A jak dużo czasu może dziś pani poświęcać bezdomnym?

Przyjmuję ich raz na dwa tygodnie, bo nióstwo czasu zajmuje mi praca biurowa związana z prowadzeniem tej naszej kontenerowej przychodni. Trzeba się starać o dotacje, chodzić do urzędów, pisać sprawozdania. A pacjentów nie można zawieść. Oni się do nas przyzwyczajają. Kiedy zdarza mi się nieobecność, np. z powodu urlopu, mają do mnie pretensje, mimo że przecież ktoś mnie zastępuje. Bezdomni chcą mieć kogoś na stałe, kto wie, co ich boli, komu już raz o tym opowiedzieli. Jak każdy pacjent chcą mieć swojego zaufanego lekarza.

## Jakimi ludźmi są pani pacjenci?

To przekrój wszystkich możliwych ludzkich typów. Na początku lat 90. przychodziło wielu mieszkańców hoteli robotniczych, które wtedy likwidowano. Ale dziś większość bezdomnych to po prostu ludzie, którzy nie potrafią zadbać o siebie. I choć jest wśród nich sporo ludzi wykształconych, nie umieją oszczędzać – jeśli coś zarobią, to od razu wydają, przepijają. Zresztą gros pacjentów jest uzależnionych od alkoholu. Wielu wraca do nas jak bumerang. Prowadzimy dokumentację, dlatego wiem, że kiedy jakiś bezdomny przepada na długo, to pewnie kiedyś wróci. Okazuje się później, że był np. na odwyku, przez jakiś czas nawet normalnie żył, ale z powodu jakiegoś przeżycia znów wrócił na ulicę.

## Mają szansę na wyjście z bezdomności?

Większość z nich próbuje coś zmienić, ale to nie wychodzi. Zresztą takie nieudane próby to przecież bólaczka wszystkich nas, nie tylko bezdomnych. Wśród moich pacjentów zauważam wielu ludzi, którym trzeba by pokierować, zorganizować im życie, pokazać, co mają robić. Niestety, brakuje im samodzielności, inwencji, a w dodatku są



obciążeni nałogiem. Jednocześnie trzeba pamiętać, że dla niektórych to styl życia. Często nie potrafimy zrozumieć, że oni nie potrafią i nie chcą inaczej żyć. Ludzie są bardzo różni. Dlatego nie uważam się nad nimi.

Moja rola nie polega na przerabianiu ich na kogoś innego. Daję im wskazówki, mówię, co trzeba robić, żeby później nie mieli pretensji, że nikt im tego nie powiedział (tak jak dzieciom), ale wybór należy do nich.

#### I nie denerwuje pani, że nic się nie zmienia?

Wracają do mnie z coraz gorszymi chorobami, ale nigdy nie podnoszę głosu. Nie mamy spięć, mimo że czasem przychodzą pod wpływem alkoholu. Staram się badać każdego, nawet jeśli jest nietrzeźwy, przecież zdarzają się przypadki ciężkiego zapalenia płuc. Przyznaję jednak, że nie zawsze jest łatwo. Koleżanka z poradni, potężna kobieta, z wykształcenia dermatolog, została popchnięta przez jednego z pacjentów. Przez długi czas odczuwała lęk i przestała przychodzić. Ale agresja ze strony pacjentów to jednak rzadkość.

#### Pani pacjenci są brudni, zaniedbani, często wręcz gnije im skóra. Jak pani sobie z tym radzi?

Z trudem. Przeszkadza mi smród, choć nie wszyscy pacjenci przychodzą brudni i cuchnący. Zauważyłam, że wielu z nich, zanim pojawią się w moim gabinecie, stara się jakoś o siebie zadbać. Mamy też dla nich czystą bieliznę. Po leczeniu świerzbu nie mogą przecież założyć tych samych ciuchów. Na marginesie, nauczyłam się nie dawać moim pacjentom nowych rzeczy, bo je przepijają. Kiedyś dawałam im pieniądze na leki, ale teraz już wiem, że nie wolno tego robić.

Brud rzeczywiście daje się nam we znaki, ale w tej chwili jest naprawdę lepiej niż kiedyś. Wysyłamy np. naszych pacjentów do mycia, choćby w kościelnych ośrodkach, gdzie są dostępne łazienki dla bezdomnych. Najgorsze są wszy. Pocięłam się tylko tym, że mam bardzo nędzne włosy, w których wszy nie chcą się trzymać (śmiech).



Warszawska poradnia dla bezdomnych działa w kontenerach, które lekarze wyprosilili w firmie budującej metro.

#### Czy w każdym z nas drzemie potrzeba pracy dla innych?

To kwestia wychowania. Kiedy odmówię pomocy jakiemuś pacjentowi, gryzie mnie sumienie, bo przecież mogłam poświęcić mu choćby pięć minut. Po latach doszłam więc do wniosku, że lepiej, czasem wbrew sobie, znaleźć kilka minut na rozmowę czy wizytę i nie zadrećcać się później wyrzutami sumienia. Działałam jeszcze w starym harcerstwie, gdzie wspólna praca bardzo się liczyła. Demokracja nie polegała wówczas na tym, że każdy robił to, co chciał, granicą wolności była czyjaś krzywda czy wyrządzone komuś przykrość. Ubolewam nad tym, że w tej chwili tego młodych nie uczą. Dlaczego nie wychowywać dzieci w taki sposób, aby praca dla innych sprawiała im przyjemność? Kiedyś tego typu edukacja była częścią tzw. dobrego wychowania. Zawsze przypomina mi się przy tej okazji pytanie mojej starszej koleżanki o to, jaka jest różnica między człowiekiem kulturalnym a dobrze wychowanym. „Człowiek dobrze wychowany, jeśli kogoś potrąci, mówi przepraszam, a kulturalny nigdy nikogo nie potrąca” – odpowiedziała za mnie. Powtórzyłam później tę opowieść świetnie wykształconej, utytułowanej osobie. Jej reakcja była znacząca: „To pani uważa, że człowiek kulturalny nie jeździ autobusem?”. Według mnie to jej zdziwienie

nie to dobra puenta, bo są ludzie, którzy rozumieją wszystko bardzo dosłownie. Może dlatego osób prawdziwie kulturalnych jest dziś tak niewiele.

#### Dla systemu ochrony zdrowia nieubezpieczeni nie istnieją. Skąd biorą więc państwo pieniądze na utrzymanie poradni?

Jest naprawdę trudno. Nikt, począwszy od najwyższych władz, a skończywszy na niektórych miejskich urzędnikach, nie rozumie, że musi istnieć zalegalizowana forma świadczeń zdrowotnych dla ludzi nieubezpieczonych. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, boją się takich zapisów, bo, jak tłumaczę, skorzystałoby na nich głównie mnóstwo cwaniaków, a nie bezdomnych. Rzeczywiście, zdarza się, że ludzie nawet się nie pobierają, żeby mieć dla dziecka miejsce w przedszkolu przysługujące samotnej matce. W takie luki prawne wskazują chętnie najmniej potrzebujący, ale nie zmienia to faktu, że opieka dla nieubezpieczonych bezdomnych jest potrzebna. Przekonanie, że wszyscy się ubezpieczą, to przecież wierutna bzdura, jakaś mrzonka. W ogóle nie rozumiem, że można tak myśleć. Przecież do naszej poradni przychodzą chorzy, np. z zapaleniem płuc, dostają tabletki, podlecza się i znikają. Czasem już nie wracają.

#### Jak w takim razie zorganizować pomoc medyczną dla nieubezpieczonych?

Trzeba dopasować prawo do potrzeb. Proszę sobie wyobrazić, że z powodu niedopasowania przepisów do życia nie możemy się nazywać... poradnią. Od kiedy w 2009 r. opieki zdrowotnej nie można finansować z miejskich środków na pomoc społeczną, musieliśmy zmienić nazwę na punkt informacyjny, bo groziło nam zamknięcie. A przecież jesteśmy zarejestrowaną poradnią. Z powodu wejścia w życie nowych absurdalnych przepisów trzeba było główkować, jak otrzymać środki przysługujące nam dotąd w ramach polityki społecznej. Potrzebujemy pieniędzy na opłacenie pielęgniarek i na leki. Notabene, aby obejść przepisy, musieliśmy przemianować pielęgniarki na wolontariuszki.

#### Gdyby mogła pani o tym decydować, jak sfinansowałyby pani opiekę dla bezdomnych?

Można wygospodarować stałą pulę środków – albo w budżecie miasta, albo nawet w budżecie centralnym. Mamy dokładną dokumentację. Potrzeby finansowe da się łatwo wyliczyć, przecież od lat przyjmujemy w poradni około 10 tys. bezdomnych rocznie. Czy tego doczekam? Gdybym miała podsumować naszą działalność, to przyznaję, że te wszystkie rozliczenia, sprawozdania, nieustanne obchodzenie przepisów zniechęcają do pracy społecznej.

Urzednicy rzucają nam klody pod nogi, bo – jak mówią – takie są przepisy. Rzadko kto ma wyobraźnię i odwagę, aby nie interpretować prawa w sposób dosłowny. Oczywiście są tacy, którzy przymykają oko na zarządzenia, i tylko dlatego trwamy. Zdaję sobie sprawę, że nasze baraki nie spełniają tych wszystkich wydumanych przepisów sanitarnych i unijnych, ale nie ma nikogo, kto użyłby nam innego lokum z prawdziwego zdarzenia.

#### A jak dziś działa ochrona zdrowia?

Jak nigdy dotąd – sprawy formalne, sprawozdania, robota papierkowa przytłaczają lekarzy. Oczywiście niektórzy się nie dają. Ja mam ten komfort – kwestia metryki – że nie przejmuję się tak bardzo przepisami. Najwyżej wyrzucam mnie

#### Nikt nie rozumie, że musi istnieć legalna forma świadczeń zdrowotnych dla ludzi nieubezpieczonych. Urzednicy boją się takich zapisów. Jak mówią, skorzystaliby na nich cwaniacy, a nie bezdomni.

z pracy. Ale młodzi ludzie starają się być legalistami. Sądzę, że te wszystkie błędy, o których słyszymy w mediach, wynikają właśnie z tego przerostu biurokracji. Poza tym istnieje potężna presja, żeby nie obciążać placówki wygórowanymi kosztami. W praktyce oznacza to np. zlecenie mniejszej liczby badań. Mnie się ciągle wydaje, że podstawą zawodu pediatry jest bardzo dobry kontakt matki z lekarzem prowadzącym, a tego nie da się osiągnąć przy tej liczbie biurokratycznych obowiązków. Powinniśmy wrócić do czasów, kiedy relacje międzyludzkie były bardziej bezpośrednie. Nie da się wszystkiego uregulować.

#### Co najbardziej pani przeszkadza?

Kiedyś mogłam zadzwonić do moich znajomych lekarzy i powiedzieć, że mam bezdomnego pacjenta w poważnym stanie i trzeba mu zrobić np. USG. Oddawali mi przysługę i nikt ich za to nie ściagał. Wszystko zależało od ich dobrego serca. W tej chwili takie działanie jest niemożliwe. Pacjent musi się znaleźć w systemie komputerowym. Są formalne wymogi, które uniemożliwiają działanie pod wpływem odruchu serca. Z powodu ostrości nowych przepisów dochodzi też do absurdów. Moi mali pacjenci spoza Warszawy nie mogą np. zrobić badania krwi u siebie na moje zlecenie. Zgodnie z przepisami powinni przyjechać do stolicy i zrobić badanie w przychodni, z którą moja poradnia ma umowę. A przecież jeżeli ktoś jest ubezpieczony, to powinien mieć możliwość zbadania się w całej Polsce. To wszystko mnie zniechęca. Przez 20 lat nie doprosiłam się o uregulowanie kwestii opieki dla nieubezpieczonych, a w systemie ubezpieczeń też nie dzieje się najlepiej. Powinnam właściwie wpaść w depresję.

#### Ależ robi pani coś dobrego!

Czasem wydaje mi się, że to, co robię, jest beznadziejne, że to syzyfowa praca. A przecież wycofać się nie można. Za mało jest jednak ludzi aktywnych. Na kawkach i imieninach moi znajomi są krytyczni, wiedzą, jak zmieniać system opieki, ale zapytani, czy interweniowali, odpowiadają, że nie, „bo to nic nie da”. Irytuje mnie taka postawa. Oczywiście wiem, że jestem trudnym współpracownikiem. Straciłam kiedyś pracę, bo jak mi wytłumaczono, byłam „generatorem kosztów”. Zlecałam zbyt wiele badań.

#### A czy wiara ma w tej pracy znaczenie?

W czasie stanu wojennego spotkałyśmy się z dr Marysią Czarnecką w krakowskiej organizacji, stworzonej przez inżyniera Stanisława Pruszyńskiego „Ku cywilizacji miłości”. Spotkałam osoby, które uznawały prymat etyki przed techniką, prymat „być” przed „mieć”. Ale działali tam również ludzie niewierzący, choćby dr Zofia Kuratowska. Jednak jestem przekonana, że jeśli ktoś wierzy, chce być chrześcijaninem, to powinien działać. Jestem po prostu człowiekiem czynu. Bardziej wierzę w działanie niż nawet w modlitwę. Nasza wartość zależy od tego, ile robimy dla innych. Dlatego kiedy dzieje się coś złego, nie roztrząsam przyczyn, nie uważam się nad pacjentem, tylko zastanawiam się, co w takiej sytuacji można dla niego zrobić. Znaczną część życia przepracowałam z dziećmi o różnym stopniu zaburzeń w rozwoju. Zawsze starałam się nie tyle je zmieniać, ile pomóc osiągnąć im maksimum w tych konkretnych warunkach. I tak samo patrzę na bezdomnych. Poza tym staram się czegoś nauczyć od moich pacjentów. Nie zapomnę bezdomnego, który do mnie przyszedł i na moje pytanie, co mu dolega, odpowiedział najpoważniej w świecie: „Jestem inteligentny”. Zatkano mnie. W końcu zaczęłam się tłumaczyć, że nigdy nie leczyłam takiego schorzenia i nie wiem, czy będę mogła mu pomóc. Ustaliliśmy więc, że już taki zostanie. ☹

JAROSŁAW MAKOWSKI

# Papież, który zawstydza Kościół

Czyżby kardynałowie, wybierając na papieża hierarchę pochodzącego z kontynentu, gdzie narodziła się teologia wyzwolenia, nie wiedzieli, co robią? Czyż mogli się spodziewać, że nowy papież zacznie pontyfikat od zawstydzenia Kościoła, który na Zachodzie uległ mitowi „niewidzialnej ręki rynku”?



Sęk w tym, że papież Franciszek nie robi nic, co miałyby posmak spektakularny. Przykładowo nie zapowiedział, że zniesie celibat księży lub dopuści kobiety do kapłaństwa. Nie będzie rozdawał prezerwatyw na placu św. Piotra ani święcił małżeństw jednopłciowych. Cóż więc robi nowy papież, że budzi taki aplauz? Po prostu zachowuje się tak jak każdy normalny i przyzwoity człowiek – jest skromny, pokorny, uczynny.

Zwykły gest dobroci, zwłaszcza w wykonaniu papieża, natychmiast urasta do rangi czynu heroicznego. To zdziwienie ludzi pokorą Franciszka jest najlepszym termometrem, który pokazuje, jak daleko dzisiejszy Kościół i biskupi oderwali się od trosk i zmartwień zwykłego Kowalskiego, Smitha, Martineza...

Od chwili, kiedy kard. Jorge Mario Bergoglio został papieżem, wciąż mówi o tym, że chce „Kościół ubogiego i dla

ubogich”. Dawno, ba, bardzo dawno z ust watykańskiego hierarchy nie słyssałem tak wielu słów o konieczności zwrócenia się Kościoła w stronę tych, którzy są słabi, ubodzy i wykluczeni. Czy to zapowiedź, że ubodzy staną się drogą Kościoła, a nie Kościół drogą ubogich?

Jasne, że II Sobór Watykański, który był swoistą „rewolucją kopernikańską” w Kościele, mówił o konieczności praktykowania „Kościół ubogiego”. Tyle że ekonomiczny sukces drugiej połowy XX w., dominacja neoliberalnej ideologii oraz upadek bloku komunistycznego jako nieefektywnego systemu zrodziły przekonanie, że – szczególnie Zachód – poradził sobie z problemem ubóstwa i nierówności społecznych. A to nieprawda. Kościół zachodni uległ mitowi, iż biedni i ubodzy mogą przestać być wyrzutem sumienia, gdyż mamy „niewidzialną rękę rynku”, która rozwiązuje wszelkie ludzkie problemy. Dziś się okazuje, że dziki kapitalizm jest doskonały w produkowaniu problemów społecznych i bezradny w ich rozwiązywaniu.

Dlaczego papież Franciszek taki nacisk kładzie na potrzebę solidarności Kościoła z ubogimi? Dlaczego nie przestaje mówić o społecznych nierównościach, które wołają o pomstę do nieba? I dlaczego ten nowy język papieża, w którego centrum znajdują się biedni, zawstydza dziś Kościół?

## Bóg się o nas zatroszczy

Przed wszystkim dlatego, że nowy papież nie jest Europejczykiem. Pochodzi z Ameryki Łacińskiej – kontynentu, który z powodu swej historii charakteryzuje się walką z ubóstwem,

wykluczeniem i juntami wojskowymi. To właśnie dlatego ludzie w Ameryce Południowej stawiają zupełnie inne pytania niż ci żyjący na Starym Kontynencie. Bardziej aktualne!

Ludzie w Ameryce Południowej nie pytają, co doskonale widać także w nowej retoryce Franciszka, czy Bóg istnieje. Bo w pewnym sensie to pytanie jest bez znaczenia. Nie ma na nie i nigdy nie było rozstrzygającej odpowiedzi. Dziś ludzie pytają: „Czy Bóg się o nas zatroszczy?”. I, co ciekawe, jest to również pytanie, które coraz częściej stawia się w zagrożonej w kryzysie ekonomicznym, gospodarczym i społecznym Europie.

Ludzie pytają więc, czy Bóg i Kościół sprawi, że jutro nasze dzieci będą mogły zjeść śniadanie. Czy nadal będziemy mieć pracę? Czy stać nas będzie na spłacanie kredytu? Kto się nami zaopiekuje na starość? Czy stać mnie będzie na leki, kiedy dopadnie mnie choroba?

To owoc tego, że Ameryka Łacińska jest kontynentem, na którym narodziła się teologia wyzwolenia. Intrygująco, że fundamenty tej refleksji zostały skreślone przez europejskich teologów. Głównie za sprawą niemieckiego myśliciela Johanna B. Metz, który był twórcą tzw. teologii politycznej. W książce pod takim samym tytułem Metz pisze o metodzie, którą przyjął dla swojej refleksji: „Wielekroć w ciągu ostatnich trzydziestu lat, właściwie już podczas wcześniejszych wykładów, mówiłem

**Katolicy teologowie Pierwszego Świata uciekają od rzeczywistości, by zająć się przepisami metafizycznych traktatów, a teologia Trzeciego Świata reaguje na nędzę, upokorzenie i krzyk cierpiących.**

o «teologii politycznej» i przez cały czas zadawałem sobie pytanie, czym właściwie jest teologia polityczna”. Pierwsza odpowiedź, sformułowana wprawdzie z dużym uogólnieniem, ale pociągająca za sobą wiele konsekwencji, którą będzie można odnaleźć we wszystkich tekstach tej książki, brzmi: „stosowana tu definicja «teologii politycznej» nie jest w pierwszym rzędzie (jak u Carla Schmitta – dodajmy: guru ostatnio także prawników publicystów w Polsce!) teorią państwa, prawa lub społeczeństwa, lecz w pełnym tego słowa znaczeniu teologią, teologią z twarzą zwróconą ku światu», słowem Boga głoszonym »w tych czasach«”.

## Niezgoda na nędzę

„Teologia polityczna” Metz nie ucieka od historii i świata, by zająć się przepisami metafizycznych traktatów, które to zajęcie do perfekcji opanowała większość katolickich teologów pracujących w Pierwszym Świecie. Źródłem jej refleksji jest konfrontacja z krzykiem i płaczem cierpiących, ponizanych i wy-

kluczonych. I te właśnie aspekty „teologii politycznej” odnajdujemy w „teologii wyzwolenia”, zrodzonej – jak wiemy – z niezgody na nędzę i upokorzenie, które stały się codziennym doświadczeniem mieszkańców Ameryki Łacińskiej, czyli tak zwanego Trzeciego Świata.

A na czym opiera się „teologia wyzwolenia”? Zacytujmy jej „ojca” Gustavo Gutiérreza, Peruwianczyka, który w pierwszych zdaniach swego dzieła pisze: „Książka stanowi próbę refleksji opartej na Ewangelii i na doświadczeniu ludzi zaangażowanych w proces wyzwolenia rozwijający się na uciskanej i wyzyskiwanej ziemi Ameryki Łacińskiej. Refleksja ta ma charakter teologiczny; zrodziła ją przeżycia wspólnych wysiłków zmierzających do zlikwidowania obecnej niesprawiedliwości i zbudowania innego społeczeństwa, bardziej wolnego i ludzkiego”.

A więc, po pierwsze, ten rodzaj refleksji rodzi się z żywego doświadczenia ucisku, kładzie więc akcent na wyzwolenie od głodu, poniżenia, tortur, nierówności... To Jezus z Nazaretu, wiara w niego jako Zbawiciela jest tym, co wyzwala człowieka z ucisku. Celem wyzwolenia jest więc powrót do sprawiedliwości, do pokonania nierówności i głodu. W tym kontekście mówi się więc o „strukturalnym grzechu społecznym”, czyli niesprawiedliwym rozdziale dóbr, który prowadzi do wyzysku i niesprawiedliwości.

REKLAMA

KRS: 0000097123

1%

... bo jutro



Fundacja  
Warszawskie  
Hospicjum  dla Dzieci

mnie nie będzie

GRUBE SPRAWY



CEZARO DE LUCIA/PAP/PEPA

Po drugie, dla teologów wyzwolenia tak samo ważna jest ortodoksja (oficjalne nauczanie Kościoła), jak i ortopraxis (sposób życia, który ma być naśladowaniem życia Jezusa). Kościół zachodni do perfekcji opanował głoszenie ortodoksji, sprowadzając ją ostatnio do etyki seksualnej. Z Watykanu od 30 lat dobiega to samo stanowcze NIE: NIE dla prezerwatyw, NIE dla związków partnerskich, NIE dla in vitro. Mamy więc taką oto sytuację: Kościół oburza się, gdy widzi odsłonięte piersi, ale nie oburza się, gdy jest świadkiem nierówności społecznych. Dużo gorzej radził sobie więc Kościół z praktyką, co najlepiej pokazują skandale pedofilskie z udziałem duchownych, przekrety finansowe Banku Watykańskiego, przywiązanie Kościoła do tzw. środków bogatych, czyli np. obracanie pieniędzmi wiernych na giełdach. Teologia wyzwolenia kładzie nacisk, co pokazuje papież Franciszek, na praktykę, na styl życia: ubogi, pokorny, solidarny z biednymi. Wiara bez uczynków jest martwa.

Kłopot w tym, że w samym zarodku ten typ refleksji i praktyki życia starał się stłamsić Watykan, publikując piórem kard. Josepha Ratzingera dwie potępiające Instrukcje, jako że – jak utrzymywał i Jan Paweł II, i kard. Ratzinger, póź-



JOSE CABEZAS/AFP

Matki ofiar junty wojskowej, która rządziła w Argentynie w latach 70., do dziś szukają informacji o okolicznościach śmierci ich synów i córek (zdjęcie u góry) Według nowego papieża Franciszka Kościół powinien stać po stronie ubogich.

niejszy papież Benedykt XVI – jest ona chrześcijańską parodią marksizmu. Watykańskie Instrukcje były dla teologów wyzwolenia ciosem zadany z strony, z której się go nie spodziewali.

O tym zaskoczeniu i żalu przejmującym co pisał brazylijski franciszkanin i jeden z najwybitniejszych teologów współczesnych, Leonardo Boff. W otwartym liście, gdy przedstawiał powody swojego odejścia z zakonu, pisał: „Od świętego gniewu przeszliśmy do praktyki życia społecznego i myślenia zaangażowanego. (...) Cierpielśmy, gdy wraz z na-

szymi braćmi w wierze oskarżano nas o herezję, związki z marksizmem i wdziliśmy, jak rwały się braterskie więzi. Zawsze utrzymywałem, że Kościół jest naprawdę solidarny z uciśnionymi tylko wtedy, gdy sam, w swoim życiu wewnętrznym, przekracza struktury i sposoby postępowania, które zakładają dyskryminację kobiet, deprecjonują świeckich, nie ufają wolności proponowanej przez współczesność i nadmiernie koncentrują władzę w rękach kleru”. Tekst powstał w 1992 r., ale – jak się okazuje – nic nie stracił na aktualności.

Żywe źródło inspiracji

Akcja Watykanu dokręcania śruby teologom wyzwolenia w dużym stopniu się jednak powiodła. Jeszcze i dziś znajdziemy rozumnych nawet komentatorów mówiących, że „teologia wyzwolenia” jest martwa. Zaproszenie na jej pogrzeb jest jednak przedwczesne. Kiedy pytają mnie, czy teologia wyzwolenia jest już passé, odpowiadam: „Będzie, kiedy wokół nas nie będzie już głodnych dzieci, ubogich i wykluczonych. Tak, wtedy będziemy mogli powiedzieć, że teologia wyzwolenia jest passé”. A więc, niestety, nigdy.

Co więcej, o tym, że teologia wyzwolenia wciąż jest żywym źródłem inspiracji, świadczy fakt, iż na jej gruncie zrodziła się teologia feministyczna – refleksja stworzona głównie przez kobiety, dla kobiet i mężczyzn, której celem jest dekonstrukcja patriarchalnego świata, gdzie Bóg przestałby być utożsamiany tylko z takimi męskim kategoriami, jak „Pan”, „Władca”, „Król”, „Sędzia”... To przez taki zmaskulinizowany język (a język, jak wiemy, to więcej niż krew!) przez wieki wyobraźnia ludowa i uproszczone katechizmy przypisały, rzekomo na mocy Objawienia, rysy męskie Stwórcy człowieka. Człowieka – a więc mężczyzny i kobiety.

W świadomości społecznej naturalny ojciec miał reprezentować wobec dziecka autorytet boski, a kobietę przyzwyczajano, by czciła z pełnym drżenia szacunkiem istotę męską. Tę na wskroś patriarchalną tradycję najtrafniej pod-

sumowała jedna z najwybitniejszych teologek Mary Daly, mówiąc: „Jeśli Bóg jest mężczyzną, to mężczyzna jest Bogiem”. A zatem: jeśli mężczyzna jest „bogiem”, może robić ze swoimi poddanymi, a więc i kobietami, wszystko, co tylko zechce. Teologia feministyczna stawia sobie za cel wyzwolenie kobiet z tej tradycji i z tego okrojonego języka teologicznego, który jest poniżający i ciemiężycielski wobec kobiet.

Czy nowy papież jest wiernym dzieckiem teologii wyzwolenia? Nie! Papież Franciszek był wstrzemięźliwy wobec teologii wyzwolenia. Co więcej, jako prowincjał jezuitów w Argentynie jest dziś oskarżany o to, że nie dość mocno chronił jezuitskich współbraci, którzy pracowali w slumsach z ubogimi, przed wojkową juntą. Po pierwsze, w takich sytuacjach zawsze można mówić, że ktoś nie zrobił tyle, ile zrobić powinien. Zrobić w takich sytuacjach wszystko co w ludzkiej mocy, to ponieść za walkę na rzecz ubogich śmierć męczeńską, tak jak poniósł ją arcybiskup San Salvadoru Oscar Romero, którego zamordowały w 1980 r. prawicowe bojówki. Papież Franciszek jest dziś atakowany, że robił za mało. Ale ma też obrońców, jak argentyński noblista Adolfo Pérez Esquivel, który przekonuje, że papież nie miał nic wspólnego z juntą.

Po drugie, wstrzemięźliwość wobec teologii wyzwolenia w czasie pontyfikatu Jana Pawła II była warunkiem, by móc robić w Kościele karierę. Papież Polak widział w teologii wyzwolenia nie tylko walkę o ubogich, ale także zastępowanie chrześcijaństwa komunizmem. Jan Paweł II, negatywnie oceniając komunizm w Polsce, oceniał tak samo teologię wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej. Dziś już widać, że takie nałożenie na siebie dwóch różnych perspektyw na dwa odmienne doświadczenia było nieuprawnione.

A jednak nowy papież jakby wysłał to z mlekiem matki – Kościół musi stać po stronie prześladowanych i ubogich. To przekonanie jest doświadczeniem związanym z wrażliwością na biednych. „Żyjemy w części świata o największych

**Jan Paweł II widział w teologii wyzwolenia chrześcijańską parodię marksizmu. Negatywnie oceniając komunizm w Polsce, oceniał tak samo teologię wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej.**

nowej polityki troski. Nie będzie się już troszczył o własne dobro, pozycję, majątek czy władzę. Troska w duchu ewangelicznym jest rozumiana jako „troska o” – o świat, który jest dziełem Boga, i o każdego sąsiada, który jest naszym bliźnim. W tej nowej wspólnotce, jak mówi św. Paweł, nie ma już żyda, poganina, człowieka wolnego czy niewolnika, kobiety czy mężczyzny. Są tylko ludzie wolni i równi.

Jezusowa polityka troski przejawia się w braterstwie wobec każdego wykluczonego. Dziś, by zdyskredytować ten rodzaj polityki, prawica kościelna nazywa go socjalizmem. Na takie epitetę przywoływany już tu Leonardo Boff odpowiadał: „Jestem socjalistą nie dlatego, że socjalizm, ale dlatego, że Chrystus”. Cieśla z Nazaretu zjawiał się na świecie znacznie wcześniej niż systemem socjalistycznym.

REKLAMA



Ciebie prosimy tylko o **1%** zyci

Kevin Aiston  
Wspierając Związek Ochotniczych Straży Pożarnych, ratujesz życie i mienie swoje oraz swoich najbliższych.

**1% podatku - to pomoc, która NIC nie kosztuje darczyńcę.**

**KRS 0000 116 212**  
Związek Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej

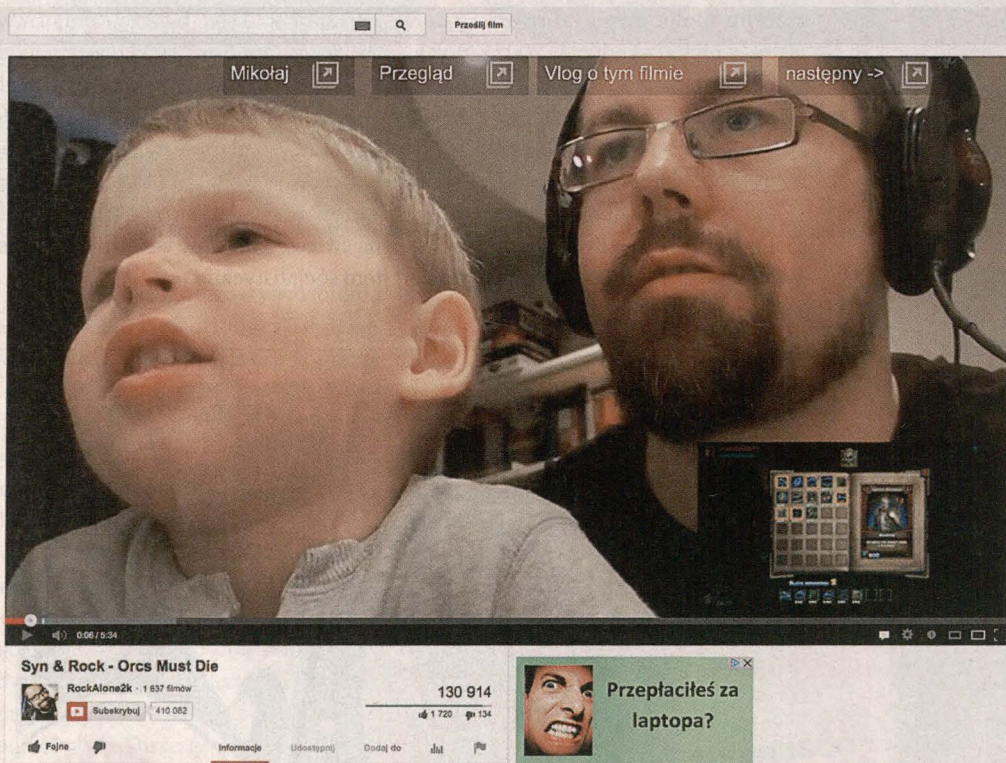
**www.1procentosp.pl**



SYLWIA KAWALEROWICZ

# Vlognation

Na tle meblościanki, okna z widokiem na blokowisko albo kanapy przykrytej kocem w kotki opowiadają o pogodzie, kłopotach z dziewczynami, ulubionych grach komputerowych, kosmetykach albo podróżach. Kto chciałby to oglądać? Znacznie więcej osób, niż może ci się wydawać. Dzięki temu **polscy vlogerzy rosną w siłę**.



**W**itam was bardzo serdecznie. Ja jestem Rock, a to moja tuba” – wita się miłym głosem misiowaty facet z brodą. Wrzuca trzy filmiki dziennie. Jest Rock Poranny – 2–3-minutowa miniaturka na dzień dobry (opowiada np., jak robi grzanki albo że idzie z synem do kina, czasem o jakimś zjawisku, które zwróciło jego uwagę), a potem dwa wrzuty, podczas których pokazuje widzom, jak gra w grę, albo o grach opowiada. Bo Rock jest specem od gier komputerowych. Ma 36 lat. Mieszka we Wrocławiu. Ma żonę i synka. Wiemy to wszystko

Rock Poranny, 36 lat, jeden z najpopularniejszych vlogerów w Polsce. Mieszka we Wrocławiu z żoną i synkiem.

(i znacznie, znacznie więcej), bo opowiada o tym w swoich filmikach.

Rock jest jednym z bardziej popularnych vlogerów w Polsce. Vloguje nieco ponad dwa lata. Nagrywa 8–10 godzin dziennie. Jego filmiki zostały wyświetlone ponad 91 mln razy, a każdy odcinek porannego programu oglądany jest średnio 30 tys. razy. „YouTube to moje ulubione miejsce, gdzie mogę realizować swoją pasję tak, jak podpowiada mi serce” – tłumaczy w jednym z filmów. – „Opowiadam o rzeczach, tak jak je widzę. Jestem po prostu człowiekiem, który pokazuje, kim jest i jak ważne są

dla niego gry. Internet daje nam to, czego telewizja już dawno nie jest w stanie. Pozwala poznać prawdziwych ludzi”.

Rock jest trochę emo. Lubi opowiadać o emocjach, uczuciach, przeżyciach, używa określeń takich jak „urokliwe”, namawia do tego, by polubić samego siebie. Budzi skrajne emocje. Jedni go kochają, inni nienawidzą. Ale najwyraźniej to właśnie najlepszy przepis na vlogowy sukces.

## Pojemna tuba

Co minutę na YouTube’a wrzucane są 72 godziny filmików. Królik pływający w basenie, dziewczynka, która pierwszy raz widzi jadący pociąg, zawijane w kocyki małe nietoperze. Koncert Jimiego Hendrixa z 1900 r., wykład Steve’a Jobsa z konferencji TED, 30-sekundowy przejazd pociągu En57 z Szczecina do Świnoujścia przez stację w Goleniowie. Większość z nas bywa na YouTube sporadycznie i traktuje serwis wyłącznie jak platformę gromadzącą materiały wideo. Dla sporej grupy internautów (zwłaszcza tych młodszych) to taki sam serwis społecznościowy jak chociażby Facebook. Skupia aktywną grupę kilku milionów użytkowników, którzy subskrybują, komentują, dają „łapki w górę” lub „łapki w dół”, wyrażając aprobatę lub dezaprobatę dla postaci. To także grupa, która ma własne gwiazdy cieszące się popularnością, o jakiej niejedyn mainstreamowy celebryta może tylko pomarzyć. Wśród youtuberów nazwiska takie jak Ray William Johnson, Smosh czy Michele Phan

to legendy. Gwiazdorzy, którzy mają widownię rzędu 7–8 mln widzów. Zaczynali najczęściej od zabawy – na początku ot, tak sobie wrzucali do sieci nagrania, na których się wygłupiali (Ray William Johnson) albo opowiadali o tym, jak np. robią makijaż (Michele Phan). Dzisiaj to gwiazdy pełną gębą, zarabiające miliony, przygotowujące profesjonalny show. W Polsce takich sław jeszcze nie mamy, ale rodzimi autorzy vlogów zdobywają coraz większą popularność. Choć większości z nas

pseudonimy Rojo, Adbuster czy Szuszenie nie mówią, w sieci postaci te mają wielotysięczną rzeszę fanów. Sprawa wydaje się prosta – vlog to wideoodpowiednik bloga. Zamiast pisać, opowiadamy o tym, co u nas słyhać. Vloger to ten, który siada przed kamerą i dzieli się z nami przemyśleniami. Problem tylko w tym, że takich klasycznie rozumianych vlogów jest stosunkowo mało. Większość postaci znanych z YouTube’a przygotowuje autorskie programy na jakiś temat, a opowieść o samych sobie jest jedynie dodatkiem. Z jednej strony mamy więc klasyczne vlogi, czyli wideopamiętniki, z drugiej rośnie grupa twórców, którzy robią internetowy show. To już mniej kumpelska gadanina do kamery, a bardziej przygotowany występ – ze scenariuszem, montażem, przebierankami, animacjami, różnymi wstawkami. Tutaj mniej liczy się szczery, osobisty przekaz – twórca kreuje jakąś postać i to ona jest bohaterem. Te filmiki bardziej przypominają występy stand-uperów – wystarczy spojrzeć na produkcje Niekrytego Krytyka czy duetu Lekko Stronniczy. – Podział na vlogi i show jest trochę sztuczny, bo granica między tymi dwiema formami jest bardzo płynna i ma znaczenie bardziej dla twórców niż dla widzów – tłumaczy Maciek Budzich, obserwator i komentator blogosfery i vlogosfery, autor bloga Mediafun.pl. – Wiele osób robi vloga, a potem wraz z rozwojem własnych umiejętności zaczyna robić show albo robi i to, i to. Jeszcze inni robią tematyczne, lecz naznaczone wyraźnie osobistym charakterem pro-



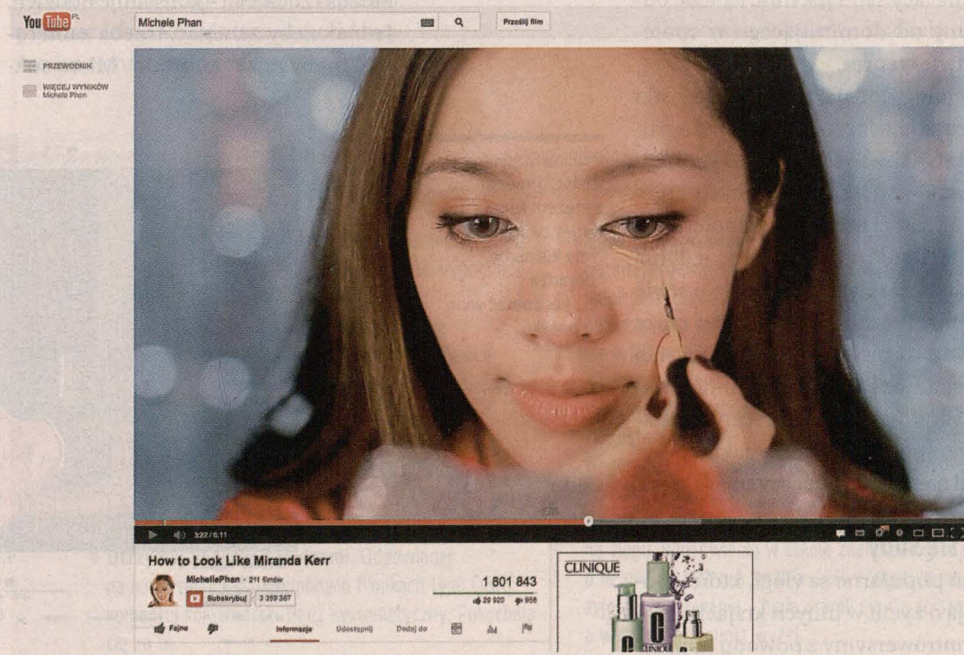
gramy – o gotowaniu czy zainteresowaniach naukowych. Jednoznacznie zdefiniowanie vloga jest trudne – dodaje Budzich.

## Podglądać normalsów

Rojo jest przystojniakiem i trochę postrzelcem. Lubi się wygłupiać, robi miny, krzyczy, jest specjalistą od głupawych żarcików, ale zdarzają mu się także poważniejsze monologi. Na przykład o rozstaniach z długoletnim partnerem. Jest – podobnie jak Rock, z którym się przyjaźni – totalnym growym freakiem i zaczął swoją youtube’ową karierę jako autor tzw. gameplayów. To fenomen, który dość trudno zrozumieć zwykłemu obywatelowi – polega to bowiem z grubsza na tym, że ogląda się filmik, na którym ktoś gra

Ray William Johnson na początku wrzucał do sieci nagrania, z wygłupami, dziś ma wielomilionową, wierną widownię i profesjonalny show.

Michele Phan to niekwestionowana gwiazda YouTube’a, ale w sieci można znaleźć jej filmiki, w których po prostu opowiada jak robi makijaż.



w grę. Obserwujemy to, co on widzi na ekranie, oraz zazwyczaj w małym okienku jego samego. Najczęściej też takiej produkcji towarzyszy osobisty komentarz. – Siłą gameplaya jest osoba gracza. Widzowie cenią historię, którą opowiada. Ważny jest pierwiastek osobisty, charakter naszego przewodnika po grze – tłumaczy Maciek Budzich. To właśnie ze środowiska gameplawców wywodzi się duża grupa najpopularniejszych polskich vlogerów. Zaczynali od pokazywania tego, jak grają, zdobywali dzięki temu fanów, którzy z czasem zaczęli domagać się więcej informacji o swoich idolach. To z kolei zachęciło Rocka, Rojo czy jedną z niewielu kobiet w tej branży o pseudonimie MagdalenaMariaMonika do tego, by równolegle do kanału gameplawowego tworzyć vloga.

Rojo nagrywa vlogi w każdych okolicznościach – podczas powrotu samochodem z paintballu czy spaceru z żoną. Pokazuje, co dostał pod choinkę, jak wygląda jego mieszkanie. 189 tys. ludzi obejrzało filmik, na którym przez 15 minut rozmawia z żoną o grach i sporcie, kiedy jadą samochodem z Katowic do Warszawy. Skąd takie zainteresowanie zupełnie przeciętną rozmową? – Wyływa w dużej mierze ze znużenia wyidealizowanym

światem celebrytów. Coraz częściej zdajemy sobie sprawę z tego, że mamy do czynienia nie z rzeczywistością, ale prezentowaniem określonej wizji rzeczywistości. Wizji, która więcej ma wspólnego z medialną kreacją niż realną, możliwą do zaistnienia fizycznością. Zmęczeni takim przekolorowanym i przesłodzonym, niemożliwym do urealnienia obrazem szukamy normalistów, ludzi takich jak my – tłumaczy socjolog Internetu dr Magdalena

Marcy Shan od trzech lat mieszka w Emiratach Arabskich i do sieci wrzuca filmiki o luksusowym życiu w Dubaju.



Szpunar z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i dodaje: – To życie zwykłych ludzi, ich pragnienia, fascynacje, dążenia pozwalają nam na dokonywanie porównań. Dzięki nim wiemy, na ile nasze przekonania mieszczą się w średniej, na ile jesteśmy statystycznie tacy sami jak inni, a na ile odbiegamy od dominującego w społeczeństwie wzorca.

Socjolog dodaje, że jako jednostki społeczne chcemy przynależać do grupy, identyfikować się z jakimiś społecznościami. – Mieszkamy i funkcjonujemy w tej samej przestrzeni społecznej, ale niejednokrotnie żyjemy jedynie obok siebie i nic tak naprawdę o sobie nie wiemy. Prezentowanie filmów może stanowić formę zaznaczenia własnej bytności i tożsamości w zatamizowanym i silnie indywidualistycznie nastawionym społeczeństwie, w jakim przychodzi nam żyć – tłumaczy specjalistka.

### Liczą się suby

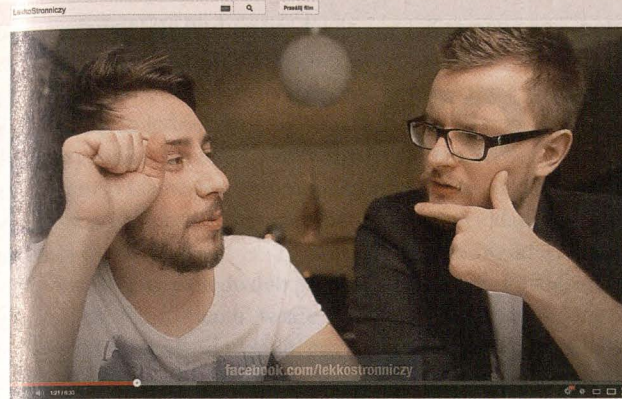
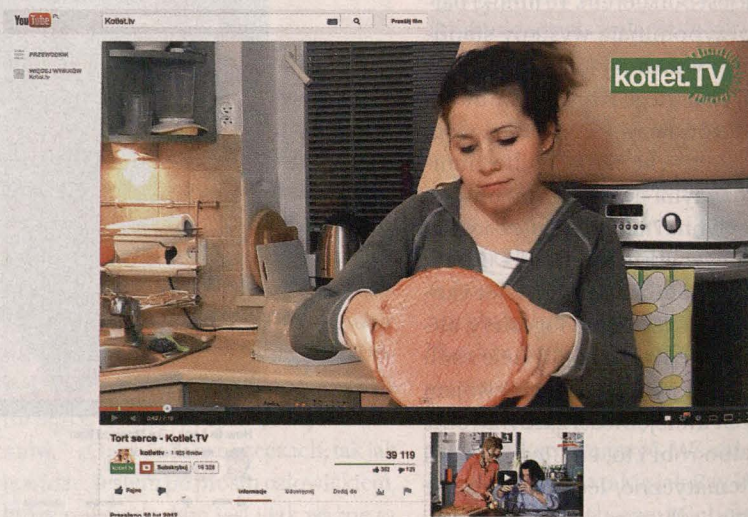
Bardzo popularne są vlogi, które opowiadają o życiu w innych krajach. Znany i kontrowersyjny z powodu konfliktów z innymi vlogerami Shogun1978

(36 846 subskrypcji) w dziesiątkach filmików opowiada o życiu w USA – pokazuje, jak się tu mieszka, jak się urządza, jak gotuje, co je (np. testuje nowe smaki shake'ów). Marcy Shan (11 338 subskrypcji), która od trzech lat mieszka w Emiratach Arabskich, kręci filmiki o życiu codziennym w Dubaju, pokazując luksusowe życie ekspatów w arabskim kraju.

Z kolei para 28-latków, Paulina i Michał Stępień prowadzą autorski kanał Kotlet.tv, znalazła jeszcze inny sposób na zaprezentowanie siebie. Kręca filmy kulinarne – pokazują, jak gotują, doradzają, jak dobrać wino do posiłku. Rzucili pracę w korporacji i utrzymują się z filmików wrzucanych do sieci. Podobnie jak np. Rojo. Bo z popularnego vloga można się utrzymać. Potencjał vlogerów zaczyna bowiem doceniać reklamodawcy. Od jakiegoś czasu YouTube dzieli się z twórcami dochodami z reklam. Maciek Budzich szacuje, że oglądalność na poziomie 100 000 wyświetleń zaczyna oznaczać pojawienie się pieniędzy. Podaje przykład: viralowy filmik „Mafia dla psa” za 3 mln wyświetleń zarobił 1600 euro. – Jeśli ktoś w ciągu miesiąca jest w stanie nagrać filmy, które mogą zebrać te 3 mln wyświetleń, to już jest jakaś kasa. Można rzucić etat – konstatuje Budzich. Jednak żeby zarabiać, trzeba zaoferować interesujący produkt. Miarą sukcesu na YouTube jest z jednej strony liczba „subów”, czyli subskrypcji danego kanału, z drugiej oglądalność filmików. Niektóre filmy cieszą się wielką popularnością, a ich twórca zyskuje popularność, choć liczba „subów” kanału nie jest oszałamiająca. – Wielu vlogerów robi błąd, opierając się tylko na YouTube i mierząc swój sukces liczbą subskrybentów – twierdzi Budzich. – Zawsze namawiam ich do tego, by starali się wychodzić poza ten zamknięty świat. Miarą sukcesu jest wypracowanie rozpoznawalnej marki i zdobycie rozpoznawalności poza YouTube'em.

### Z Internetu do TV

To udało się wciąż niewielu. W tradycyjnych mediach zaistniał Niekryty Krytyk (vloger/showman z największą liczbą „subów” na polskim YouTube), który przez jakiś czas miał swój program w porannym paśmie w Radiu Zet, wydał też książkę. Duet Lekko Stronniczy wziął udział w reklamie telefonu Nokia Lumia 800. Kilku innych występuje w mediach w roli specjalistów. Co ciekawe, z telewizją vlogerzy nie bardzo chcą współpracować i nawet jeśli przeżyli z nią jakiś flirt, szybko wracają do macierzystego środowiska. Przyzwyczajeni do tego, że mają wpływ na całokształt programu, nie bardzo widzą współpracę z producentami, którzy dyktowaliby warunki. – Kiedy ma się nad sobą producenta, który wpływa



Lekko Stronniczy #531 - Jetpeck k'wal



Szymon Majewski SuperSam

na program i kieruje się potrzebą rozkaszania się przed reklamodawcami i przymilania się do widzów, to nic dobrego z tego nie wyjdzie. Kluczem do sukcesu, przynajmniej mojego, jest robienie po swojemu, według własnego rozeznania – mówi Niekryty Krytyk w wywiadzie dla „Przekroju”. Ta swoboda zaczyna kusić ludzi „z zewnątrz”. Niedawno media zelektryzowała wiadomość, że Szymon Majewski przenosi swoje show z telewizji na YouTube'a. Niektórzy widzieli w tym koniec kariery znanego celebryty, inni przeciwnie – sprytny ruch gracza wyczuwającego koniunkturę i odkrywającego potęgę nowych mediów. Pierwsze posunięcia Majewskiego na YouTube pod szyldem „SuperSam” były jednak oceniane bardzo krytycznie. – To był show telewizyjny, tylko przeniesiony do Internetu.

Z mniejszym rozmachem, budżetem, ale jednak. A tutaj panują inne zasady i trzeba się do nich dostosować, jeśli chce się zaistnieć w tym środowisku i zdobyć fanów – tłumaczy Budzich.

Majewski został ostro skrytykowany przez środowisko (m.in. przez Rocka), potrafił jednak odpowiedzieć vlogiem i dzięki temu zyskał uznanie. Szybko przystosował się do youtube'owych reguł gry. – Wielu ludzi myśli, że wystarczy wrzucić filmik do sieci. A to nie wystarczy. Trzeba umiejętnie wykorzystywać narzędzia, jakie daje ten serwis – wyjaśnia Budzich. Jak się okazuje, najważniejsza jest interakcja, kontakt z widzami. Wiedzą to starzy youtube'owi wyjadacze, którzy zwracają się często bezpośrednio do fanów, prosząc ich o komentarz, o poddawanie im tematów do rozmowy, albo od-

Duet Lekko Stronniczy (zdjęcie po lewej) występuje też w tradycyjnych mediach, tak jak do niedawna Szymon Majewski (zdjęcie po prawej), który ostatnio przeniósł swój show z telewizji do sieci.

noszą się do wcześniejszych komentarzy i dyskutują w ten sposób z widzami. Wykorzystują też techniczne możliwości serwisu – np. umieszczają na swych filmikach aktywne linki (przyjmują one formę „dymków”) w ten sposób, że mogą wręcz palcem wskazać miejsce na ekranie, gdzie należy kliknąć, by przenieść się do omawianego filmu czy na konkretną stronę, której dotyczy rozmowa.

Polska vlogosfera wyraźnie się rozwija i nabiera kształtów. Wykreowała swoje gwiazdy i zaczyna być coraz poważniej traktowana przez medialną i reklamową branżę. Vlogerzy są optymistami. Jak konstatuje Maciek Budzich: – To wszystko i tak dopiero początek tego, co będzie się działo na YouTube i w formule przekazu wideo. Duże projekty, coraz ciekawsze budżety dopiero nadchodzą.

### Jak stworzyć popularnego vloga

- **Mówienie to podstawa.** Mów dużo o tym, o czym będziesz mówił. Dwie pierwsze minuty to obowiązkowo opowiedz o tym, o czym będzie dzisiejszy filmik.
- **Nawet jeśli zgubisz wątek** – nie przestawaj mówić. Zawsze możesz powiedzieć, że zgubiłeś wątek. I mów dalej.
- **Nagrywaj na tle,** które pokazuje twoje zainteresowania i określa cię jako osobę. Grasz w gry – ustaw na półce w tle okładki, zajmujesz się średniowieczem, powieś na ścianie miecz, opowiadasz o kosmetykach, w tle miej toaletkę itd. To buduje wiarygodność.
- **Nie przejmuj się tym,** że w trakcie nagrywania do pokoju wpadnie pies, w tle przejdzie żona

- wynosząca pranie na balkon, dziecko zacznie gramolić ci się na kolana. To znów buduje twoją wiarygodność i jesteś „swoją chłop”.
- **Nie staraj się kreować postaci,** którą nie jesteś. Największa zbrodnia w vlogerskim świecie to nieautentyczność. Jesteś nudziarzem – zanudzaj. Byle szczerze.
- **Nie montuj filmiku,** nie dodawaj bajerów, bo zostaniesz osądzony jako efekciarski vloger i zostanie ci zarzucona nieautentyczność. A to – patrz punkt wyżej.
- **Utrzymuj kontakt z widzami.** Odpowiadaj na ich pytania (np. w osobnych filmikach typu Q&A), komentuj komentarze. Bądź systematyczny. Pokochaj cię za to.

- **Bądź przygotowany na hejting,** czyli bezinteresowną internetową nienawiść. W przypadku vloga jest jeszcze gorzej niż przy blogu, bo anonimowi hejterzy mają więcej pozycji – mogą czepiać się nie tylko tego, co mówisz, ale i tego, jak mówisz – wymowy, akcentu, fryzury i koloru tapety w pokoju. Vlogowanie to zabawa dla twardzieli. Polska vlogosfera zaliczyła już kilka poważnych starć między vlogerami i ich „obozami” (były szantaże, zastraszanie i groźby karalne).
- **Za nic na świecie nie przyznawaj się,** że zarabiasz na vlogu. Widzowie są w stanie zaakceptować reklamy, o ile nikt na nich nie zarabia. Jeśli zorientują się, że żyjesz z vlogowania – będą starali się cię zniszczyć, a wtedy: patrz punkt wyżej.

OLGA ŚWIĘCICKA

# Wielka wpływowa miłość

Sukcesy lubią chodzić parami. **Power couples, czyli wpływowe pary**, to zjawisko w naszym kraju nienowe. Od lat 90. możemy obserwować pary, które wspólnie pną się na szczyt. Dziś związki oparte na wpływach to już nie tylko domena osób z pierwszych stron gazet, ale też model, który zyskuje na popularności. W parze siła.



Frank Underwood – bezwzględny senator i jego zimna żona Claire, działaczka społeczna, to bohaterowie głośnego serialu internetowego „House of Cards”.

Bohaterami politycznego serialu „House of Cards”, który robi ostatnio furorę w Internecie, jest nietypowa para. On, amerykański senator, marzy o zostaniu sekretarzem stanu. Ona, aktywistka, prowadzi fundację przy jego boku. Frank i Claire tworzą związek, którego motorem nie jest wcale miłość, ale skuteczność. Oboje doskonale wiedzą, że razem mogą osiągnąć więcej. Akceptują więc swoje zdrady, trudne charaktery i zagrożenia na boku, by zdobyć cel, którym

jest władza. Serialowa supercouple, która z pozoru wydaje się wyrachowaną kreaturą stworzoną przez scenarzystę, wcale nie odbiega tak bardzo od rzeczywistości. Choć zjawisko wpływowych par obecne jest w kulturze od zawsze, samo określenie powstało dopiero w latach 80. XX wieku. Jego narodziny wiążą się również z serialem. Po raz pierwszy zwrotu „power couple” użyto w kontekście bohaterów popularnej w Stanach opery mydlanej „General Hospital”.

Modele takich związków są różne. Czasem potęgą budowana jest od zera w tandemie i opiera się na dążeniu do wspólnego celu. Bywa jednak też tak, że kariery są niezależne. Wtedy motorem jest wzajemne nakręcanie się na sukces. Wpływowe pary mogą działać w różnych dziedzinach, ale siłę czerpać z wzajemnej rywalizacji. Zdarza się też, że silna, skoncentrowana na osiągnięciu swojego celu jednostka jest motywacją dla drugiej strony.

W Polsce zjawisko wpływowych par obserwuje się od początku lat 90. Choć wcześniej można było znaleźć związki, które równo pięły się na szczyt, jak choćby Nina Andrycz i Józef Cyrankiewicz, to dopiero upadek komunizmu pozwolił wyjść im z cienia. Za prototyp supercouple uznaje się u nas prezydenckie małżeństwo Kwaśniewskich. Polityka sprzyja budowaniu związków opartych na wpływowym układzie. Przykłady można by mnożyć. Znajdziemy tu zarówno związki, których pięć minut już przeminęło (Jan i Nelli Rokitowie), jak i pary wciąż skuteczne (Radek Sikorski i Anna Applebaum czy Ewa i Leszek Balcerowiczowie).

Model sprawdza się jednak nie tylko w polityce, lecz także w kulturze i biznesie, czego dowodem może być reżyserski duet Kos-Krauze, muzyczna para Pendereckich czy stosunkowo świeży związek Małgorzaty Szumowskiej i Mateusza Kościukiewicza. Silne jednostki po prostu się przyciągają.

bo sukces łatwiej się buduje we dwoje. I choć cel wcale nie musi być wspólny, to jednak często budowanie wpływów ogranicza się do jednej dziedziny. Tak jak w przypadku chociażby dziennikarskiej potęgi Lisów, gastronomicznej Gesslerów czy muzycznej Beaty Kozi-draki i Jana Pietrasa.

– Związek oparty na dwóch przedsiębiorczych jednostkach wcale nie musi być trudniejszy od układu, gdzie jedna osoba jest w pozycji frontowej, a druga ją wspiera – mówi doktor Bartosz Zalewski, psycholog z SWPS i terapeuta par w ośrodku Kontrakt. – Oczywiście w takim związku ryzyko jest znacznie większe, ale stworzenie go jest jak najbardziej możliwe. Wszystko zależy od okoliczności. Jeżeli para razem wzrasta w swoim sukcesie, to momentem kryzysowym może być sytuacja, kiedy jednej z osób powinie się noga. Trudno budować relacje, kiedy ktoś pozostaje w tyle. Częściej jednak się zdarza, że osoby ze świecznika, które mają już na koncie sukces, dobierają partnerów na podobnym poziomie. Kluczem do udanego związku wcale nie są wspólne zainteresowania czy aktywności, które oczywiście są ważne, ale światopogląd. Jednostki, które mają w życiu podobne priorytety, prędzej się ze sobą dogadają niż osoby z dwóch różnych światów – tłumaczy psycholog.

## Power story

Wśród osób publicznych łatwiej o wpływowe pary. Wiadomo, że władza i pieniądze się przyciągają. Sukces firmy kosmetycznej Ireny Eris w dużej mierze oparty jest na doborze odpowiedniego partnera. Para budowała swoją potęgę od zarania związku. Ona zajmowała się produkcją, a on wziął na swoje barki sprawy organizacyjne. W wywiadzie dla „Gali” Irena Eris przyznaje, że sekretem ich związku jest fakt, że razem zaczęli od zera. Jasny podział obowiązków, wspólny cel i wytrwałość to cechy, które ułatwiają stworzenie stabilnego związku. Irena Eris i Henryk Orfinger są razem od prawie 40 lat. Oboje przyznają, że w pojedynkę nigdy nie osiągnęliby tego, co udało im się w duecie.

Kosmetyczna potęga powstawała w czasach „miłosnej stabilizacji”. Dziś mało kto ze świecznika może się pochwalić małżeństwem z wieloletnim stażem. Nawet jednak przelotne, kilkuletnie związki mogą się opierać na wpływowym układzie. Partnerami Małgorzaty Szumowskiej zawsze byli mężczyźni związani ze światem filmu. Sukces „33 scen z życia”, jednego z ważniejszych dokonań reżyserki, jest zasługą zarówno jej byłego męża Michała Englerta, który jest autorem zdjęć, jak i ojca jej dziecka, montażysty Jacka Drosia. Szumowska w wywiadach wielokrotnie podkreślała, że ze wszystkimi byłymi partnerami żyje w przyjaźni i zawdzięcza im filmowe osiągnięcia. W przypadku reżyser-

**W historiach wszystkich, nawet najbardziej przykładowych power couples najważniejszą rolę odgrywa słowo „układ”.**

ki, która obecnie związana jest z Mateuszem Kościukiewiczem, aktorem młodego pokolenia, można więc wręcz mówić o siatce wpływów. Dowodem może być chociażby najnowszy film Szumowskiej „W imię”, którego autorem scenariusza jest były mąż, a w głównej rolę wcieli się obecny partner.

Sztuka nie zna ograniczeń, a dla dobra produkcji warto połączyć siły. W historiach wszystkich, nawet najbardziej przykładowych power couples najważniejszą rolę odgrywa słowo „układ”. Choć rzadko która para potrafi się do tego przyznać, oczywiste jest, że siłę można budować tylko na jasno ustalonych zasadach. Tak było chociażby w przypadku Joli Słomy i Mirka Trymbulaka, którzy na początku swojego związku podjęli kilka ważnych decyzji, m.in. o nieposiadaniu dzieci. Para projektantów zdecydowała, że zamiast powiększać rodzinę, oddadzą się swoim pasjom. – W naszym przypadku postawiliśmy na rozwój. Oczywiście zdarzały się kryzysy. Kiedy robi się coś

## Przebojowe pary



### → Kleopatra i Marek Antoniusz

Miłość aż po grób. Kleopatra i Marek Antoniusz to prototyp super couple. Razem mieli wszystko: władzę, siłę i olbrzymie wpływy. Ich namiętność była tak dzika, że postanowili też razem zginąć. Model związku „wszystko albo nic” może nie jest idealnym rozwiązaniem, ale za to bardzo romantycznym, dlatego o egipskiej piękności i walecznym Rzymianinie świat nigdy nie zapomniał.



### → Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre

Związek francuskich intelektualistów obrósł w niejedną legendę. Simone i Jean-Paul byli dla siebie nie tylko kochankami, ale przede wszystkim partnerami do rozmowy. Razem się inspirowali i wspierali, a ich dzieła miały niezaprzeczalny wpływ na życie intelektualne i artystyczne lat 50. i 60. Taka miłość zdarza się tylko raz.



### → Beyoncé i Jay-Z

Ich pierwszy wspólny utwór nosi znamieny tytuł „Bonnie and Clyde”. Para, tak jak filmowi przestępcy, jest idealnie zgrana. Nie tylko muzycznie. Od 2002 roku są nierozłączni i w przeciwieństwie do innych showbiznesowych par trzymają się świetnie. Sekretom ich związku jest prywatność. Żadnych zdjęć, żadnych wywiadów razem i zwierzeń. Z sukcesem.

## Przebojowe pary



## → Penélope Cruz i Javier Bardem

Czasem spoiwem jest władza, czasem pieniądze, a czasem po prostu piękno. Najgorętszą aktorkę w Hollywood i faceta o magnetycznym spojrzeniu połączyła nie tylko uroda, ale także pochodzenie. Para podobno poznała się podczas kręcenia filmu erotycznego Almodóvara, ale dopiero na planie „Vicky Cristina Barcelona” Woody’ego Allena zeszyła się na dobre. I dobrze. Miło na nich popatrzeć.



## → Radosław Sikorski i Anna Applebaum

Tę dwójkę trudno prześcignąć. Ona ma Pulitzera, on trzyma w ręku polską dyplomację. Do tego razem są skromni, szczęśliwi i na wskroś normalni. Choć każde buduje swoją karierę niezależnie, to wiadomo, że osobno nie zdziałałoby tyle co we dwoje. Modelowa power couple. Tylko pozazdrościć.



## → Nina Andrycz i Józef Cyrankiewicz

Jakie czasy, takie power couple. Duet Cyrankiewicz – Andrycz ciężko przebić. On był niezatapialnym premierem komunistycznej Polski, ona piękną i uzdolnioną aktorką. Dobrali się jak w korcu maku. Nina ocieplała wizerunek Józefa, a on służył jej silnym ramieniem. Jednak nawet taka miłość może się kiedyś skończyć. Trudno być całe życie na szczycie.

razem, w pewnym momencie następuje przesyt. Umieliśmy sobie jednak z tym poradzić. Dobry związek to nieustanne kompromisy. Oprócz tego, że żyjemy i pracujemy razem, staramy się mieć także swoją osobistą przestrzeń, hobby i pasje. W pracy się uzupełniamy, w sytuacjach konfliktowych odpuszczamy ten, komu mniej na danej sprawie zależy – mówi Mirek Trymbulak.

## Miłość w czasach kryzysu

Power couples nie występują jednak tylko w życiu publicznym, ale coraz częściej powstają również wśród zwykłych śmiertelników. Układ, który opiera się na dwóch niezależnych jednostkach skoncentrowanych na sukcesie, dobrze sprawdza się w brutalnej kryzysowej rzeczywistości. Oczywiście na poziomie lokalnym trudno mówić o wpływach porównywalnych do tych, które mają chociażby Ilona Łepkowska i Czesław Bielecki, ale nawet przy działalności na małą skalę można zauważyć pewne tendencje. – Sam układ nie jest zły, pod warunkiem że osoby, które go tworzą, są jego świadome – twierdzi doktor Zalewski. Jak tłumaczy: – Taki związek wymaga dużej elastyczności. Budowanie kariery często stawia nas przed trudnymi wyborami, na które nie zawsze mamy wpływ. Warto też pamiętać, że potrzeby człowieka mocno zmieniają się w trakcie jego życia. Układ, który satysfakcjonuje nas na początku naszej ścieżki kariery, niekoniecznie będzie nam odpowiadał za 20 lat. Utrudnieniem w budowaniu relacji może być też silna rywalizacja, która często występuje w takich związkach. Samo napędzanie się nie jest niczym złym, gorzej jednak, kiedy jednemu z nas przestaje wychodzić albo postanawia zmienić tryb życia. Różnica między partnerami, która powstaje w takiej sytuacji, może być destrukcyjna.

Mimo niebezpieczeństw, o których wspomina psycholog, na taki nowy model współżycia zdecydowali się Karolina i Łukasz z Krakowa. Łukasz od 11 lat jest współwłaścicielem spółki telekomunikacyjnej w Gliwicach, Karolina prowadzi firmę Warsztat Stylu zajmują-

cą się visual merchandisingiem. Każde jest w pełni oddane budowaniu własnej kariery. Jednak mimo pędu i koncentrowania się na osiąganiu własnych celów udało im się stworzyć satysfakcjonujący związek. Od kilku miesięcy Karolina i Łukasz są też szczęśliwymi rodzicami. Mała Mila to dowód na to, że kariera nie musi być przeszkodą w związku. – Kluczem do wszystkiego jest dobra organizacja – mówi Karolina. – Mamy wspólny kalendarz, w którym zapisujemy wszystkie spotkania na nadchodzące dwa tygodnie. Oczywiście często dochodzi na tym tle do konfliktów. Nasze plany się zaciebiają, a od kiedy mamy dziecko, zawsze jedno z nas musi się nim opiekować. W takich sytuacjach stawiamy na priorytety. Choć firma Łukasza działa dłużej, to nigdy nie jest argumentem. W naszym związku działamy partnersko. Moje plany są tak samo ważne jak plany Łukasza – tłumaczy Karolina.

Równy podział obowiązków nie zawsze jest możliwy. Nawet najbardziej zorganizowana para czasem musi iść na kompromis. W przypadku Marii Dziewolskiej i Darka Ziomka z Poznania kluczowy jest fakt, że jedno z nich przez ponad sześć miesięcy w roku pracuje w innym mieście. Darek jako właściciel szkoły kitesurfingu, która od kilkunastu lat działa na Helu, jest zmuszony do częstych wyjazdów. Maria, która jest projektantką, stara się więc tak zorganizować swój biznes, żeby jak najwięcej czasu spędzać ze swoim chłopakiem, nigdy jednak nie myślała o tym, by w pełni poświęcić się firmie Darka. – W związku bardzo ważna jest dla mnie niezależność. Kiedy kilkanaście lat temu powstawała szkoła Ziomka, mocno go wspierałam. Gdy jego biznes okrzepł, zdecydowałam się na założenie własnej firmy – mówi Maria.

Choć z pozoru para działa w zupełnie innych dziedzinach, to często współpracują. – Ja mam większe doświadczenie w prowadzeniu biznesu, więc często służę radą – opowiada Darek. – Wspieram też Marię w dopinaniu finansów i pisaniu biznesplanów. Marysia z kolei ma duże poczucie estetyki.

Odpowiada za wizualną stronę mojej szkoły. Jest też nieocenionym negocjatorem. Na co dzień mam pod sobą liczną kadrę, więc czasem w firmie wybuchają konflikty. Marysia dzięki swojej kobiecej empatii i intuicji radzi mi, jak rozładować napięcie między instruktorami – dodaje Darek. Podobnie działała to w przypadku Karoliny i Łukasza. Choć żadne z nich nie zrezygnowało by z własnej kariery, doskonale zdają sobie sprawę, że bez wzajemnego wsparcia ich sukces nie byłby możliwy do osiągnięcia.

## Cementująca pasja

Wpływy warto też czasem łączyć. Tomasz Plata i Justyna Kowalska dwa lata temu założyli galerię BWA Warszawa. Wspólny biznes scementował ich związek i nadał mu określony cel, choć też wielokrotnie był przyczyną konfliktów. Na szczęście para prowadzi biznes wraz ze współnikiem. – Gdyby nie Michał, który z nami współpracuje, byłoby trudniej. On pozwala nam złapać do wszystkiego dystans. Mimo to fakt, że jesteśmy parą, ułatwia nam pracę. Dzięki temu jesteśmy w ciągłym kontakcie. Oczywiście bywa to męczące, bo praktycznie nigdy nie wychodzimy z pracy, ale ponieważ ją lubimy, jest to niedogodność, którą można zaakceptować – mówi Justyna.

Przeszkodą mogą też być wzajemne oczekiwania. Wspólny biznes dobrze się trzyma, kiedy wszystko się w nim układa. Gorzej, kiedy plany zaczynają się sypać. – Jeśli ktoś z nas nawali, drugie nie może się zachować jak przełożony w firmie. Opieprz i trzaśnięcie drzwiami raczej nie wchodzi w grę. Nasza relacja nie jest zwykłą relacją zawodową. Wiadomo, że konflikty z pracy przekładają się na sytuację w domu. Dlatego we wspólnym biznesie trzeba być ostrożnym, nauczyć się negocjować – dodaje Tomek.

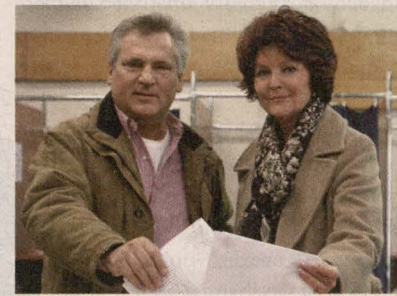
Złapanie oddechu to podstawa przy budowaniu wspólnego biznesu – mówi Bartosz Zalewski. – Takie układy wymagają dużych umiejętności i z pozoru niewiele się różnią od małżeństwa. W końcu parę łączy wspólne

zobowiązanie i plany na przyszłość. Trudno powiedzieć, czy siłą napędową takich związków jest chęć powiększenia wpływów. Mam poczucie, że taka sytuacja jest jednak patologiczna. Oczywiście nie ma nic złego w fakcie, że łączymy siły, żeby osiągnąć wspólny cel. Gorzej jednak, kiedy tym celem staje się władza. W takiej sytuacji trudno mówić o zdrowej relacji, a trzeba raczej nazwać to układem, w którym jedna osoba wykorzystuje drugą w swoich prywatnych zagraniach. Takie związki trwają tyle ile umowa między partnerami. Nie nazwałbym ich jednak satysfakcjonującą relacją, ale raczej nieszczęściem – mówi psycholog.

**Wspólny biznes dobrze się trzyma, kiedy wszystko się w nim układa. Gorzej, kiedy plany zaczynają się sypać.**

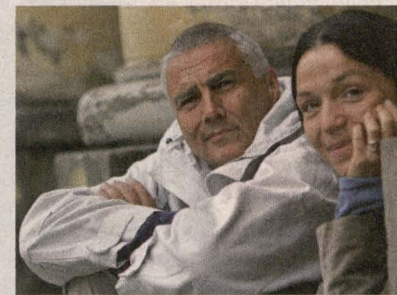
Sekretem sukcesu wpływowych par jest nie tylko wzajemne napędzanie się, ale także strach przed rozstaniem. Kiedy razem tworzymy zgrany duet, który osiąga cele, trudno z niego zrezygnować. Tym bardziej że istnieje ryzyko, że siła, która do tej pory pomagała nam w budowaniu kariery, obróci się przeciwko nam. Takie sytuacje często obserwujemy w show biznesie, gdzie rozwody zamieniają się w prywatne wojny. – Publiczne rozstania to potworne doświadczenie, dlatego że odbywa się na oczach gawiedzi, która rzadko jest wspierająca, a częściej zazdrosna i szydząca – uważa Zalewski. I tłumaczy: – Poza tym tłum generuje skrajne zachowania. Napędzani przez niego często dajemy się ponieść fali złości i nienawiści. Sztuką jest rozwód z klasą. Jeżeli przyczyną rozstania jest rozejście się dróg życiowych, to większa jest szansa, że wszystko odbędzie się po cichu, gorzej, kiedy powodem jest osoba trzecia. W takiej sytuacji często puszczają nam nerwy, a siłę i wpływy, które mamy, obracamy przeciwko bliskiej osobie. ☹

## Przebojowe pary



## → Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy

Od tej pary wszystko się zaczęło. Kiedy on robił wielką politykę i błyszczał na salonach, ona w jego cieniu uczyła się zjadać bezy. Dziś trudno powiedzieć, które z nich ma większe wpływy. Niewątpliwie jednak wpływają na siebie nawzajem. On przy niej schudł i nabrał ogłady, a ona nauczyła się politycznej poprawności. Supercouple do kwadratu.



## → Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze

Najbardziej wpływowa para filmowa. Podobno czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Jak się okazuje – nie zawsze. Ta para widzi wszystko, ale też żal im wszystkich i wszystkiego. Do takich przynajmniej wniosków można dojść po obejrzeniu ich depresyjnego filmu – „Plac Zbawiciela”.



## → Hanna i Tomasz Lisowie

Lisy opanowały nasze umysły. Ta para absolutnie rządzi polskimi mediami. Są wszędzie. W gazetce, w radiu, w telewizji i w internecie. Nie tylko świetnie wyglądają, ale mają też wiele do powiedzenia. Ich wpływy sięgają dużo dalej, niż mogłoby się wydawać. Hanna oprócz dziennikarskiej kariery zajmuje się kuchnią, a Tomasz realizuje się w sporcie. Przynajmniej tak deklarują w mediach.



ROZMAWIA ADAM RADECKI

# Postnuklearna modlitwa

- Dotknęliśmy już tak głębokiej konsumpcji, że świat został zupełnie wyzuty z jakiegokolwiek sensu. Nasze życie stało się infantylne. Teraz, po latach bezmyślnego produkowania i konsumowania, musimy znowu, jak w XIX wieku, zastanowić się nad naszym „dorobkiem” - mówi **Joanna Szczepkowska**. Aktorka sięgnęła właśnie po wybitny reportaż Swietłany Aleksijewicz i na jego podstawie wyreżyserowała „Czarnobylską modlitwę” w stołecznym Teatrze Studio.

**S**zczepkowska tak pisze na stronie teatru: „(...) Czarnobylska rzeczywistość stworzyła obraz nowego świata i nowego człowieka. Jednak ten obraz jest nie tylko katastroficzny. Świat po Czarnobylu dokonał przewrotu w naturze i w filozofii życia. Zaczyna się ujawniać siła intuicji wielkich i drobnych stworzeń. Ludzie dostrzegają wyraźniej swoją przynależność do natury. Jeśli z wybuchu tamtego reaktora można wyciągnąć jakikolwiek pozytywny wniosek, to jest nim wola życia, która podpowiada, jak pojąć, przetrwać i jak oswoić świat, który stał się karykaturą. Jak wygrać z apokaliptycznym doznaniem. Oglądając to przedstawienie, nie unikniemy potworności i tragizmu skutków katastrofy. Naszym zadaniem jest jednak pokazać to tak, żebyście wyszli z nadzieją, że wszystko ma moc odradzania. Żebyśmy - jak mówi autorka - »doświadczyli wypowiedzianego czy też niewypowiedzianego uczucia, że dotknęliśmy czegoś nieznanego«”. Czarnobyl i nadzieja? Tak - przekonuje w rozmowie z „Przekrojem” Joanna Szczepkowska.

**Kim byli „likwidatorzy”?**

Tak nazywano ludzi posłanych do usuwania szkód, jakie wyrządził wybuch reaktora w Czarnobylu.

**Był rok 1986.**

Kwiecień. W nocy wybuchu jako pierwsza wyruszyła grupa młodych strażaków. Ci chłopcy pojechali bez żadnej ochrony. Jak mówi jedna z bohaterek reportażu Aleksijewicz: „...tak jak stali - w samych koszulach”.

**Wezwano ich do zwykłego pożaru, jak w „Pali się, moja panno”?**

Tylko że w Czarnobylu chodziło się po roztopionym bitumie, a nie po śniegu. Tam była tylko śmierć. A o śmierci ludzie mówią i czytają niechętnie. W ogóle ludzie czytają coraz mniej. Raczej wypieramy złe doświadczenia i tak jest w tym przypadku. Dlatego praca Aleksijewicz jest taka ważna. Nie sposób być obojętnym wobec tych reportaży. Doskonale pamiętam, jak pierwszy raz czytałam publicznie tę książkę, o co zostałam poproszona. Kiedy skończyłam, na długi czas zapanowała absolutna cisza. Zamarła nie tylko widownia, ale i ja siedziałam w zu-

pełnym bezruchu. Wtedy zrozumiałam, jaki potencjał ma ta treść i że może należałoby z tym materiałem pójść dalej.

**Tym bardziej że temat nadal jest gorący.**

Tak. Co piąty mieszkaniec dzisiejszej Białorusi mieszka na terenie skażonym, a niektórzy w bezpośredniej strefie skażenia promieniotwórczego. To problem globalny, a seria wypadków jądrowych w Fukushima w 2011 r. to potwierdza. Tylko po prostu nie chcemy o tym myśleć.

**W Japonii wojsko amerykańskie na teren elektrowni najpierw wysłało bezzalagowe samoloty.**

Technika poszła do przodu, ale problem pozostaje. Gromadzimy wielkie zasoby energii atomowej, podobno dysponujemy ładunkiem jądrowym, którym siedmiokrotnie można rozsadzić Ziemię. Jednocześnie szukanie innych wyjść to jest pewnie praca na stulecia.

**Pani spektakl opowiada o śmierci czy o miłości?**

Mam nadzieję, że o życiu (śmiech). Oczywiście wątek miłości jest tutaj bardzo silny. Myślę, że silniejszy od szekspirowskiego „Romea i Julii”. Młode małżeństwo rozdziela katastrofa, on idzie do „pożaru” reaktora, a potem ona decyduje się z nim być do końca, robić zabiegi, których odmawiają nawet pielęgniarki, i oczywiście napromieniuje się sama. Czy to jest o miłości czy o śmierci?

Kiedy jest się tak blisko tematu, i to tematu tak bolesnego, trudno ocenić, co się bardziej przebija: śmierć czy miłość. Przygotowując się do tego spektaklu, natknęłam się na jedno zdjęcie. Oczywiście obejrzałam ich mnóstwo, ale to jedno było dla mnie kluczowe. Przedstawia grupę ludzi z okolic Czarnobyla tańczących w suchych wysokich trawach. Tańczą wokół niewielkiego stołu wyniesionego z drewnianej chaty. To jest punkt wyjścia mojego spektaklu - o woli życia mimo wszystko. O ludziach, którzy chcą żyć dalej na tych ziemiach.

**Nie możemy zapominać, że ludzie Wschodu są ogromnie utalentowani. Ich duchowość jest ich talentem.**

**I dlatego muszą o tym wszystkim komuś opowiedzieć?**

Opowiadają, żeby przetrwać, żeby oswoić dramat, żeby zrozumieć siebie. Ci ludzie, bohaterowie mojego spektaklu, chcieli tam wrócić. Po prostu. To jest ich wybór. Świadoma decyzja. „Tu jest, powiedziałbym nawet, raj” – mówi jeden z nich w rozmowie z Aleksijewicz. To mnie poruszyło chyba najbardziej, że ci ludzie zdecydowali się na jakiegoś rodzaju walkę z apokalipsą.

**Ale dlaczego zdecydowali się na życie w samym centrum katastrofy?**

No właśnie. „Każdy tam chodzi, gdzie się urodził” – mówi po prostu jedna z postaci. Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie to zrozumieć, ten rodzaj przywiązania do ziemi, tej woli życia tu i tylko tu.

**A może chodzi po prostu o stan wiedzy, o mentalność?**

Tylko że nie dotyczy to wyłącznie ludzi tak zwanych niewykształconych. Efekty zakażenia promieniotwórczego były poza jakimkolwiek wyobrażeniem. Pojawia się w moim spektaklu postać lekarki, która jest w pełni świadoma zagrożeń, ale zdecydowała się żyć w miejscu katastrofy. Uważa, że skoro przyroda się tu odnajduje, to człowieka też powinno być na to stać. Najprościej byłoby nazwać to głupotą, ale myślę, że jest to rodzaj obrony. W „Czarnobylskiej modlitwie” często pada zdanie: „W Czarnobylu ludzie zaczęli filozofować”. Okazało się, że pustka, która tam powstała, stała się doskonałym miejscem, żeby myśleć o innej cywilizacji. Ludzie z całego świata przyjeżdżają do tej strefy śmierci, żeby niezależnie od zagrożeń pobyc w takich warunkach. W miejscu pustki. To zastanawiające. Dzisiaj wiedza na temat efektów promieniowania jest powszechnie dostępna, a mimo to ludzie tam jeżdżą.

**Turystyka postnuklearna brzmi trochę złowieszco. A czemu nigdzie nie pada odpowiedź na pytanie: dlaczego ktoś zdecydował się na budowę elektrowni atomowej na terenach zamieszkałych przez ludzi?**

To jest pytanie Europejczyka (śmiech). Mówimy o rzeczywistości Związku Radzieckiego. I o mentalności „radzieckich ludzi”. Tam się liczyły zwycięstwa, wyzwania, a nie ktoś pojedynczy. Ludzie w tamtych rejonach bardzo powoli zyskują świadomość istniejących zagrożeń.

**Może to jest właśnie cena życia fantazjami?**

To jest cena życia w totalitaryzmie. Rozmawiałam z kobietą, której rodzina mieszka na terenach skażonych, i kiedy zapytałam, czy się nie boi, zaczęła się śmiać. Ludzie, którzy w jakimś sensie nadal są ludźmi ze Związku Radzieckiego, nie mogą się bać, oni chcą być bohaterami.

**Bohaterami zostali wszyscy młodzi strażacy z pierwszego rzutu. Leżą w alei zasłużonych na moskiewskim cmentarzu.**

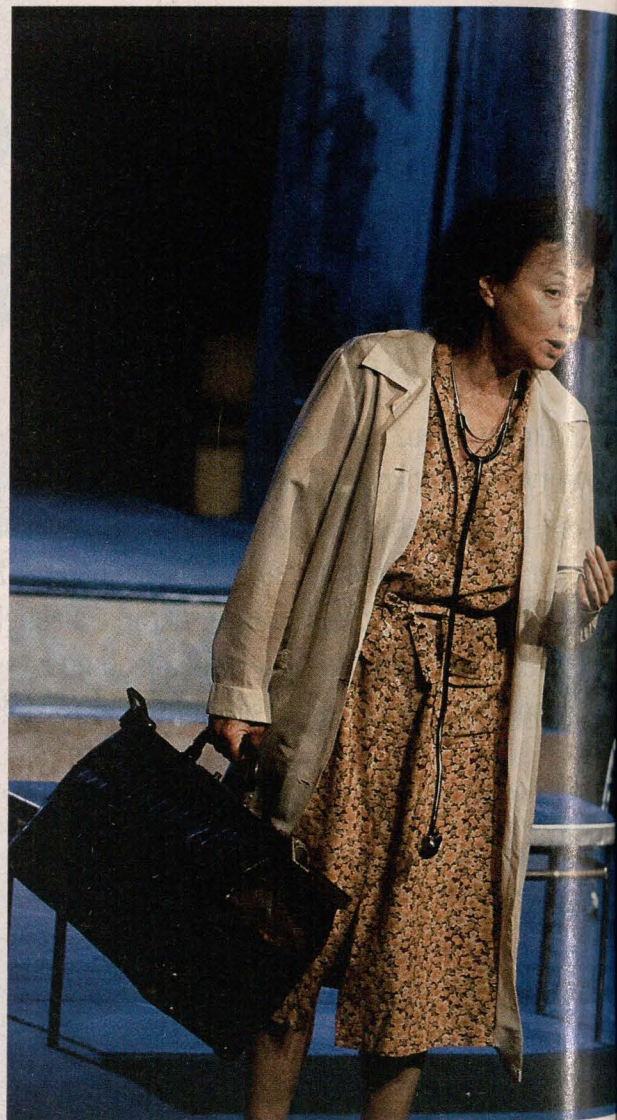
Lekarka, którą gram, mówi: „To jest jakaś forma barbarzyństwa – ten brak strachu o siebie. Zawsze mówimy »my«, nigdy ja”. Taka mentalność.

**To może naprawdę nie jesteśmy w stanie jej uchwycić?**

Ci wszyscy „likwidatorzy” myśleli tak: „Jeśli mój ojciec zginął za ojczyznę na wojnie, to ja muszę być tam”.

**I jechał do Czarnobyla?**

Nie bardzo świadomy, ale gotowy do walki w imię jakiegoś zwycięstwa. A jakby było dziś? Nie wiadomo na pewno. Wypadki skupiają ludzi. Ludzie zjeżdżają się na wieść, że coś gdzieś się stało. „Strefa przyciąga jak magnes”. Strefa to miejsce z innego wymiaru.



**Czy wciąż mamy do czynienia z mentalnością „ludzi Związku Radzieckiego”?**

To rozumiałe, bo chodzi o krótki czas jaki upłynął od 1989 roku. Ta mentalność jest wyjątkowa. Cechuje ją pewna dwoistość. Ci ludzie z jednej strony kochają władzę, a z drugiej mają ogromny potencjał rewolucyjny, jakąś zdolność do obalania tej władzy. Z jednej strony mają potrzebę bycia poddanymi, z drugiej – świadomość bycia poddanymi Matki Rosji, mają siłę do robienia rzeczy niebywałych. Ich ambicja wydaje się nie mieć końca. I nie możemy zapominać, że ludzie Wschodu są ogromnie utalentowani. Ich duchowość jest ich talentem. Ale nie tylko. Kiedy spojrzymy

na to, z jaką szybkością i – można powiedzieć – łatwością przejęli pewne wzorce świata Zachodu, to jest to imponujące.

Radziecka mentalność jest kluczem do zrozumienia katastrofy, ale trzeba pamiętać, że tutaj winni stali się też ofiarami. Awaria w Czarnobylu powstała, bo ktoś podjął złą decyzję – najprawdopodobniej kierowała nim tylko ambicja. Ten człowiek zdecydował o zwiększeniu mocy przy testowaniu reaktora numer cztery, bo chciał przekroczyć normę. Innym przykładem jest jeden z bohaterów sztuki, człowiek aparatu, który wiedział, co tak naprawdę się wydarzyło, ale i tak stał na trybunie w napromieniowanym rejonie.

W Teatrze Studio Joanna Szczepkowska przygotowała spektakl „Czarnobylska modlitwa”, traktujący o woli życia na przekór katastrofie.

**Prawdziwy gieroj.**

Tylko że on popełniał samobójstwo. To jedna z najbardziej przejmujących postaci. Jestem przekonana, że na Czarnobyl można spojrzeć z wielu stron. Jedni powiedzą, że to przyczynę do walki z bezmyślną technologią, drudzy zobaczą ludzką słabość, jeszcze inni siłę. Niektórzy będą mi z pewnością zarzucać, że to za mało interwencyjne. Ja widzę więcej interwencyjności w pokazaniu ludzkich skutków katastrofy niż w artystycznych manifestach. I chętnie wracam do tego zdjęcia z roztańczoną grupą w opustoszałej wsi i widzę w tym jakąś przewrotną ludzką siłę. Uważam, że

ci ludzie żyją takim życiem, jakim powinno się żyć. Naprawdę powinniśmy się im uważnie przyjrzeć.

**Po co?**

Uważam, że dotknęliśmy już tak głębokiej konsumpcji, że świat został zupełnie wyzuty z jakiegokolwiek sensu. Nasze życie stało się po prostu strasznie infantylne i teraz po latach bezmyślnego produkowania i konsumowania musimy znowu, jak w XIX w., zastanowić się nad naszym „dorobkiem”. Chodzi o to, że powinniśmy zacząć gdzie indziej szukać powodów do życia. To, jaki mamy kolor komórki, jest naprawdę sprawą drugorzędną.



ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK &amp; KLINKE, ZDJĘCIA: JACEK POREMBA

# Nabuzowany refrenista

Kartoflany ryj, głos jak dzwon, beksalalista – oto krótka autocharakterystyka **Marka Dyjaka**. Z wokalistą, którego płyta „Kobiety” ukaże się 12 kwietnia, rozmawiamy nie tylko o płci pięknej, ale też o wódzie, zapasach z życiem i popsutym układzie nerwowym.

**Dostaliśmy w redakcji konkretne zadanie: „Pogadajcie z Dyjakiem po męsku. O kobietach”.**

Nie wiem, czym jest „męska rozmowa”, a gadanie o kobietach jest jak krowa, która dużo ryczy i mało mleka daje. Z podwójnym rozwodnikiem lepiej o tym nie rozmawiać. Popęlniłem za dużo błędów w relacjach z kobietami. Miesiąc temu jakiś producent z Wrocławia zaproponował, żebym zaśpiewał piosenkę Rezerwatu – „Zaopie-

ku się mną”. Myślałem, że szlag mnie trafi. Równie dobrze Smoleń mógłby śpiewać „Bogurodzicę”. Dla niektórych jestem facetem, który powinien błagać dziewczyny, żeby się nim zaopiekowały. A ja wiem, że w wyniku tej opieki dziś wyglądam, jak wyglądam.

**Sławomir Mrozek w rozmowie z nami stwierdził, że kobiety to lepszy gatunek ludzi.**

To prawda. Były stworzone jako drugie, więc to ulepszona wersja człowieka.

Pewnie dlatego kibolami są mężczyźni. Faceci burzą domy, a kobiety je stawiają. Ja sam mam w sobie zajebiste dużo babskości. Nie muszę tracić heteroseksualnego zmysłu, żeby stwierdzić, że płynie we mnie również kobieca krew. Zwykle kochamy w innych to, co jest w nas. A zdrowym napędem do jakiegokolwiek działania jest tylko kobiecość.

**Gdyby nie one, to...**

Nie zrobiłbym nawet jednego kroku. To kobieta była bezpośrednim powodem uprawiania mojego zawodu. Zaśpiewałem jej tylko po to, żeby się popisać. Dla chłopaka, który codziennie dojeżdżał ze Świdnika do zawodówki w Lublinie, przeskok na poezję śpiewaną i skłamanie, że jest inteligentem-śpiewakiem, było jak skok w przepaść. O dajwo się nie zabiłem. Może dlatego, że już wtedy byłem bardziej muzykiem niż hydraulikiem.

**Cały czas śpiewasz dla kobiet?**

To moja podstawowa publiczność. Na koncerty przychodzą kobiety i mężczyźni zaproszeni przez te kobiety, ewentualnie mężczyźni tacy jak ja. Cała nowa płyta jest dla kobiet, a niektóre piosenki nawet dla konkretnych kobiet. Ale też dla mężczyzn, którzy w swoim życiu znaleźli się w podobnej sytuacji jak ja. A jest ich niemało. Każdy kiedyś został sam, jak powiedział Bukartyk.

**Potrafiłbyś określić kobietę jednym słowem?** „Morze”. I niech każdy sobie wybierze, przez jakie „żet”.

**Jak się gra koncerty dla mamy?**

Ciężko. Mama słuchała mnie na żywo tylko dwa razy. Raz w naszym rodzinnym Świdniku przyszła z sąsiadkami. Po koncercie powiedziała: „Wiesz, to nie jest muzyka dla mnie. Taka byle jaka...”. A innym razem nie mogła przeżyć, że powiedziałem ze sceny: „Matka Boska mnie nie obchodzi, bo każdy ma swoją matkę. Dla mnie moja matka jest boska”. Takie porównanie ją urazi-

ło. Usłyszałem, że jestem za radykalny i że zachowuję się zupełnie jak mój dziadek, który zresztą urodził się tego samego dnia co ja.

**Tej historii nie znamy...**

Dziadek przez szereg lat był poważnym wirażką w Lublinie. Twardy jak stal. Ma wytatuowaną kotwicę, jak ja. Żyd spod Moskwy, który był w WiN (Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość – cywilno-wojskowa organizacja antykomunistyczna założona 2 września 1945 r. – przyp. red.). W 1948 r. złapali go z bronią. Na szczęście nie więcej mu nie udowodnili, bo na pewno by nie przeżył. A tak „tylko” zaliczył wiele lat na Zamku Lubelskim (Służba Bezpieczeństwa przetrzymywała tam i torturowała „wrogów” władzy ludowej – przyp. red.). Między innymi siedział też w ciężkim więzieniu w Sieradzu. Jedynie, czego się nauczył podczas swojej działalności w AK i WiN – gdzie notabene musiał ukrywać swoje pochodzenie – była regularna partyzantka, co w czasie pokoju oznacza życie, które zmusza do łamania rozmaitych paragrafów prawa karnego. Kiedy matka chce mi dopiec, to mówi, że jestem jak dziadek. Czyli rasowy łobuz.

**A jesteś?**

Nie, bo mam w sobie za dużo beksalizmu. Oczywiście zdarzały mi się akty przemocy, ale jak komuś zrobiłem krzywdę, to potem nie potrafiłem się z tego dźwignąć i do dzisiaj mam wyrzuty sumienia. Tak naprawdę jestem połączeniem dwóch dziadków: Gienka i Franka. Ten drugi był romantykiem – kawalerzystą 27. Pułku Ułanów, z włosami zaczesanymi do tyłu. Franek miał wielkie poczucie humoru, skoro syna, czyli mojego ojca, w 1947 r. nazwał Jan Adolf.

**Po Adolfie masz ten charakterystyczny dzwon w głosie.**

Zgadza się. Ojciec żyje, ale nie mamy kontaktu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek był na moim koncercie. Kiedyś

## Złote myśli Dyjaka

**Czy ja wyglądam na Żyda? Czy ja wyglądam na muzyka? Czy wyglądam na kogoś, w kim płynie krew, która się boi?**

**Gdybym zaczął pisać teksty, wyszedłby kabaret. Jak już będę chciał zakończyć karierę muzykanta, zacznę pisać. Wtedy pozamykam sobie wszystkie drzwi.**

**Ubieram się tylko w taniej odzieży. Przeważnie na czarno, bo to bardzo praktyczne – od razu można mnie pochować.**

**W Polsce podobają mi się dwa miasta: Nowa Sól i Włodawa. Wszędzie mogę być młotkiem, a tam zawsze czuję się bardem.**

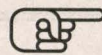
dzwonił do mnie Adek Drabiński, reżyser. Byłem przelotem w domu, a do tego cholernie przeziębiony. Matka posmarowała mi spirytusem szyję i obwiązała szalikiem, żebym się wygrzał. Telefon odebrał ojciec, a Adek myślał, że to ja, czyli głosy mamy identyczne... Stary pozwolił sobie wtedy na jeden jedyny żart w moim kierunku. Otworzył drzwi i krzyknął: „Ty, Kiepur! Telefon do ciebie”. A ja w tym szalik... Ojciec to umysł ścisły, fizyko-chemik wysokiej klasy. Pracował przy syntezie światła. Jedyna wspólna rzecz, którą z nim mam, to woda. Ja, który się zarzekałem, że nigdy w życiu nie wypiję, pierwsze kroki skierowałem do baru. I od razu zacząłem od litra. Momentalnie wiedziałem, że to jest to. Uwierzcie, że gdyby nie spustoszenie wokół mnie i utrata zdrowia, to piłbym dalej. Pazerność mnie zgubiła. Umiarkowanie w jedzeniu i piciu to bardzo ważne przykazanie. Ja je złamałem i dzisiaj wieczorem, chłopaki, się nie napijemy. A szkoda, bo w małych ilościach alkohol jest lekarstwem.

**My nie namawiamy. A inni?**

Oczywiście. Cały czas. Często niebezpośrednio. Na przykład w garderobie przed koncertem stoi i patrzy na mnie 0,7. Niektórzy chyba myślą, że moje niepicie to jakaś baśń. Poza tym cały czas przesiaduję w barach, w których każdy chce się napić. Kradnę rytuał. Stawiam ludziom wódkę, piję oczami. Natury pijaka nie oszukasz. Jak widzę jakiegoś pijanego bidulka, który chce się ze mną napić, to wychodzę. Całe życie bełkotałem ludziom nad głowami, a dziś nie potrafię wysłuchać pijanego człowieka. Często mam bardzo realistyczne sny, w których piję, a potem mam kaca. Budzę się i rzeczywiście – boli głowa, spierzchnięte usta... Suchy kac. Biegnę do sklepu po sok z kiszonych ogórków. Zachowuję się wtedy jak zły człowiek. I tak będę miał do końca życia. Bywa ciężko. Ale wiem, że tak samo ma parę milionów chłopaków, więc nie ma co płakać i narzekać.







Panowie wymagają specjalnej pielęgnacji, podlewania, bo są jednak dość egzotycznymi kwiatami. A my tu szklarni nie prowadzimy. Tak Krystyna Janda komentuje przewagę kobiet wśród osób zarządzających jej teatrami. Piszcie Mike Urbaniak → 54



# Bauman i Bałka

Spotkali się w sierpniu 2011 r. w Leeds w Wielkiej Brytanii.

Artysta zabrał ze sobą z Polski wykonaną w skali 1:1 fotograficzną reprodukcję ściany swojej warszawskiej pracowni, którą rozstawił w domu prof. Baumana. Na ścianie tej montuje wycinki prasowe, fotografie i własne szkice, pracuje koncepcyjnie, przerabia wątki i motywy z historii kultury.

Wydaje się, że do spotkania tego nie mogło nie dojść. Bauman i Bałka spotykali się już nieraz na kartach katalogów artysty, m.in. „How It Is” Londyn (2009), czy fragment „Warszawa/Berlin” (2011). Można powiedzieć, że ciągnęło ich do siebie. Jak obaj deklarują w rozmowie, połączyło ich szczególne uczucie: najpierw nawzajem do swoich dzieł, a potem już autentyczna i szczerza

fascynacja. W potoku skojarzeń i płaczących się obrazów Bałka i Bauman mierzą się z pamięcią, z własną biografią i losem własnej twórczości. Poddają refleksji pracę jako technikę i pracę jako efekt, medium komunikacji z odbiorcą, wreszcie pracę jako rytuał myśli i działania. Dyskutują o percepcji i recepcji, dojrzeniu do zaangażowania i zaangażowaniu w dojrzenie wspólnie z odbiorcą/czytelnikiem. Do spo-

tkania tego doszło z inicjatywy dyrekcji i zespołu Narodowego Centrum Kultury, ich pomysłem było również zwiędzenie go publikacją książki. Oto jej fragmenty.

## Zdradzone

**Bauman:** (...) Bałka jest artystą świadomym jak mało który twórca; sięgnięcie po kawałek materiału poprzedzone jest tutaj przez olbrzymią pracę myśli. Już

przecież sam ten wybór jest swego rodzaju przesłaniem. Jakby się Pan jednak nie starał, to poza zaplanowanym, przemyślanym przekazem, jest coś, co Pańskie dzieło zdradza, a czego w Pańskich intencjach ani planach nie było. Głos artysty jest bowiem na tych samych prawach, co głos odbiorcy. Artysta nie ma w tej kwestii przewagi.

**Bałka:** Z tym zastrzeżeniem, że zawsze to ja jestem pierwszym odbiorcą. Tym, kto podejmuje decyzję, czy to, co zrobiłem, dopuszczam do użycia, czy nie. W kwestii nietrwałych materiałów, o których była mowa, to wychodzę z punktu widzenia ekologicznego. Stało się tak trochę przez przypadek, bo nigdy nie miałem szczególnie rozwiniętej świadomości ekologicznej, choć całe dzieciństwo obserwowałem proekologiczne zachowania moich rodziców, którzy segregowali śmieci, kiedy jeszcze nie było to społecznie wymagane. W domu zbierano na przykład zużyte mydła. Dla mnie wykorzystanie takich materiałów, jak choćby popiół, nie wynikało z niczego innego. Sięgnąłem po popiół, który powstawał w wyniku ogrzewania pracowni, w wyniku spalania węgla i drewna. Gromadził się, a szkoda było go wyrzucać. Zdecydowałem, że dam mu nowe życie. Bardzo często twórczość artystyczna, twórczość w obrębie wizualności, to właśnie takie procesy dawania nowego życia. Iglawie w moich pracach też nie wzięło się znikąd. Zostawało z rozebranych po świętach choinek. Nie umiałem się z nim rozstać. Właśnie to „szkoda wyrzucać”, niemożność rozstania, stały się dla mnie motorem do sięgania po materiał w stanie rozkładu.

**Bauman:** Dzięki za kamyk do mego ogródka. Robiąc to, o czym Pan właśnie opowiedział, był Pan przecież wiernym dziecięciem swojego wieku. Wszak jeszcze wówczas, kiedy odbywała się pierwsza wystawa impresjonistów, 90% ludności Europy mieszkało na wsi i było

**Bauman:** To, co mnie naprawdę interesuje, to odpadki, które znajdę w tych sieciach, nie żadne piękne ryby czy skarby, ale śmieci. Nad nimi potem ślęczę. Nad małymi, marnymi rzeczami.

rolnikami. U rolnika pojęcie „śmiecia” nie istnieje. Wszystko idzie do gospodarstwa z powrotem. Nic się nie wyrzuca, nic kompletnie. Pan natomiast, jako artysta spełniający swoje powołanie, robi to, co artysta robić powinien – chwyta w sieć obrazu swój czas. Podświadomy przekaz Pana sztuki to problem marnotrawstwa, który nie istniał w gospodarstwie rolnym, i budzącego się ekologicznego sumienia, nowa pasja „recyklingu”, czyli wtórnego przerobu, która w gospodarstwie rolnym nie miała prawa się narodzić. W gospodarstwie nie było ścieków czy kanalizacji nie dlatego, że technika nie nadążała. W ogóle nie mieściło się w głowie, żeby jakieś „odpady” czy „odrzuć” odprowadzać do morza. Jest więc tak, jak przed chwilą powiedziałem: Pan wie, co Pan przekazywał – w tym przypadku swoje zatroskanie recyklingiem. Zdradzał Pan natomiast zafascynowanie naszego świata uprzężaniem olbrzymiej ilości śmieci, to znaczy niestrawionych resztek świata, tych ofiar współbieżnych naszego postępu cywilizacyjnego, naszej obsesji na punkcie ładu i higieny.

**Bałka:** Interesowało mnie także przedłużanie życia tych niepotrzebnych już obiektów, obiektów wyrzuconych.

**Bauman:** Tak, Pan je wskrzeszał do nowego życia.

**Bałka:** No właśnie. I to jest wspaniałe, że takie obiekty jak stare kosze na śmieci mogą za pomocą prostego gestu ożyć – na przykład zamieniając je w lampę, w rezultacie umieszczenia żarówki, podłączenia prądu, oświetlenia. W 1990 r. zrobiłem taką rzeźbę Pengu-

## ZYGMUNT BAUMAN

Socjolog, filozof, uważany za jednego z najważniejszych myślicieli XX i XXI wieku, urodził się jesienią 1925 roku, tego samego roku, kiedy dyktatorem Włoch ogłosił się Benito Mussolini, wyszedł pierwszy numer „New Yorkera”, wybuchło powstanie kurdyjskie przeciwko Turcji, a w Niemczech ukazała się książka Adolfa Hitlera „Mein Kampf”.

## MIROSLAW BAŁKA

Artysta rzeźbiarz, urodził się w pierwszym podwielkowym roku, 1958, kiedy to odbyła się premiera filmu „Popiół i diament”, w reżyserii Andrzeja Wajdy, w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku w okolicach Otwocka (gdzie Bałka pracował w 1979 roku) uruchomiono pierwszy w Polsce doświadczalny reaktor jądrowy EWA, ukazało się amerykańskie wydanie „Lolity” Vladimira Nabokova, powstało NASA, a Francuska Afryka Zachodnia rozpadła się na odrębne republiki autonomiczne.

in Lamp. Wówczas były w użyciu kosze na śmieci w kształcie pingwina. Udało mi się zgromadzić kilka z nich. Ważne było dla mnie przede wszystkim to, że służyły jako kosze na śmieci, do których wyrzucamy odpadki. Wrzucamy coś do środka i tego nie ma, znika w czarnej dziurze. Śmieciarze najczęściej przychodzą wcześniej rano, kiedy jeszcze wszyscy śpią. Nie ma śladów sprzątanina. Dlatego zdecydowałem się na ten przewrotny gest: umieściłem żarówkę na dnie kosza na śmieci. Podłączyłem światło i zamieniłem kosz na śmieci w lampę. I oto z paszczy tego pingwina, tej czarnej otchłani, wydostaje się strumień światła.

**Bauman:** To, że można manipulować znaczeniami słów i znaczeniami rzeczy, to stosunkowo nowy wynalazek. Kiedyś kosz na śmieci był koszem na śmieci. Kropka. Odkąd pojawił się Marcel Duchamp, nie jesteśmy już tych stałych tożsamości rzeczy wcale tak pewni. Przepraszam za to podejrzenie, ale gdyby Pan się urodził dwieście lat temu, nie sądzę, żeby podobne gesty przychodziły Panu do głowy.

**Bałka:** Z pewnością nie. Ale chyba jednak robiłbym to, co teraz, tyle że prawdopodobnie przetwarzałbym marmur. Wracając jeszcze na chwilę do chwytania w sieć swojego czasu – bardziej interesuje mnie zarzucanie sieci na brudną wodę, wyciąganie ich i przyglądanie się temu, co się w nich pojawia. Nigdy nie miałem potrzeby uchwycenia wszystkiego, stworzenia dzieła totalnego. Wiem, że żadnej całości nie uchwycę. To, co mnie naprawdę interesuje, to odpadki, które znajdę w tych sieciach, nie żadne piękne ryby czy skarby, ale śmieci. Nad nimi potem ślęczę. Nad małymi, marnymi rzeczami. Często mówię, że sól nie ma dla mnie nic wspólnego z wielką historią, przeszłym życiem oceanów, z czymś wielkim i nieodgadnionym. Sól to jednostkowy wysiłek i cierpie-

nie, przyjemność i wszystkie te niekiedy mało malownicze funkcje życiowe, a także słabość.

**Bauman:** Bliskie to mojemu sercu, dlatego się w Panu zakochałem.

**Balka:** Z wzajemnością.

## Znalezione

**Bauman:** Rozpoznaję w Pana słowach swoje własne rozproszone myśli. „To płynna nowoczesność”. „Życie we fragmentach”. Wszystko świadczy o tym, że całości nie ma. Z którejkolwiek strony to ukąsić, okazuje się, że nie ma. Bo nawet, jak w tej chwili już wiadomo z kosmologii, wszechświat się rozpełza, też nie jest całością, a jeszcze w dodatku – tego już w ogóle nie rozumiem, ale powtarzam, co wyczytałem – ten wszechświat, w którym siedzimy w tej chwili, nie jest jedyny. Jest jeszcze wiele innych wszechświatów. Znakomitą większość tego wszechświata wypełnia czarna materia, jeszcze czarniejsza niż Pańska otchłań z Tate Modern, bo tam już w ogóle nic nie można zobaczyć, absolutnie nic. No więc jedyne, co nam pozostało w tych warunkach, to właśnie starać się złożyć nowe konfiguracje, jeśli nam się uda, te odłamki bytu. Po to się zarzuca sieci, żeby te odłamki złowić.

**Balka:** To są przebłyski. Choć nie jest to, rzecz jasna, do końca przypadkowe. To, co nam się trafi, jest w pewnym sensie kwestią decyzji. To w końcu my wybieramy łowisko, na którym tę sieć zarzucamy. Nie zarzucamy jej na każdą kałużę, tylko jedziemy – niekiedy bardzo daleko – i rzucamy ją w miejsce, które nas zafrapowało, przyciągnęło czymś uwagę. I dopiero wtedy zaczynamy pracować. Rozbierać i składać. Słowa, znaczenia i rzeczy.

**Bauman:** Chyba rzeczywiście Pan nie przedstawia rzeczywistości. Ta rzeczywistość, którą Pan pokazuje, jest odmienna od rzeczywistości znanej nam z pozartystycznego doświadczenia. Niekiedy ma się jednak wrażenie, że

**Bauman:** To płynna nowoczesność. Życie we fragmentach. Wszystko świadczy o tym, że całości nie ma. Z którejkolwiek strony to ukąsić, okazuje się, że nie ma. Bo nawet, jak w tej chwili już wiadomo z kosmologii, wszechświat się rozpełza.

ta Pańska rzeczywistość jest bardziej prawdziwa niż rzeczywistość zza okna. Tak! Te baraki na przykład. Cały czas do tego wracam, bo to było dla mnie, by tak rzec, „formatywne” przeżycie. Ta karuzela, rozpędzone i kołujące nad naszymi głowami baraki, miast butwieć, gnić i rozkładać się gdzieś tam pod Lublinem. To była ta druga (a może pierwsza?) rzeczywistość baraków, jaką Pan odsłonił raczej niż wydumał. Pan przerabia rzeczywistość, by odsłoniła to, co ukrywa, a nie wymyśla nową. Nie ma u Pana jednorozców.

**Bauman:** Ja nigdy nie mam planu książki, kiedy się do niej zabieram. Wiem, o czym chcę pisać, ale to dopiero zmagania z wykreślonymi zdaniem i fałszywymi tropami sprawiają, że książka nabiera kształtu.

**Balka:** To forma, przez nią musimy przebrnąć. Często sobie powtarzam, że gdybym wiedział, co mam zrobić, jak będzie wyglądać ostateczny kształt każdej pracy, nie uwzględniając procesu i przypadku, nie byłoby w ogóle sensu tworzyć albo trzeba by to nazwać inaczej.

**Bauman:** Znowu dochodzimy do tego samego problemu, czy program wyczerpuje cel dzieła. Myślę, że nawet wtedy, kiedy Pan uważa się za przygotowanego przed wejściem do pracowni, żeby coś zrobić, to i tak wie Pan tylko to, co chce pokazać. Nie wie Pan, co przy okazji Pan zdradzi.

**Balka:** No tak, to jest to – ta niepewność. To zaskakująco piękne, że są takie momenty bez kontroli, momenty absolutnej spontaniczności w spotkaniu z materią świata i śladami czasu.

**Bauman:** Czy z góry Pan wiedział, na przykład, że zobaczy Pan w Brzeżnicy te sarenki na wątych nóżkach wdępujące ludzką pamięć w ziemię?

**Balka:** Miałem kamerę w rękę, ale niczego nie zakładałem. (...) Tak, to był obiekt znaleziony. Zobaczyłem te sarny nagle, za drutami. Trzęsła mi się ręka z wrażenia, dlatego wszystko w kadrze jest takie rozbujałe. Bałem się, że one mi uciekną. Nie miałem pewności, czy udało mi się cokolwiek zarejestrować. Wydaje mi się jednak, że jadąc tam (właśnie tam) w ten zimowy dzień, dałem sobie szansę na coś. Gdybym pojechał tam w środku lata, zobaczyłbym zielony krajobraz, druty, które by się gdzieś tam rozproszyły. Zima to ziemia jałowa. Krajobraz śmierci albo snu. Śnieg przykrywa użyteczność ziemi i życie. Ale jednocześnie staje się doskonałym tłem dla akcji, tego, co dzieje się na powierzchni.

## Siła

**Bauman:** W jakim wieku Pan odkrył, że chce być artystą?

**Balka:** W tysiąc...

**Bauman:** Nie, w jakim wieku swoim?

**Balka:** No właśnie szukam, szukam tej daty. Zauważyłem, że mam do powiedzenia coś serio, kiedy na czwartym roku studiów zrobiłem rzeźbę „Stańczyk, który ocipiał”.

**Bauman:** Ale to były studia artystyczne?

**Balka:** Tak, rzeźbiarskie.

**Bauman:** Wcześniej musiał Pan się na te studia zdecydować.

**Balka:** No, tak. Dużo rysowałem jako dziecko, bardzo dużo rysowałem – głównie wojnę. Rysowałem non stop, można powiedzieć. To było moje źródło ukojenia. Rysowałem na marginesach gazet, bo w domu nie było czystej kartki papieru. To był zwyczajny dom, nie artystyczny. Było za biednie, żeby kupować blok



rysunkowy. Dlatego rysowałem w zeszytach i na marginesach gazet typu „Życie Warszawy” i „Express Wieczorny”. Ale to wszystko później zginęło.

**Bauman:** A na czwartym roku, co się stało?

**Balka:** Na czwartym roku poczułem siłę.

**Bauman:** Pewność siebie?

**Balka:** Tak. Poczułem, że jestem po stronie mocy sprawczej, że mogę. Wcześniej rzeźbiłem raz lepsze, raz gorsze rzeczy. I nagle poczułem, że wiem, jak płynąć, że już umiem się swobodnie (mniej lub bardziej) poruszać. I że mogę z tego naprawdę skorzystać. Zrobiłem wtedy rzeźbę „Stańczyk, który ocipiał”. Dość brzydki tytuł, ale tak wyszło.

**Bauman:** Na czym polegało to ocipienie?

**Balka:** Rzeźbiliśmy modela w przebraniu Stańczyka: zamyślony, kaptur jak u Matejki, dzwoneczki. No więc ja rzeźbiłem go – a umiałem już rzeczywiście bardzo dobrze rzeźbić.

**Bauman:** W czym?

**Balka:** W glinie, rzeźbiłem w glinie. I później, w ostatnim momencie tego rzeźbienia Stańczyka, który siedział w pozycji klasycznej, refleksyjnej – nagle dorobiłem mu żeńskie organy płciowe. W tamtym czasie na akademii to był szok. Jak do pracowni wchodziły sprzątaczkę, to zasłaniały to szmatą, żeby broń Boże nie widzieć. Nawet profesor odwracał głowę w bok. To był przypływ jakiejś dziwnej energii. Wtedy zrozumiałem, że ten prosty gest w samym końcu procesu pracy, że ta szczypta soli wysypana w to wszystko nagle przenosi dzieło – i mnie razem z nim – na inny poziom.

**Bauman:** Czyli Pan uznał się za artystę nie wtedy, kiedy Panu się udawało gładko wchodzić w zastane ramy akademii, tylko wtedy, kiedy się Pan z nich wyrwał?

**Balka:** Tak. To było takie wypuszczenie strzały. Łuk był naciągany, naciągany i nagle w pewnym momencie poczułem, że lecę, że się uwolniłem, że nie zajmuję się (tylko) rzemiosłem.

Zygmunt Bauman i Mirosław Balka. Dom Baumanów, Leeds, 2011 r.

**Bauman:** W Anglii academic art polega na tym, że student przychodzi do akademii na cztery lata i staje się nieodróżnialny od mistrza, robi dokładnie to, co mistrz. Pozostałość średniowiecza. Na czym bowiem polegało wykształcenie czeladnika na mistrza? Siedziało paru mistrzów za stołem i czeladnik musiał ich przekonać, że nie będzie pracował inaczej niż oni. Dopiero wtedy przyznawali mu tytuł mistrza.

**Balka:** Czyli że nie będzie lepszy.

**Bauman:** Nie, że nic nie będzie robił inaczej. Ja nawet nie wiem, czy oni myśleli w kategoriach lepsze/gorsze. Chcieli po prostu, żeby był dokładnie taki sam jak oni.

**Balka:** Okazałem się zatem uczniem niepokornym. To był chyba rzeczywiście gest przejścia. Ta rzeźba została później odlana w gipsie, a w końcu zginęła. Mam tylko jej zdjęcia.

**Bauman:** Rzeźby nie ma, nie istnieje?

**Balka:** Nie istnieje.

**Bauman:** To wielka szkoda.

**Balka:** Szkoda.

**Bauman:** Taką rolę odegrała w Pańskim życiu i zniknęła.

**Balka:** Właśnie. Przypominam sobie, że był taki okres, że zacząłem rzeźbić lewą ręką, bo miałem wrażenie, że prawą rzeźbię za dobrze, za „ładnie”. Osiągnąłem za dużą perfekcję, jakąś za dużą łatwość. Zaczęło mnie to uwierać. Ale rzeźbienie to nie jest tylko manualna umiejętność rzeźbienia.

**Bauman:** Pan używa ryłca czy palców?

**Balka:** Teraz rzeźbię chyba całym sobą.

**Bauman:** Teraz to rzeczywiście. Ale jak się Pan posługiwał gliną do „Stańczyka”, to jak to było?

**Balka:** Nóż i ręce.

**Bauman:** Nóż? Tak?

## Praca

**Bauman:** (...) Tworzenie chyba nigdy nie sprowadza się do skądinąd zgrabnie odtwarzanych i przekonująco wyłożonych ciągów przyczynowo-skutkowych. To, co stoi naprawdę za przejściem od jaskiń Altamiry do „How It Is”, to błysk, lśnienie. Można to też chyba nazwać momentem krytycznym – kiedy stajemy i rozglądamy się, zaczynamy rezonować, namyślać się.

**Balka:** Delikatne rozbłyski w szarości.

**Bauman:** Jest ich niezbyt wiele. Sam doświadczyłem zaledwie kilku momentów twórczego olśnienia. Mogę wskazać je palcem. To były nagłe iluminacje. W naszym zawodzie – to nie zarozumiałstwo mówi przeze mnie – iluminacja jest elementem, by tak rzec, fachu. Jest też ryzykiem zawodowym. W większości zawodów tego nie ma. Iluminacja rzadko się chyba pojawia. Jest syrena fabryczna, godzina jedna, druga przy taśmie, a potem jest pub.

**Balka:** Jestem szczęśliwy, ponieważ mogę znaleźć happy hours w pracy, a nie dopiero po pracy. To jest naprawdę fantastyczna rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła.

**Balka:** I happy hours. Dla mnie inaczej. Zawsze mówię, że jestem szczęśliwy, ponieważ mogę znaleźć happy hours w swojej pracy, a nie dopiero po pracy. Moje szczęśliwe godziny to godziny pracy. To jest naprawdę fantastyczna rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła. Z tego samego powodu uwielbiam poniedziałek. Bo zaczyna się tydzień pracy. Już tak jakoś to sobie zorganizowałem, aby w niedzielę nic nie robić, jakby miał to być grzech. Chyba wynika to z tradycji katolickiej. Mimo że pożegnałem się z Kościołem w wieku osiemnastu lat, do tej pory mi zostało, że niedziela jest dniem, kiedy twórczo nie robię nic. Nudzę się absolutnie, ale nie robię.

**Bauman:** Widzę, że czuje Pan podobnie, jak ja: jeśli nie spłodzę paru względnie sensownych zdań, to uważam dzień za stracony. Czy Pana fascynuje bardziej bycie u początku, czy kończenie pracy?

**Balka:** Trudno powiedzieć. Lubię sprzątać pracownię. Zamiatanie pracowni po dniu pracy to ważny element pracy. Jest takim samym aktem twórczym, jak główna praca, która się odbywa w ciągu tego dnia. Bo wiem, że przyjdę nazajutrz i będę dalej pracował. Jest mi trudno rozstrzygnąć, czy wolę zaczynanie czy kończenie dzieła. Po ukończeniu wiem, że zaraz będę zaczynał od nowa. Jest we mnie takie poczucie szczęśliwości, że coś jest skończone i będę mógł zrobić coś nowego.

**Bauman:** Ja natomiast mam straszną wadę i dlatego nigdy nie będę wielkim uczonym. Uczony wybiera temat i go drąży, drąży i drąży. Są tacy uczeni – wielcy uczeni – którzy całe życie zgłębiają jedno zagadnienie. Ja tymcza-

sem w momencie, w którym dochodzę do wniosku, że problem rozgryzłem, że zrozumiałem, o co w nim idzie, tracę zainteresowanie, chęć i energię, żeby dalej nad tym siedzieć. Choć sprawa nie jest przecież zamknięta.

**Balka:** Dobrze to znam, co widać pewnie w różnorodności moich prac. To są powtarzające się tematy, ale różne sposoby podchodzenia do nich, różne próby, różne kąty ich interpretowania.

**Bauman:** Za to właśnie okrzyknięto mnie eseistą. I wcale się nie obrażam. Uważam esej za wspaniały gatunek literacki. Bez wątpienia coś w tym jest. Jak raz coś rozgrzebię i złożę tak do kupki, to już potem wyrzucam, już nie zajmuję się tym więcej. Taki prawdziwy, rasowy uczony to by dopiero zaczął wokół tego tworzyć projekty badawcze. Ściągać ludzi, badać szczegóły, przeprowadzać eksperymenty. Przepraszam bardzo, ale zupełnie nie mam do tego energii. Skupiam się na zagadkach, na paradoksach. Dlatego pewnie tak zafrapowała mnie Pańska twórczość, która nie jest ironiczna, nie gra na odosobnieniu, wyobcowaniu, nie stoi z boku i nie jest brzemienista cynizmem.

**Balka:** Zderzanie i zestawianie rzeczy niezestawialnych ma istotnie inny cel. Ma być początkiem jakiegoś uzdrowienia, najpierw mojego, a potem... mam nadzieję, innych. (...)

**Bauman:** (...) możliwość tworzenia wmontowana jest już w rutynę. Arsenał „normalności” ludzkiej zawiera umiejętność zachowania się w wymagających wyborów sytuacjach niepewności. Gdyby tak nie było, siedzielibyśmy po dziś dzień w jaskiniach paleolitycznych. Nikt by się tam nie wychylił, nikt by nie popełnił faux pas.

**Balka:** Właśnie – faux pas. 🐾

BAUMAN  
/  
BALKA



**Bauman/Balka**  
redakcja: Katarzyna  
Bojarska, projekt:  
Błażej Pindor,  
Narodowe Centrum  
Kultury, premiera:  
kwiecień 2013

Wstęp i skróty w tekście: Katarzyna Bojarska



## NOWY NUMER od czwartku, 28 marca w sprzedaży, a w nim m.in.:

- **Andrzej Talaga** / Pierwsza RP była kilkakrotnie biedniejsza zarówno od Prus, jak i od Rosji. Jak mieliśmy przetrwać z taką różnicą potencjałów?
- **Jacek Borkowicz** / W Birkenau zamordowano co najmniej 40 tysięcy Polaków
- **Leszek Moczulski** / Granicę zachodnią Polski ukształtowała samowola Dmowskiego i upór Lloyd George'a



Available on the  
App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ  
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl

MIKE URBANIAK

# Wszystkie kobiety Krystyny Jandy

Są teatry w Polsce, w których bezwzględnie rządzą kobiety. Na scenie i poza nią. Oba stworzyła **Krystyna Janda**. I nie jest to rozplotkowany babiniec, ale świetnie działająca maszyna. Będzie można to sprawdzić podczas najbliższej premiery „Baby Chanel” w Teatrze Polonia, który zaprasza widzów 5 kwietnia.

**R**zeczywiście, tak się złożyło, że u nas rządzą same kobiety, ale to naprawdę było niezamierzone – śmieje się Krystyna Janda i dodaje: – Ostatnio nasze panie mi powiedziały, że poszukiwały osoby do współpracy i przy tej liczbie kobiet naprawdę chciały mieć tam mężczyznę, ale okazało się, że kandydaci nawet się nie umywają do kandydatek. Odpadli od razu. Panie okazały się bardziej kompetentne i szybsze, dyspozycyjne, miały większą gotowość do trudnej pracy i większą wiedzę. Wydaje mi się, że u nas następuje naturalna selekcja – kto nie nadąża, ucieka. Zostały prawie same kobiety.

Do silnych kobiet zawsze zaliczana była sama Krystyna Janda, która po prawie 30 latach grania na stołecznych scenach publicznych (najpierw w Ateum, potem w Powszechnym) postanowiła założyć własny teatr. Zaadaptowała na jego potrzeby dawne Kino Polonia przy ulicy Marszałkowskiej i na małej scenie, żeby nie powiedzieć scenie,

która do dziś nosi nazwę Fioletowe Pończochy, zainaugurowała w 2005 r. działalność Teatru Polonia. Rok później, w grudniu 2006, była już gotowa duża scena. Pierwszą premierą były „Trzy siostry” Antoniego Czechowa. W końcu, na początku 2010 r., Krystyna Janda otworzyła drugi teatr. Tym razem zaadaptowała dawne Kino Ochota. Och-Teatr, bo taką nazwę otrzymała scena, w bieżące zarządzanie dostała córka Krystyny Jandy i Andrzeja Seweryna, Maria Seweryn.

– Kiedy mama obejrzała Kino Ochota i stwierdziła, że to będzie dobre miejsce na teatr, zapytała mnie, czy podejmę się remontu – opowiada Seweryn.

– Powiedziałam, że oczywiście tak. Dla mnie, związanej od początku z Polonią, czującej się współodpowiedzialną, to była szybka i dość, po-



Anita Laskowska, Małgorzata Domańska, Ewa Ratkowska, Józefina Bartyzel i Katarzyna Błachiewicz rządzą w teatrach Krystyny Jandy.

wiedziałyby, naturalna decyzja. Ale widziałam, że ze względu na ogrom pracy nie poradzę sobie sama – ja, no i 40 robotników! Poprosiłam więc o pomoc Alicję, która znała teatr, bo pracowała już od lat w Polsce. Bardzo się lubiliśmy, a poza tym widziałam, że szybko myśli.

## Kobiety pracujące

Alicja Przerazińska studiowała wiedzę o teatrze i Polonię wybrała na miejsce studenckich praktyk. I już została. – Byłam bileterką, prowadziłam bufet, pracowałam przy remoncie Och-u, statystkowałam. Robiłam naprawdę wszystko – mówi Przerazińska. Dzisiaj jest producentką w Och-Teatrze, z którego niemal nie wychodzi. Ale nie narzeka. – To jest specyficzne miejsce, bo jesteśmy teatrem autentycznych entuzjastów. Spędzamy ze sobą dużo czasu, znamy się jak łyse konie. A że mamy tu prawdziwy babiniec, dużo estrogenu, to zawsze się coś dzieje. Społegliwe to my nie jesteśmy.

Potwierdza to Magdalena Kłosińska, członkini rodziny (córka Edwarda Kłosińskiego, nieżyjącego męża Krystyny Jandy), która jest z teatrem od początku. Najpierw z Polonią, teraz z Och-em. – U nas ścieżki kariery są podobne, trzeba robić wszystko. Ja pracowałam w kasie i byłam inspicjentką, a teraz razem z Alicją omiatamy produkcję w Och-Teatrze.

I tu trzeba wyjaśnić, kim jest producent w teatrach Krystyny Jandy. To funkcja bardzo rozbudowana, opiekun spektaklu. Zajmuje się nim od momentu decyzji o realizacji do zejścia spektaklu z afisza. Janda: – Kiedy pracowałam w publicznych teatrach, denerwowało mnie, że za każdym razem ktoś inny robił światło, zmieniali się inspicjenci, pojawiali się lu-

dzie, którzy niekoniecznie wiedzieli, co robią. U nas producenci opiekują się spektaklami od początku do końca. Są inspicjentami, rekwizytorami, są na próbach, na wszystkich spektaklach, jeżdżą ze spektaklami na wyjazdy, nie odstępują ich na krok. I to oni walczą o umieszczanie „swoich” spektakli w repertuarze. Troszczą się o ich kondycję i jak najdłuższe życie.

– Ustalanie repertuaru jest najcięższe. Klócimy się, wrywamy sobie terminy, walczymy o nasze tytuły jak lwice – śmieje się Alicja Przerazińska. – Staramy się radzić sobie same, choć są takie sytuacje, kiedy już trzeba powiadomić najwyższą instancję. Magdalenę Kłosińską: – Szczególnie wtedy, kiedy reżyser czy scenograf chce zaszać z wydatkami. Wtedy zwykle wystarcza interwencja Małgosi i nie ma zmiłuj. Ona wie, jak zrobić coś, żeby nie wydać nic. Jest w tym mistrzynią.

## Nie ma rzeczy niemożliwych

Małgorzatę Domańską, która pracowała jako kostiumografka w Kinie Polskim, ściągnęła do Teatru Polonia Krystyna Zachwatowicz, kiedy robiła scenografię do „Trzech siostr” na wspomnianą już inaugurację dużej sceny. – Co to był za czas! Teatr w budowie, próby w Hotelu Europejskim, czyste wariactwo – wspomina dzisiaj Domańska. – Ale się udało i tak już zostałam. Najpierw byłam kierownikiem technicznym jednej sceny, potem drugiej.

Na początku, na wyjazdach, wzbudzała zdziwienie w innych teatrach. Nigdzie bowiem szefem technicznym nie była kobieta. – Nie da się ukryć, że technika to bardzo męskie środowisko, ale ja lubię pracować z panami. Choć trzeba przyznać, że początki zawsze są trudne, bo mężczyźni nie lubią, jak kobieta jest mądrzejsza od nich. A tu nie ma czasu na dysputy, bo to, co w innych teatrach robi kilka osób, w Polsce i Och-u Domańska robi sama. W dodatku musi się zawsze zmieścić w ściśle określonym budżecie. Alicja Przerazińska: – Nie ma takich pehlich targów, ryneczków, okazji, których Małgosia nie zna. Trzeba coś zdobyć, to będzie zdobycie.



Ostatnio atak śmiechu wzbudziło w teatrze zdjęcie, na którym Domańska osobiście wrywa z ziemi uschnięte drzewo, potrzebne do scenografii „Zemsty” w reżyserii Waldemara Śmigasiewicza w Och-Teatrze. Ale zdarzyły się też historie mniej zabawne. – Kiedyś musiałam przygotowywać do spektaklu parasolkę, która spali się w sekundę. Kleiliśmy ją ze specjalnego papieru i raz użyliśmy złego kleju, który wypalił Krystynie Jandzie dziurę w palcu. Zagrała cały spektakl, jakby nic się nie stało – opowiada Małgorzata Domańska. – Ale potem była awantura. Nasza pani prezes znana jest bowiem z impulsywności. Na szczęście wybuchy są krótkotrwałe. Potem szybko siadamy do stołu i rozmawiamy.

Potwierdza to Ewa Ratkowska, producentka Teatru Polonia. Trafiła tu też na samym początku. Teatr uwielbia od zawsze, skończyła słynne młodzieżowe ognisko teatralne Machulskich, potem produkowała m.in. dla TVP filmy dokumentalne.

– Dołączyłam do zespołu przy „Trzech siostrach”. To była dość skomplikowana produkcja na wariackich papierach, prawdziwa partyzantka. Ale już wtedy wiedziałam, że będę chciała tu zostać. Możliwość pracy z taką artyst-

ką, jaką jest Krystyna Janda, nie zdarza się często, więc bardzo się cieszę.

Na pytanie, czy jest coś, co odróżnia Polonię i Och od innych teatrów, Ratkowska odpowiada natychmiast: – To jest domowa atmosfera, na którą wpływają prawdopodobnie kobiety w zespole. Udało nam się tu stworzyć trochę taki dom. Mówi nam to większość aktorów, którzy u nas grają. Nie chciałbym przesadzać ze słowami, ale to nie jest dla nas tylko miejsce pracy, lecz coś więcej.

To prawda. Kobiety Krystyny Jandy mają poczucie ogromnej odpowiedzialności za oba teatry i zespół artystyczny. Gotowe są osłonić szefową nawet własnym ciałem. Kiedy na głośnej premierze „Danuty W” fotoreporterzy niemal stratali Danutę Wałęsę i Krystynę Jandę, natychmiast wyrosła przed nimi Józefina Bartyzel. 188 centymetrów wzrostu robi swoje. – To prawda – uśmiecha się Józefina. – Genialnie wchodzi w kadr.

W teatrze pojawiła się jesienią 2011 r., zajmuje się komunikacją i public relations. Na rozmowę o pracę przyszła sceptyczna. Ona, teatrolożka, do promocji?

– A po rozmowie wstąpiła we mnie jakaś niesamowita energia, bo poczu-

łam od razu ten klimat miejsca. Pomyślałam, że chcę tu pracować, że w teatrze Krystyny Jandy mogę robić wszystko. I że dużo się tu nauczę.

Zaskoczył ją niewielki rozmiar zespołu (niespełna 40 etatów), równie mała przestrzeń do pracy, która powoduje, że wszyscy są nieustannie razem, i to, że Janda wysyła do pracowników rano esemesa przypominającego o tym, że ktoś w teatrze ma urodziny. – Dam sobie rękę odciąć, że to się nie dzieje w żadnym innym teatrze w Polsce – mówi Józefina. Na pytanie o bardzo sfeminizowany zespół teatru odpowiada po chwili namysłu: – To jest wspaniałe, bo kobiety to negocjacje, a nie przemocowość, to elegancja w postępowaniu, soft power. Ktoś może pomyśleć, że to jakiś babiniec spotykający się przy kawce, ale zapewniam – nie bardziej mylnego.

### Machina musi działać

– Na długie rozmowy przy kawie to my zwykle nie mamy czasu – dodaje szybko Katarzyna Błachiewicz, dyrektorka obu teatrów. Błachiewicz zaczęła współpracę z Fundacją Krystyny Jandy od organizowania akcji „Kup fotel”, która polegała na kupowaniu przez widzów imiennych foteli, dzięki czemu teatr mógł sfinalizować przebudowę widowni. Potem były cztery lata impresariatu, czyli wypuszczanie w trasę około 100 spektakli rocznie i w maju 2011 r. propozycja Jandy, by zostać szefową. – To nie było wcale takie proste – mówi dzisiaj Błachiewicz. – Ja przecież wszystkich w naszym zespole znam od lat. To moi koledzy i koleżanki. Inaczej mam zostać ich szefową? Poza tym my nie działamy jak korporacja, pani Krystyna nie zwalnia ludzi ot tak. Ona traktuje wszystkich bardzo indywidualnie, osobiście.

Janda: – Proszę mi wierzyć, mam absolutną wiedzę o nich wszystkich. Wiem, kto ma problemy rodzinne, sercowe, finansowe. Gdy czyjeś dziecko czy ktoś z rodziny zachoruje, staram się pomagać, proszę o pomoc znajomych lekarzy. Za mąż też bym te moje panie wydała, ale niespecjalnie jest

za kogo. A już zupełnie poważnie panu powiem, że podjęłam w pewnym momencie decyzję o całkowitym oddaniu się do dyspozycji naszych teatrów i oddania w pracy oczekuję także od innych z naszego zespołu, choć wiem, że mój przykład jest w tym sensie ekstremalny.

Krystyna Janda kontroluje wszystko. Co wieczór dostaje esemesy z raportami, jak poszły spektakle (te w Warszawie i te na wyjazdach), ile biletów sprzedano, czy z aktorami wszystko w porządku, czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Jaka jest więc rola dyrektorki teatru? – Odpowiadam za sprawy administracyjne, zarządzenie, finansowe, pracownicze. Oczywiście wszystko to odbywa się w porozumieniu z panią Krystyną, która skupia się jednak przede wszystkim na sprawach artystycznych – wyjaśnia Katarzyna Błachiewicz.

A dlaczego Teatrem Polonia i Och-Teatrem kierują same kobiety? – Prawie same, bo za finanse odpowiada mężczyzna. Mężczyźni zajmują się też światłem i dźwiękiem (choć są także

Krystyna Janda bardzo sobie ceni pracę z kobietami. Uważa, że są wytrwalsze, sumienniejsze i bardziej przebojowe.



dwie akustyczki), więc nie mamy tu już takiej zupełnej seksmisji. Ale muszę przyznać, że kierowanie kobiecym zespołem jest bardzo fajne, bo kobiety są otwarte na słuchanie, i jak zapadną decyzje, to je wdrażają. Bez wątplenia wzorem silnej kobiety jest tu dla nas wszystkich pani Krystyna. My podążamy za jej artystyczną intuicją.

### Baby na scenie

A to intuicja bardzo kobieca, bo kobiety stanowią trzon widowni Polonii i Ochu. Dlatego kiedy do Krystyny Jandy przyszła Izabella Cywińska ze sztuką bardzo lubianego przez polską publiczność Nikołaja Kolady „Baba Chanel”, decyzja mogła być tylko jedna: robimy. – Z Koladą jestem zaprzyjaźniona, od kiedy wiele lat temu zrobiłam w telewizji jego „Merlin Mongoł” – mówi Cywińska. – I kiedy przeczytałam „Babę Chanel”, zachwyciłam się. Krysia Janda także, i postanowiła, że zrobimy to u niej w Polonii. Pomyślałam też, że dobrze będzie pracować z samymi kobietami, zrobić spektakl o ich sprawach. Babski do cna.

Jak Izabella Cywińska postanowiła, tak zrobiła. Zaprosiła do współpracy Barbarę Horawiankę, Elżbietę Jarosik, Sławomirę Łozińską, Marię Maj, Marię Mamonę, Dorotę Pomykałę i (a jednak) jednego mężczyznę – Przemysława Bluszcza.

– Ale nie mężczyźni są tematem tej sztuki – zaznacza od razu Sławomira Łozińska, która gra zdyscyplinowaną

kierowniczkę kobiecego chóru Olśnienie. – Ona mówi o problemach kobiet, starszych kobiet, którą mierzą się ze swoją samotnością, starością, strachem, chorobą. – I od tej samotności – dodaje Cywińska – uciekają w babską wspólnotę, okłamują same siebie, że są szczęśliwe. Ten pozór szczęścia, ta iluzja, pomaga im funkcjonować. Dodatkowo ich codzienną sytuację maskują kostiumy teatralne. Dopóki są pod nimi ukryte, jest fajnie. Bolesna prawda wraca, kiedy trzeba je zdjąć.

Sławomira Łozińska się uśmiecha: – One są przeciwieństwem kobiet, tworzących ten teatr, które nastawione są na pracę, profesjonalizm, mają mnóstwo pozytywnej energii, realizują się, są znakomite. To jest oczywiście w dużej mierze zasługa Krysi Jandy, która taki fajny babski zespół zbudowała.

– Naprawdę nie miałam planu feminizacji, ale okazało się w praniu, że kobiety są bardziej wytrwale, bardziej odporne na niespodzianki, które w teatrze zdarzają się każdego dnia, są o wiele bardziej dyspozycyjne i ogólnie pracuje się z nimi świetnie – tłumaczy Krystyna Janda. – Podobnie jest z artystkami. Kiedy muszę na przykład powiedzieć reżyserce, że coś mi się nie podoba, to jest dyskusja, wymiana argumentów. A niech pan spróbuje to powiedzieć reżyserowi – zaraz się obrazi albo załamie. Panowie wymagają specjalnej pielęgnacji, podlewania, bo są jednak dość egzotycznymi kwiatami. A my tu szklarni nie prowadzimy.

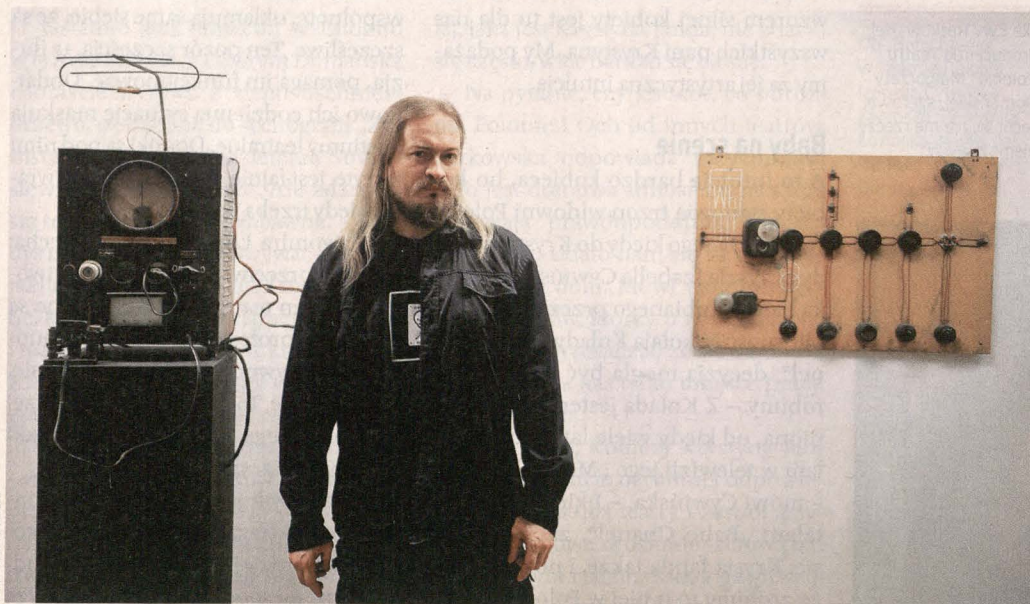


KAROLINA WOLF

STACH SZABŁOWSKI

# Wysokie napięcie, czyli spisek elektryczny

To może być porzucone centrum dowodzenia z czasów zimnej wojny. Albo mechaniczna świątynia sekty czcicieli elektryczności. Albo kolejna wystawa **Roberta Kuśmirowskiego** – znów wizjonerska, wciągająca widza w gęstą sieć mistyfikacji i podróży w czasie.



**S**iłą napędową wszelkiej działalności ludzkiej są idee i uczucia. Jeżeli praca staje się treścią życia, jeżeli człowiek widzi w niej sposób wyrażania siebie, wtedy w jego pracy dominują elementy twórcze”. Tak w 1971 r. przemawiał Bogdan Wali-górski, przewodniczący Związku Młodzieży Socjalistycznej na Ogólnopolskim Forum Młodych Twórców Nauki i Techniki we Wrocławiu. Roberta Kuśmirowskiego nie było wtedy jeszcze

na świecie, a jednak słowa przewodniczącego Wali-górskiego mogłyby posłużyć za motto jego twórczości. Właściwie nie tylko mogłyby, ale już służą. Cytat z Wali-górskiego pojawia się w książce pod tytułem „Podstawy elektroestetyki”. To dziwna książka. Pojawiła się wraz z najnowszą wystawą Roberta Kuśmirowskiego w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie, ale wygląda raczej na stary zeszyt niż świeżo wydany katalog. Opublikowało ją Wydawnictwo Towarzystw

**Robert Kuśmirowski**  
„Elektron”  
Państwowa Galeria Sztuki, Sopot  
do 5.05.2013  
www.pgs.pl

Nauk Elektrotechnicznych – instytucja, której śladu nie sposób znaleźć i która najprawdopodobniej nigdy nie istniała.

I nie jest oczywiste, czy w ogóle jest to książka o sztuce. Wypełniają ją schematy złożonych przyrządów elektromechanicznych, urządzeń telekomunikacyjnych, instrumentów sygnalizacyjnych, krzeseł elektrycznych, a nawet elektromechanicznych androïdów – człekokształtnych robotów. Projektem towarzyszą teksty: naszpikowane matematycznymi wzorami traktaty o elektronice, pomiarach szumów, różnego rodzaju generatorach. Nie jest nawet do końca jasne, kto właściwie jest autorem tej książki. „Podstawy elektroestetyki” wyszły pod redakcją Roberta Kuśmirowskiego, ale już na pierwszej stronie wita nas archiwalna fotografia przedstawiająca niejakiego C.I. Nortcele, żyjącego w latach 1876–1932 fizyka i wynalazcy. Surowego (ale naznaczonego dyskretną nutką szaleństwa) oblicza uczonego trudno nie skojarzyć z twarzą Kuśmirowskiego. Do artysty uderzająco podobny jest także inny naukowiec wymieniony w „Podstawach elektroestetyki” – inż. mgr Witold Abramczyk, „autor wielu publikacji fachowych, dotyczących budowy, montażu i zastosowań urządzeń pomiarowych”, eksp-

rymentator i pionier muzyki elektroakustycznej. W książce zamieszczony jest wywiad z Abramczykiem, przeprowadzony w 1972 r.; Kuśmirowski przyszedł na świat rok później, a jednak podobieństwo obu postaci wydaje się nieprzypadkowe. To jasne, „Podstawy elektroestetyki” to falsyfikat, a jednocześnie niepodważalny autentyk: oto paradoks, który jest pokrętnym, ale skutecznym wprowadzeniem do nowej wystawy Kuśmirowskiego – i w ogóle do całej jego działalności, która rozgrywa się gdzieś na pograniczach obsesji, ułudy i zaraźliwych fascynacji.

## Teatr mistyfikacji

W sztuce wszystko już było – dlatego w galeriach tak często wieje nudą. Kuśmirowski nie ma tego problemu; operuje w alternatywnych czasoprzestrzeniach, w których wszystko dopiero ma się zdarzyć i wszystko jest jeszcze możliwe. Lubi posługiwać się formułą wystawy, ale jego sztuce najbliżej raczej do teatru. W tym teatrze Kuśmirowski jest dramaturgiem, scenografem, reżyserem; rezygnuje tylko z roli pierwszoplanowej – tę odegrać ma wyobraźnia widza. Sam rezerwuje dla siebie kreacje z drugiego planu; tworzy fikcyjnych bohaterów, odgrywa coraz to nowe postaci. Był cyklistą z początku XX w., który przemierzył pół Europy na antycznym bicyklu, wędrowcem, który niczym Constantin Brancusi poszedł na piechotę do Paryża, żeby zrobić wystawę. Wcielił się w tajemniczego doktora Verniera, którego laboratoria i oszalałe biblioteki były prezentowane w galeriach sztuki. Teraz jest inżynierem Witoldem Abramczykiem i tajemniczym C.I. Nortcele, którego nazwisko czytane wspak układa się w słowo „Electronic”. Kuśmirowski wymyka się przy tym z własnej roli zawodowego producenta projektów dla instytucji wystawienniczych. Woli być szalonym wynalazcą, uczonym, badaczem, elektrotechnikiem, fantastą. Jak mu się to udaje? Kiedy przyjeżdżam do Sopotu na kilka dni przed otwarciem jego wystawy, Kuśmirowski stawia wła-



ROBERT KUŚMIROWSKI

Część starego kineskopu? A może jednak model sputnika z pionierskiej ery podboju kosmosu? W rękach Roberta Kuśmirowskiego relikty starych technologii stają się pożywką elektroestetycznych fantazji. Na zdjęciu po prawej: Niewidzialnym bohaterem wystawy „Elektron” jest prąd – energia, która wprawia w ruch magiczny świat technologii, ale potrafi także niszczyć.



ROBERT KUŚMIROWSKI

śnie w galerii stary, pamiętający jeszcze Niemca słup telefoniczny, który kazał zabrać z ulicy. Sala wystawowa pełna jest maszyn, elektrotechnicznych instrumentów, tablic kontrolnych, zegarów pomiarowych, przełączników, pokręteł. To nie wygląda jak wystawa, tylko sterownia elektrowni, a może laboratorium albo centrum kontroli lotów kosmicznych. To mogłaby być także scenografia do spektaklu science fiction, ale rozgrywającego się w przyszłości, która dawno minęła. Przestrzeń wystawy naszpikowana jest techniką od dawna nieaktualną; to jaskinia analogowych technologii, elektronowych lamp, tranzystorów, kineskopów, porcelanowych bezpieczników, kabli – wszystko jest tu przewodowe, komputer ma wymiar dwudrzwiowej szafy, a jednostki pamięci wciąż zamykane są w drewnianych skrzynkach. Do tego nie wiadomo, co jest prawdziwe, a co jest tylko atrapą.

## Rzemieślnik i myśliwy

Przed laty Robert Kuśmirowski posiadał komplet dokumentów, od legitymacji studenckiej po bilet miesięczny, które

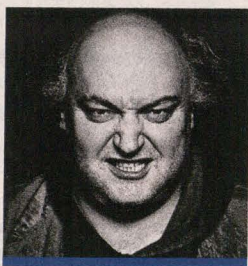
**Przestrzeń wystawy naszpikowana jest techniką od dawna nieaktualną; to jaskinia analogowych technologii, elektronowych lamp, tranzystorów, kineskopów, porcelanowych bezpieczników, kabli...**

narysował odręcznie, włącznie z fotografiami. Cieszy się zasłużoną sławą mistrza w tworzeniu falsyfikatów; z równą biegłością sporządza imitację starych druków, co całych przestrzeni; w 2009 r. za pomocą gipsu, kartonu i farb zmienił znaczną część londyńskiego Barbican Center w podziemny schron z czasów II wojny światowej. W Sopocie zmienia plastikowe podstawki do doniczek, łopatki z piaskownicy, piłeczki pingpongowe i kawał płyty mdf w elektrotechniczną stację przekaźnikową z lat 50. Atrapy sąsiadują z autentycznymi, Kuśmirowski jest genialnym rzemieślnikiem, ale jest także myśliwym – poluje na fragmenty starych maszyn w zamkniętych fabrykach, na internetowych aukcjach, na śmietnikach.

– Podsumowuję tu swoją elektryczność – mówi artysta, stojąc pośrodku tego elektrotechnicznego pandemium. W stworzonych przez niego atrapach i wyciągniętych z industrialnych złomowisk reliktach nowoczesności żaden prąd tak naprawdę nie płynie – ale całą tę mistyfikację elektryzuje wyobraźnia; napięcie imaginacji jest wysokie. Kuśmirowski rzeźbi we wczorajszej technologii, tak jak inni w glinie, celebrytuje jej analogową zmysłowość i uruchamia nostalgię za stojącymi za nią ideami: wiarą w postęp, magią elektrotechniki, romantyką nauki. Dlaczego to wszystko robi? Odpowiedź kryje się w „Podstawach elektroestetyki” – to jest po prostu bardzo piękne. ☺

Maciej Nowak

## Herody polskie



ARTUR KOT

**Wyidealizowana wizja Kościoła jest wspólnym doświadczeniem nas, którzy wchodziliśmy w dorosłe życie w latach 80.**

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

– Nie – usłyszała Joanna Makowska, realizatorka teatralnych odcinków magazynu „Wszystko o kulturze” w TVP 2, gdy zadzwoniła do parafii św. Stanisława Kostki z pytaniem, czy ekipa telewizyjna może podejść do grobu bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W ten sposób miał się zacząć odcinek poświęcony spektaklowi „Popiełuszko” wg sztuki Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk w reż. Pawła Łysaka z Teatru Polskiego w Bydgoszczy. W kancelarii parafialnej szybko sprawdzono w Internecie, że przedstawienie nie podobało się części wierzących widzów, więc odpowiedź była krótka i zdecydowana. Żadnej odpowiedzi nie doczekał się natomiast Jacek Cieślak, kurator festiwalu Polska w IMCE, w ramach którego pokazywano bydgoski spektakl. Wykręcił numer prezesa Katolickiej Agencji Informacyjnej, by poprosić o umieszczenie w serwisie informacji o gościnnych występach „Popiełuszki” w Warszawie. Po powitaniu i sformułowaniu pytania usłyszał tylko trzask odkładanej słuchawki. W Bydgoszczy z kolei już sama zapowiedź przygotowań do premiery wywołała protesty, a przed teatrem pojawiła się pikietka. Kwiat lokalnych organizacji patriotycznych wystosował list otwarty, w którym oburzano się: „W (...) spektaklu pod tytułem »Popiełuszko« jest wypaczana pamięć o kapelanie »Solidarności«. Co więcej, insynuowane są komunistyczne kłamstwa o współodpowiedzialności hierarchów Kościoła”. W imię tych wartości, jak w wierszu Juliana Tuwima, „uroczyście protestuję, wszyscy niżej podpisani”: Terenowe Biuro Radia Maryja, Związek Solidarności Polskich Kombatanów, Stowarzyszenie Osób Represjonowanych w PRL „Przymierze”, Narodowa Bydgoszcz, Obóz Narodowo-Radykalny, Idee Solidarności, Stowarzyszenie Obrony Spółdzielców, Solidarni 2010 Inowrocław oraz Bydgoski Klub Gazety Polskiej. „Ksiądz Kapucha z Węgorzyna” się nie podpisał.

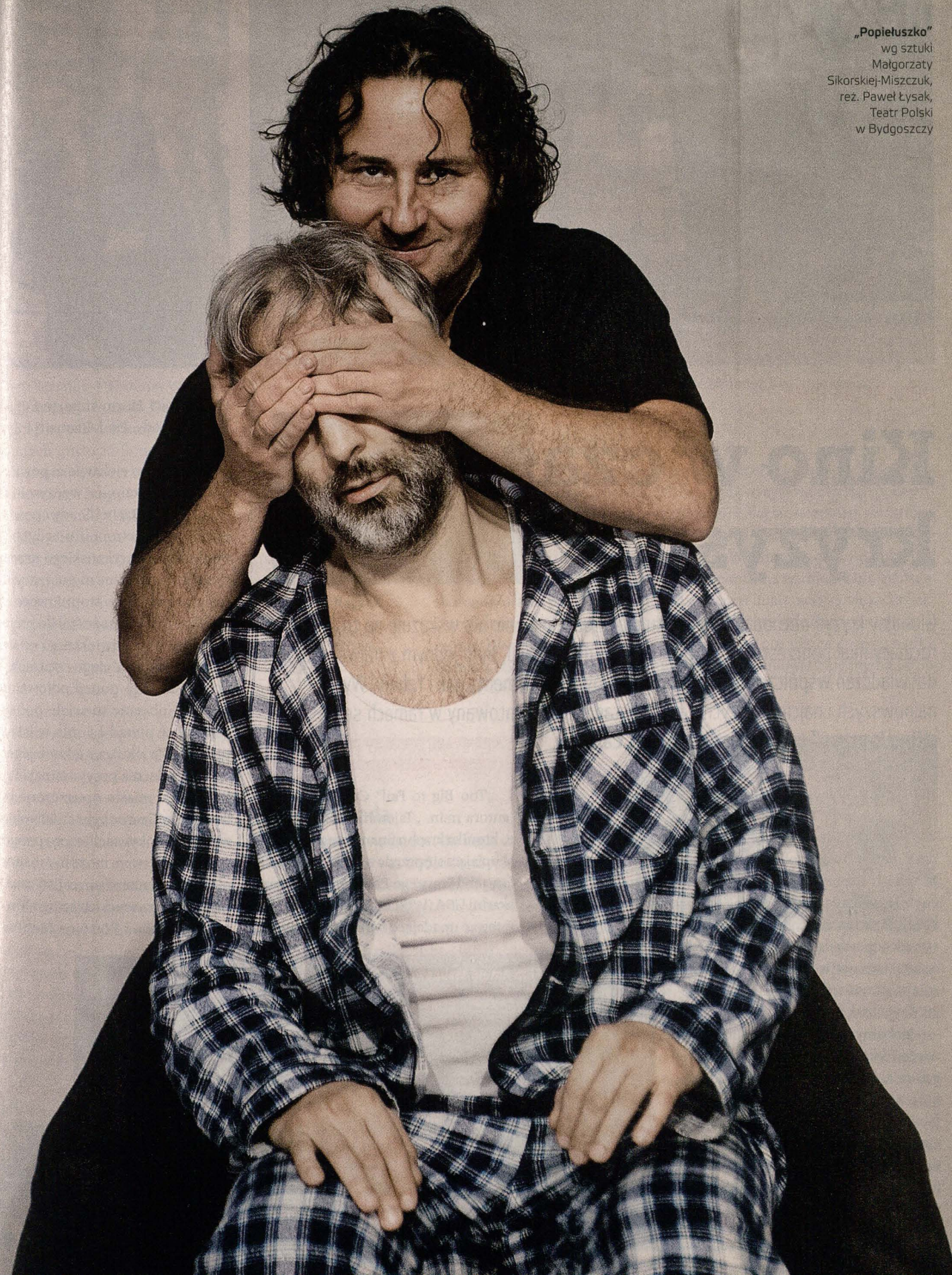
Po takim prelude można się było spodziewać utworu wyrotowego, kalającego świętości i pamięć o błogosławionym męczenniku. Tymczasem otrzymali-

śmy spokojną, momentami wręcz hagiograficzną opowieść o kapłanie ludzi pracy, kapłanie dobra, zamordowanym przez komunistyczne siły zła. Doprawdy większe zgorszenie moralne mogą wywołać bożonarodzeniowe herody niż ten spektakl, tęskniący za Kościołem ubogim i wspomagającym potrzebujących. (Piszę ten felieton, zerkając jednym okiem na relacje z inauguracji pontyfikatu Franciszka, co może trochę wpływać na moją frazeologię i pobożny ton). Wyidealizowana wizja Kościoła jest wspólnym doświadczeniem nas, którzy wchodziliśmy w dorosłe życie w latach 80. I „Popiełuszko” Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk oraz Pawła Łysaka jest właśnie zapisem takiego fantazmatu.

Ale jest też czymś więcej. Apelem, by postawa ks. Popiełuszki stała się wzorem dla współczesnych, by – nie przymierzając – stał się on kimś w rodzaju patrona Polski po roku 1989. Spektakl jest bowiem rozpięty między tragicznymi wydarzeniami z roku 1983 a Polską Tuska i Kaczyńskiego. Postać zamordowanego księdza (Mateusz Łasowski) w świecie scenicznym funkcjonuje w duecie z Polakiem początku XXI wieku (Roland Nowak), szukającym ewangelicznych wzorów, zagubionym w konsumpcyjnym szale i nacjonalistycznej hysterii. W bagażniku fiata 125p, w którym milicyjni mordercy trzymają męczennika, uwięziony jest również jego współczesny wyznawca.

Skąd zatem oburzenie bydgoskim „Popiełuszką”? Przecież zamiast wyklinania zasługuje raczej na umieszczenie w programie wielkopostnych rekolekcji. Ale to nie takie proste. Jak wiadomo, gdy los chce nas pokarać, realizuje nasze marzenia. Przez dwie dekady marzyliśmy o drugiej Irlandii. Dostaliśmy ją: ale nie pod postacią bogatego do niedawna Dublina, lecz ubożego Ulsteru, w którym pomarańczowi z czarnymi nie przyjmują wzajem do wiadomości swojego istnienia. Wyniesiony na ołtarze bł. Popiełuszko stał się zakładnikiem polskiego piekła. Jest własnością tylko jednej ze stron. Drugiej – od niego wara. ☞

„Popiełuszko”  
wg sztuki  
Małgorzaty  
Sikorskiej-Miszczuk,  
reż. Paweł Łysak,  
Teatr Polski  
w Bydgoszczy





„Detropia”,  
reż. Heidi Ewing,  
Rachel Grady,  
dokument,  
USA 2012, 90 min



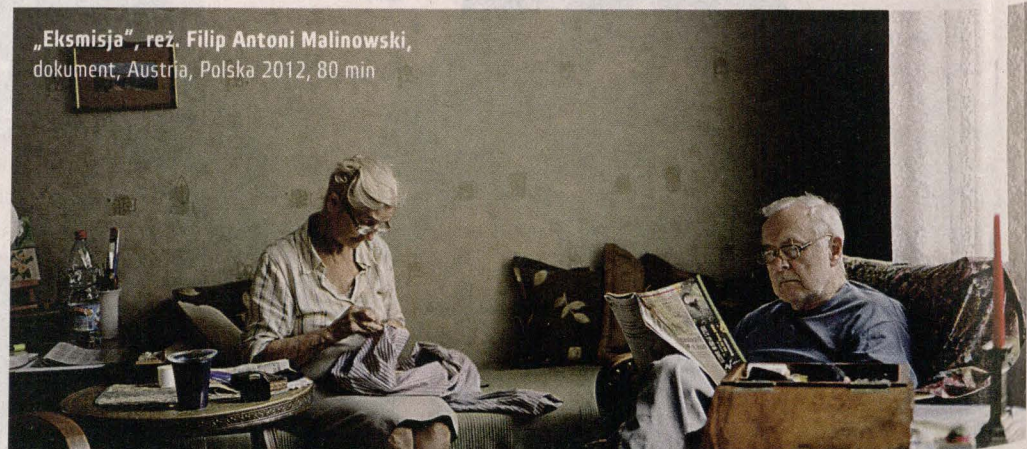
„The Company Men”,  
reż. John Wells,  
dramat, USA,  
W. Brytania 2010,  
107 min

DOROTA CHROBAK

# Kino w czasach kryzysu

Globalny kryzys obchodzi w tym roku piąty jubileusz i nic nie wskazuje na to, by na tej rocznicy miał poprzestać. To wystarczająco dużo czasu, by o jednym z najważniejszych doświadczeń współczesności powstały zarówno dokumenty, jak i fabuły. Wybór najnowszych i najciekawszych z nich zostanie zaprezentowany w ramach sekcji „Kino kryzysu” tegorocznej Off Plus Camera.

Kino „kryzysowe” ma już na koncie spore sukcesy, m.in. Oscar dla budzącego dreszcz grozy dokumentu „Inside Job” (2010); ma także swoich celebrytów – Matta Damona, chętnie angażującego się w projekty obnażające zachłanność, głupotę i porażający brak odpowiedzialności możnych tego świata (narrator w „Inside Job”, główna rola w „Promised Land” Gusa Van Santa). Co jednak wydaje się najistotniejsze – o globalnym kryzysie powstaje coraz więcej filmów. To już w zasadzie odrębny gatunek, któremu często bliżej do aktu oskarżenia, postulatu bądź manifestu niż fabuły czy dokumentu sensu stricto. Sekcja „Kino kryzysu” tegorocznej Off Plus Camera prezentuje wybrane filmy dokumentalne i fabularne, które na różne sposoby analizują to zagadnienie.



„Eksmisja”, reż. Filip Antoni Malinowski,  
dokument, Austria, Polska 2012, 80 min

Williamowi Hurtowi partnerują m.in. James Woods, Paul Giamatti i Cynthia Nixon.

Wyjątkowo ciekawie zapowiada się dokument „Detropia” w reżyserii duetu Heidi Ewing i Rachel Grady, opowiadający o Detroit, metropolii niegdyś będącej symbolem amerykańskiego przemysłu (przede wszystkim motoryzacyjnego), obecnie zaś – jego stopniowego upadku. Dziś Detroit może śmiało pretendować do miana największego na świecie miasta widma. W ciągu ostatnich 40 lat uciekła z niego ponad połowa mieszkańców (obecnie niewiele ponad 700 tys. wobec ponad 1,5 mln w latach 70. ubiegłego wieku), a niektóre jego rejonny do złudzenia przypominają Prypeć, ukraińskie miasto opuszczone po katastrofie w Czarnobylu (1986 rok) przez wszystkich obywateli, czego przejmującym świadectwem może być m.in. wspólna, momentami surrealistyczna sesja zdjęciowa francuskich fotografów Yvesa Marchanda i Romaina Meffre (pro-

jekt jest dostępny na stronie: [www.marchandmeffre.com/detroit/](http://www.marchandmeffre.com/detroit/)).

„Too Big to Fail” Curtisa Hansona (autora m.in. „Tajemnic Los Angeles”) to kronika krachu finansowego z 2008 r., skupiająca się przede wszystkim na działaniach Henry’ego Paulsona, sekretarza skarbu USA (William Hurt), usiłującego ratować upadające banki inwestycyjne.

jekt jest dostępny na stronie: [www.marchandmeffre.com/detroit/](http://www.marchandmeffre.com/detroit/)).

Z kolei „The Company Men”, fabuła w reżyserii Johna Wellsa z Benem Affleckiem, Tommym Lee Jonesem i Chrisem Cooperem w rolach głównych, to mocna historia ukazująca kolejne etapy i efekty (także te emocjonalne) bezrobocia: od szoku związanego z utratą pracy poprzez euforyczny optymizm, aż po depresję i w końcu akceptację sytuacji.

Na najbardziej zabawny film (choć w powyższym kontekście to raczej określenie na wyrost) zapowiada się „The Queen of Versailles” (Królowa Wersalu), głośny dokument Laurena Greenfielda opowiadający o losach kompletnie pozabawionych gustu milionerów Jackie i Davida Siegelów, których idée fixe stało się zbudowanie i zamieszkanie we własnej kopii Wersalu. Gdyby plany udało się sfinalizować, ich posiadłość stałaby się największym zamieszkanym przez jedną rodzinę domem w Stanach Zjednoczonych. Niestety, globalny kryzys pokrzyżował im szyki...

W sekcji znalazła się także produkcja z Grecji: „Boy Eating the Bird’s Food” w reżyserii Ektorasa Lygizosa opisująca trzy dni z życia młodego mężczyzny z Aten narzucającego sobie dziwaczny, chwilaami niepokojący post. Odżywia się karmą dla ptaków i poddaje ciało rozmaitym formom umartwienia. Film został przyjęty jako jedna z najbardziej przejmujących metafor kryzysu panującego obecnie w Grecji.

W sekcji nie mogło zabraknąć także propozycji z kraju – jest nią „Eksmisja” Filipa Antoniego Malinowskiego, historia rodzinna będąca nie tylko zapisem dokonujących się w Polsce przemian społeczno-ekonomicznych, ale także radykalnej zmiany mentalności, którą najtrudniej przyjąć przedstawicielom starszego pokolenia.

**6. Międzynarodowy Festiwal Kina Niezależnego OFF PLUS CAMERA** odbędzie się w Krakowie w dniach 12–21.04, a następnie pokazy festiwalowe zagospodaruje Małopolskiej Sieci Kin Cyfrowych. [www.offpluscamera.com](http://www.offpluscamera.com)

Dorota Chrobak o filmach



MATERIAŁ PRASOWY (3)

reż. Kordian Piwowarski  
Polska 2013,  
Studio Interfilm, 70 min  
👍👍

BIOGRAFICZNY

Baczyński

Częściowo poemat filmowy, częściowo rekonstrukcja dokumentalna poświęcona życiu i twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Reżyser miał sporo dobrych chęci, szkoda tylko, że nie poszedł – jak jego bohater – na całość i biografię poety dokładnie wyprał ze wszystkich wieloznacznych, a przez to ciekawych treści: wątków homoseksualnych, straceńczej walki z pacyfistyczną naturą (koledzy z AK do dziś wspominają, jak fatalnym Baczyński był żołnierzem) etc. W efekcie zamiast pulsującego życiem i tragizmem portretu otrzymujemy kolejny pomnik z brązu bądź czegoś równie twardego, co tylko podkreśla sztywny, źle czujący się w roli poety i recytujący wiersze bez wiary w ich treść Mateusz Kościukiewicz.



reż. Allen Hughes  
USA 2012,  
Monolith, 109 min  
👍👍

THRILLER POLITYCZNY

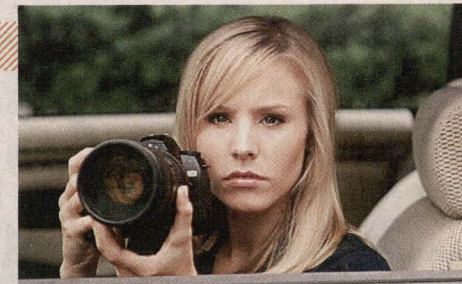
Władza

Walczący o reelekcję burmistrz Nowego Jorku podejrzewa żonę o zdradę. W ślad za nią wysyła więc byłego policjanta, z którym los zetknął go kilka lat wcześniej. Aż trudno uwierzyć, że tak znamienitą obsadę (Russell Crowe, Catherine Zeta-Jones, Mark Wahlberg) udało się zatrudnić w filmie o tak wątpliwym scenariuszu: szumnie zapowiadana, skomplikowana, potężna niczym brytan afera w finale okazuje się rachitycznym ratlerkiem. Co gorsza, zawodzi także reżyseria – pozbawiona napięcia, rytmu i klimatu osaczenia, czyli cech zasadniczo pożądanego w przypadku gatunku, jakim jest thriller. Jak to ktoś celnie podsumował na jednym z forów internetowych: „obejrzone, zapomniane”.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Mars napada

Po okresie sezonowej posuchy nagle dużo się dzieje w świecie seriali – aż trudno się zdecydować, o czym pisać. Chociaż nie: mamy przecież „Veronicę Mars”! Moja słabość do silnych kobiet w serialozie jest powszechnie znana. Mam więc sporo powodów do rozmaitych radości: bo i serial o Annie German w TVP 1, i Agnieszka Holland ze swoim „Gorejącym krzewem” w HBO. Dużo dobra na różnych frontach i poziomach. Ale wszystko przebiła wiadomość o rezurekcji „Veroniki Mars” – moja potrzeba nagiej girl power została zaspokojona z nawiązką. O co chodzi? Był kiedyś taki dobry serial o nastoletniej detektyw (w roli tytułowej Kristen Bell). W 2007 r. został zdjęty z anteny po trzech sezonach i od tamtej pory fani jęczą, żeby go przywrócić. Więc gdy twórca „VM” Rob Thomas rozpoczął via Kickstarter crowdfundingową akcję na rzecz realizacji filmu podejmującego dalsze losy bohaterki, tłum fanów wsparł go z ochotą. Wnioskowaną kwotę 2 mln dol. udało się zebrać w ciągu zaledwie 11 godzin. Zbiórka trwa do 12 kwietnia i na razie przyniosła blisko 3,7 mln dol. Film powstanie więc jeszcze w tym roku. O, radości! A najlepsze jest to, że umieszczone na stronie zbiórki wideo z obsadą serialu w zabawnej scenie uderza bezbłędnie w punkt i przypomina, czemu tak kochaliśmy ten show: cięte dialogi, atmosfera ciężka od sarkazmu i szczypta nie wiadomo jak wpasowanego w to wzruszenia i romantyzmu. Warto dorzucić dychę dla Veroniki, ta dziewczyna kasy nie zmarnuje.

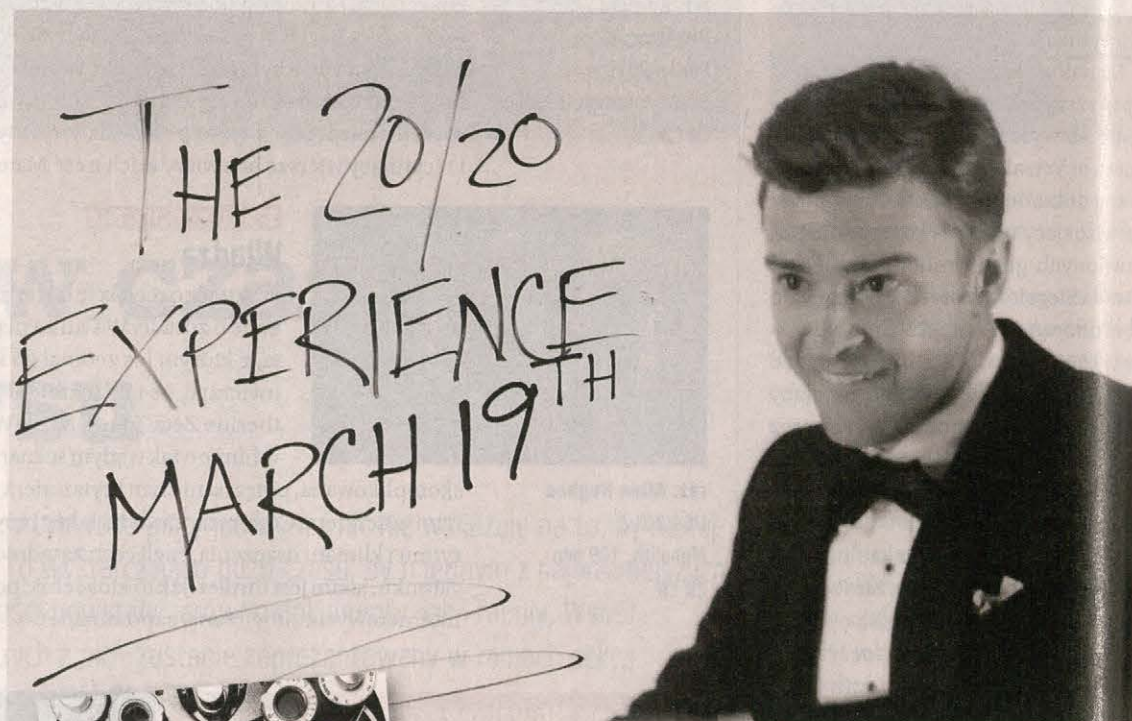




ANGELIKA KUCIŃSKA

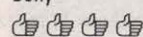
# Historia pewnej (widowiskowej) kariery

Jak z najgorszej fryzury ery boysbandów awansować na jednego z najważniejszych rozgrywających w branży muzycznej? **Justin Timberlake wraca.** Tylko czy to na pewno płyta na miarę nowego boga wysokobudżetowego popu?



POP

**Justin Timberlake, „The 20/20 Experience”, Sony**



branżę i przerzucić się na Hollywood (o ile współpracowników muzycznych potrafił sobie wybrać, o tyle nie zawsze celował w dobre scenariusze).

Sześć lat plotek, spekulacji i przecieków. Najpierw wygadał się, że już kończy nagrywać nowy album, potem konsekwentnie demontował wszystkie doniesienia o premierowym materiale i nawet kiedy w sieci pojawił się rzekomo nowy utwór Justina Timberlake'a, okazało się, że to tylko dobrze wystylizowana na jego debiutankie „Justified” piosenka aspirującego europejskiego wokalisty. Sześć lat milczenia to w popie posunięcie niemal samobójcze. Bo oczekiwania wyłącznie rosną. „The 20/20 Experience”, trzeci solowy

album Timberlake'a, to świadectwo imponującej arogancji. Wydał, kiedy chciał i jak chciał. Dłużyło się bez Justina, teraz dłuży się z Justinem – żadna z nowych piosenek nie trwa mniej niż 5 minut, a 8-minutowe single pokazują, że J.T. ma gdzie wymogi radiowych playlist. Muzycznie to nie jest płyta tak niesatysfakcjonująca, jak sugerowały pierwsze upublicznione nagrania. Nieprzesadnie nowoczesna, choć na pewno nie retro – wysmakowana w swoich nawiązaniach do klasyki soulu. Minimalnie przegadana, ale przebojowa. Rozczaruje jednak fanów „FutureSex/LoveSounds”, bo autor najseksowniejszej płyty minionej dziesięciolecia zamienił prowokacyjne teksty dla dorosłych w żenujące rymy o gumie balonowej. Nawet królowi nie wszystko wolno. ☹

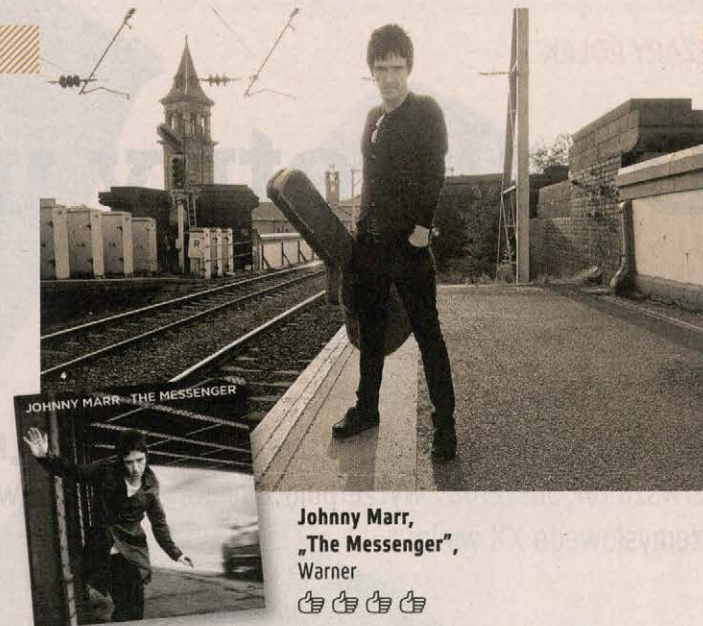
płyty ocenia Angelika Kucińska

INDIE ROCK

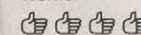
Marka Marra

Drugi solowy album Johnny'ego Marra to płyta nagrań z szacunku do przeszłości – głównie własnej.

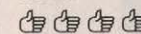
Bez megalomanii, raczej z pełną świadomością zasług. Johnny Marr się nie mizdrzy – nie szuka sprzymierzeńców wśród fanów nowej muzyki, za to nieśmiało przypomina się publiczności wychowanej na muzyce The Smiths. „The Messenger” nie ma szans zdyskredytować przeszłych dokonań Marra, ale to więcej niż płyta emeryta z premedytacją odcinającego kupon od niegdysiejszej sławy. Bo eksygitarzysta najważniejszego zespołu w historii alternatywnego popu wciąż potrafi pisać dobre piosenki i z dużą swobodą zongluje nastrojami – od egzaltacji macierzystego zespołu przez beztrósk w duchu The Beach Boys po nabuzowanie garażowego rock and rolla. Gdyby sprzedawał swoje akcje, byłby idealnym wyborem dla rozsądnych inwestorów – Johnny Marr to solidna marka. ☹



**Johnny Marr, „The Messenger”, Warner**



**Suede, „Bloodsports”, Warner**



BRITPOP

Britpop: reaktywacja

Grammy im nie dadzą, bo nowa płyta Suede to rzecz za bardzo oderwana od bieżącej muzycznej rzeczywistości. Ale może chociaż Nobel za patent na podróże w czasie?

Albo wyrok za bezwstydną autoplagiację. „Bloodsport”, fonograficzny comeback zespołu z wielkiej britpopowej czwórki, to album tak niedorzecznie dobry, że mogliby go nagrać w połowie lat 90. Dekady mijają, nic się nie zmienia – Suede wciąż wiedzą, jak przywrócić gitarowym piosenkom ten perwersyjny glamour, którym błyszczały ich najważniejsze płyty. Zamaszyste melodie na granicy histerycz-

nego sentymentu, duże refreony, niepodrabialna wokalna maniera Brett Andersona – wszystko się zgadza. No, może poza tanią dramaturgią ballad. „Bloodsports” to także płyta ostatecznej prawdy o britpopowej pierwszej lidze. Blur wrócili, bo powinni. Oasis się rozpadli, bo powinni. A Suede robią swoje, bo niby co innego mieliby robić? ☹

INDIE ROCK

Ale to już było

Kiedyś głośno zwiastowali świeże, dziś brzydko grzęzną w minionym. Nawet jeśli nie słuchaliście jeszcze nowej płyty The Strokes, to już ją słyszeliście.

Pierwszy gang nowej rockowej rewolucji (ciekawego, choć nazwanego trochę na wyrost zamieszania z przełomu tysiącleci) musiał się zmierzyć jakiś czas temu z poważnym wewnątrzzespołowym konfliktem i to podobno cud, że w ogóle chcieli jeszcze wejść do studia i nagrać nową płytę. Widocznie jaki zespół, takie cuda. „Comedown Machine” to przykre studium upadku najmłodniejszej grupy swojego pokolenia. Kiedyś bezbłędni w młodzieżowych hitach, dziś

oferują jedynie odrzuty sprzed kilku sezonów. Czy „Comedown Machine” to zbiór piosenek, które nie weszły na pierwsze trzy płyty The Strokes, bo były za słabe? Teorię spiskową potwierdzają refreony – trochę stylowego nowojorskiego rock and rolla z debiutu, trochę mocnych gitar z ostatniego dobrego singla („Juicebox”, październik 2005), trochę nieskutecznych podejść do nowofalowej melodyki. Na siłę i bez polotu – rozjem w zespole najmniej opłaca się publiczności. ☹



**The Strokes, „Comedown Machine”, Sony**



CEZARY POLAK

# Dyskretny urok parowozu

Nakładem 2+3 D oraz Fundacji Rzeczą Piękną ukazały się „Rzeczy niepospolite”, pierwsza tak obszerna i wyczerpująca historia polskiego wzornictwa przemysłowego XX wieku.



„Rzeczy niepospolite. Polscy projektanci XX wieku”, red. Czesława Frejlich 2 + 3D/Fundacja Rzeczą Piękną, Kraków 2012, 97 zł.

**M**ieszczańskie meble salono- we o organicznych formach, wazony ze szkła cichodmucha- nego, konstruktywistyczne wille, których nie powstydziliby się Le Cor- busier, fotele-ślimaki, krzesła-muszelki, płucka i pająki, walizkowe łazienki, aerodynamiczny korpus lokomotywy, która zrobiła furorę na międzynarodowej wystawie techniki w Paryżu (1937). To przykłady prac autorstwa polskich projektantów działających w minio- nym wieku. W książce „Rzeczy niepo- spolite” omówiono ich znacznie więcej. Twórcy wydanej w formie albumu pu- blikacji stworzyli pionierski przewodnik po rodzimym designie. Prace nad książką trwały 11 lat.

– Nie istnieje muzeum polskiego wzornictwa przemysłowego. Doro- bek niektórych projektantów nie jest opisany, autorzy tekstów musieli więc zwracać się z prośbą o materiały do rodzin twórców. Na meble Karola Tichego (1871–1939), jednego z założycieli słyn- nej Spółdzielni Artystów „Ład”, natrafili w magazynach krakowskiej archidiecezji – mówi Czesław Frejlich. Zdaniem redaktorki „Rzeczy niepospolitych” polską refleksję nad wzornictwem przemysłowym hamuje brak przygoto- wania osób piszących o tej dziedzinie. – Wzornictwem zajmują się historycy sztuki, którzy nie mają backgroundu technologicznego, postrzegają opisywa-

ne obiekty w kategoriach estetycznych i nie potrafią usytuować ich w szerszym kontekście przemian społecznych i kul- turowych – dodaje Frejlich.

„Rzeczy niepospolite” są próbą wieloaspektowej syntezy. Bohaterami blisko 40 krytyczno-biograficznych rozdziałów poprzedzonych eseistycz- nymi wstępami dotyczącymi odnośnej epoki są m.in. Stanisław Wyspiański, Stanisław Witkiewicz, Karol Strykowski, Jan Kurzątkowski, Helena i Szymon Syrkusowie, Maria Chomentowska, Teresa Kruszevska oraz Barbara Hoff i Krzysztof Antkowiak. Rozstrzał dzie- dzin jest więc ogromny, ale najwięcej tekstów dotyczy meblarstwa, co nie wy- nika z osobistych preferencji autorów, lecz świadczy o dobrej kondycji tej ga- łęzi wytwórczości nawet w siermiężnej epoce Władysława Gomułki.

Autorzy portretują też designer- skie trendy w tkaninach, ceramice, szkle spręcnie optycznym, AGD i RTV, motoryzacji, kolejnictwie, architekту- rze oraz modzie. Nie ograniczają się do omawiania problematyki stricte

Serwis do kawy „Dorota” Ćmielów 1961, projekt Lubomir Tomaszewski

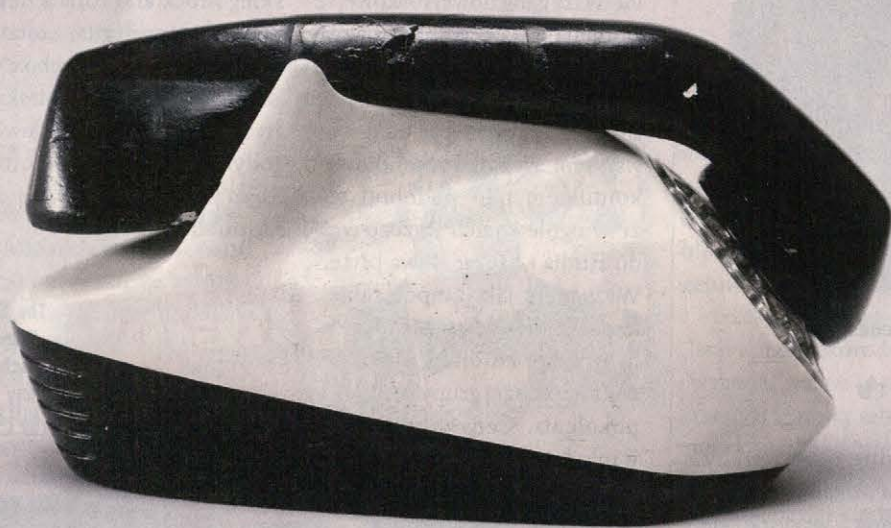


Krzesło „Muszelka”, Spółdzielnia Artystów „Ład”, projekt Teresa Kruszevska

designerskiej, lecz rekapitulują doro- bek polskich projektantów w szerszym kontekście społecznym, artystycznym, politycznym i gospodarczym. Bo „Rze- czy niepospolite” to także opowieść o inteligencji na przełomie wieków, epok, systemów oraz „izmów”. W ży- ciorysach bohaterów przegląda się po- gmatwana, pełna zwrotów i zawirowa- ń najnowsza historia naszej części Europy. Niektórzy z nich urodzili się jako obywatele państw zaborczych, dorastali, a potem pracowali najpierw w kapitalistycznej II RP, a potem w ko- munistycznej PRL.

Wiedza wyniesiona z lektury „Rze- czy niepospolitych” może mieć konkretny wymiar. Wyżej podpisany po przeczytaniu tekstu o projektancie szkła Janie Sylwestrze Droście odkrył, że ma w domowych zasobach serię fu- turystycznych wazonów z lat 60. jego autorstwa. ☞

Album „Out of Ordinary Polish Designers of the 20th Century” został wydany po raz pierwszy w 2011 r. przez Instytut Adama Mickiewicza. Więcej o polskim designie na [www.culture.pl/desing](http://www.culture.pl/desing)



Projekt telefonu, 1959, Andrzej Pawłowski

MONIKA MACIEJEWSKA, ILUSTRACJE: RENE WAWRZKIEWICZ

## Nocne samobóje

Połowa Polaków po 30. roku życia ma problemy ze snem, a tylko co 10. ma świadomość, że sen wpływa na zdrowie. Tymczasem **niedobór snu** prowadzi do przedwczesnej śmierci. I to nie tylko dlatego, że przemęczenie jest przyczyną 22,2 proc. wypadków w Polsce. Na bezsenności cierpi także nasze życie zawodowe i prywatne.

**T**o powszechnie dostępne lekarstwo regeneruje ciało i umysł, poprawia pamięć, przywraca przytomność za kierownicą i w relacjach z innymi. Chroni przed otyłością, problemami z ciśnieniem, chorobami serca, cukrzycą, a nawet nowotworami. Lek jest bezpłatny i nie ma skutków ubocznych.

Tak, wiemy, sen zabiera zbyt wiele czasu. Prace nad wynalezieniem urządzenia, które sprawi, by sen był bardziej efektywny, a więc krótszy, trwają, ale do sukcesu naukowcom wciąż daleko. O tym, że samodzielnie nie uda nam się „nauczyć” nie spać, świadczą podejmowane co jakiś czas wysiłki współczesnych Prometeuszy. Jednym z nich był Peter Tripp, prezenter radiowy z Nowego Jorku, który w styczniu 1959 r. nie spał przez 201 godzin, a każdego dnia przez trzy godziny prowadził audycję. Zrobił to w ramach akcji Wakeathon (maraton czuwania), której celem było zebranie pieniędzy na badania nad polio. Objawy krótkoterminowe były przerażające: Tripp był agresywny, miał halucynacje i objawy paranoi. Skutki trwały trudniej określić, bo nie były dobrze zbadane. Pierwsza żona prezentera (który żenił się jeszcze trzykrotnie)

twierdziła, że po eksperymencie męczyzna zmienił się nie do poznania. Tripp dożył 73. roku życia.

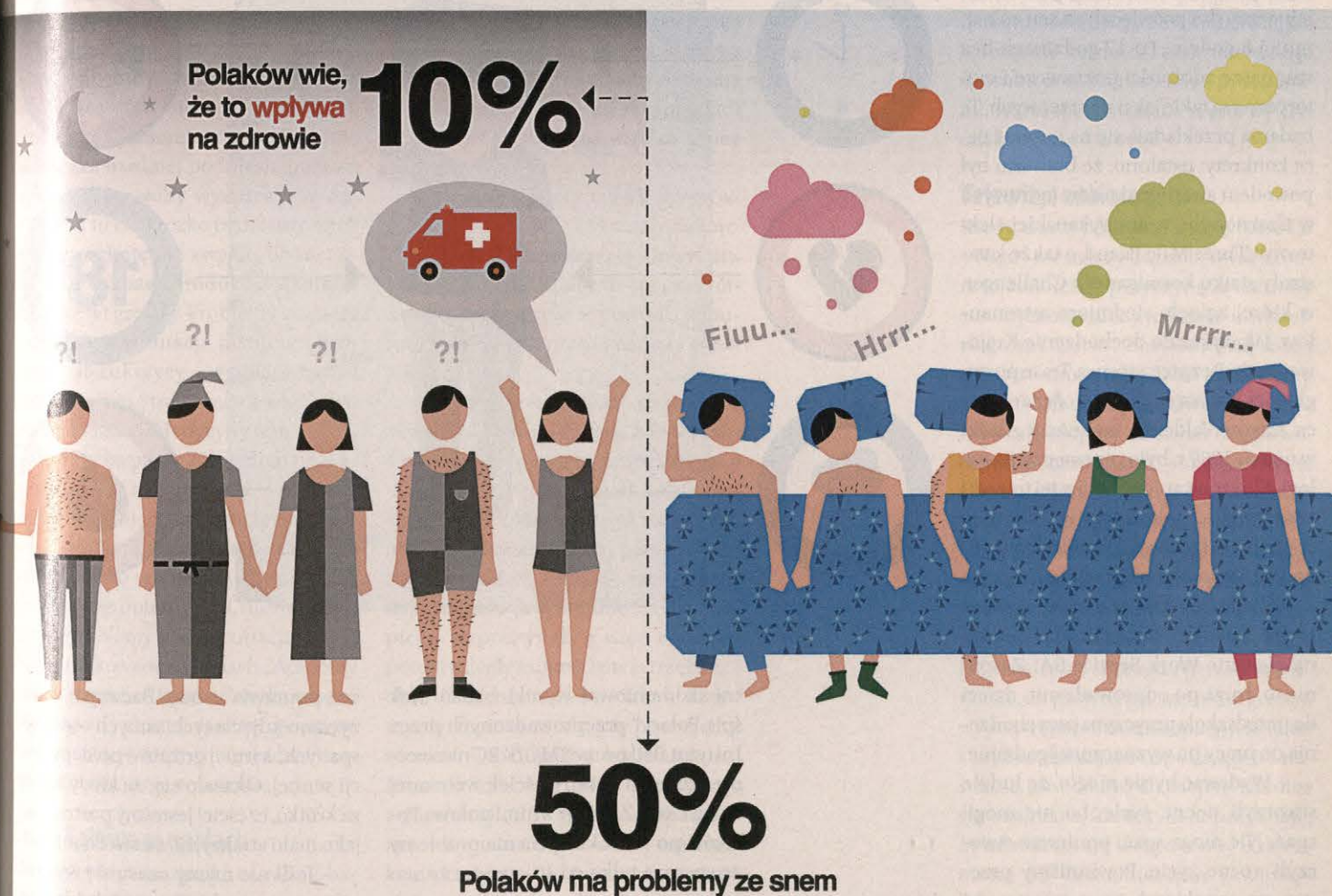
Historie tych, którzy chronicznie nie mogą spać, także zniechęcają do bagatelizowania snu. U 25 rodzin na świecie zdiagnozowano śmiertelną bezsenność rodzinną, chorobę genetyczną. Choroba może się objawić u każdej osoby obciążonej tym genem w dowolnej chwili. Kiedy to się stanie, chorego czeka śmierć z wyczerpania. Jedną z ofiar był Michael Corke z Chicago. Po 130 dniach bezsenności otrzymał w szpitalu dawkę leków stosowaną do wprowadzania w śpiączkę. Nie pomogło. Mężczyzna zmarł w wieku 42 lat po sześciu miesiącach bez snu. Nie bez kozery Owidiusz nazwał bezsenność zwierciadłem śmierci.

### Jak długo należy spać?

Brak snu wywołuje stres, a stres – bezsenność. Aż 61 proc. Polaków odczuwa stres, prawie połowa ma problemy ze snem i po przebudzeniu nie czuje się wyspana. Martwimy się pracą, sytuacją finansową i szybkim tempem życia, a po stresującym dniu walczymy z bezsennością – taki obraz wyłania się z raportu Melisany Klosterfrau „Stres

a sen” na podstawie badania przeprowadzonego przez TNS Polska. 53 proc. badanych wraca w nocy myślami do stresujących momentów minionego dnia. Najczęściej napięcie wywołuje w nas presja, nadmiar obowiązków, obawa przed utratą zatrudnienia czy nieprzyjemna atmosfera w miejscu pracy. Jako częsty powód odczuwanego stresu podawano też problemy finansowe, szybkie tempo życia, sytuację życiową, martwienie się tym, co przyniesie przyszłość. Polaków stresują też relacje z bliskimi, nieprzewidziane wydarzenia i brak wolnego czasu. Jest też optymistyczny akcent tych badań: tylko 2 proc. respondentów jako źródło stresu wskazało życie seksualne.

Aż 55 proc. z nas sypia mniej niż 7, co czwarty Polak mniej niż 6 godzin na dobę w ciągu tygodnia pracy. Prawie połowa z nas po przebudzeniu nie czuje się wypoczęta. A ile potrzebuje przeciętny człowiek, żeby się wyspać? Jeszcze pięć minut – głosi dowcip. Specjaliści twierdzą, że spontaniczna pobudka, bez alarmu budzika, z uczuciem wypoczęcia i nieodczuwanie senności w trakcie dnia to znak, że spaliśmy tyle, ile potrzebujemy. Każdy z nas ma inne potrzeby, ale norma dla większości z nas



wynosi 8 godzin. Margaret Thatcher wystarcza 4 godziny snu, Einstein przeznaczał na regenerację sił aż 11 godzin. Tylko 5 proc. populacji jest w stanie normalnie funkcjonować po 4 godzinach snu. Bill Clinton ucina sobie popołudniowe półgodzinne drzemki.

Polacy nie regenerują sił nawet w czasie wolnym – ponad 65 proc. z nich twierdzi, że są zbyt zmęczeni, aby korzystać z czasu wolnego po pracy – wynika z sondy przeprowadzonej przez

portal rynekpracy.pl. Możemy psioczyć, że „takie czasy”, ale warto wiedzieć, że już w 1894 r. „British Medical Journal” pisał, iż pośpiech i nerwowy styl życia to główne przyczyny bezsenności. Zresztą nie tylko zapracowani dorośli nie dosypiają. Co piąty ankietowany w wieku 15–19 lat co najmniej od roku ma kłopoty z zasypianiem, a 27 proc. nie pamięta, od kiedy nie dosypia – wykazały badania TNS OBOP przeprowadzone na zlecenie kampanii edukacyjnej

„Dobrze śpij – aktywnie żyj”. Specjaliści z Katedry Medycyny i Epidemiologii Środowiskowej Śląskiej Akademii Medycznej alarmują, że co drugi uczeń śląskiej podstawówki lub gimnazjum nie może zasnąć i śpi za krótko.

### Sen to pieniądz

Bezsenność jest kosztowna. Z badań naukowców z Walter Reed Army Institute of Research wynika, że u tych, którzy przez tydzień spali 3–5 godzin

na dobę, pogarszały się cechy psychomotoryczne nawet wtedy, gdy przez kolejne trzy dni poświęcali na sen co najmniej 8 godzin. Po 17 godzinach bez snu nasze zdolności poznawcze i motoryczne są takie jak u nietrzeźwych. Te badania przekładają się na przerażające konkrety: ustalono, że brak snu był powodem awarii reaktorów jądrowych w Czarnobylu, w amerykańskiej elektrowni Three Mile Island, a także katastrofy statku kosmicznego Challenger, w której zginęło siedmioro astronautów. Jak wykazało dochodzenie Krajowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, główną przyczyną katastrofy tankowca Exxon Valdez u wybrzeży Alaski w marcu 1989 r. było przemęczenie załogi. Eliminowanie skutków tej tragedii kosztowało 2 mld dolarów. W Polsce spóźnienia kosztują pracodawców ponad 12,5 mln złotych rocznie – wynika z badania przeprowadzonego przez Instytut Badania Opinii Homo Homini na zlecenie Work Service SA. Zaspianie to druga po odprowadzaniu dzieci do przedszkola przyczyna przychodzenia do pracy po wyznaczonej godzinie.

– Wydawać by się mogło, że ludzie stworzyli nocne życie, bo nie mogli spać. Nie mogą spać, ponieważ stworzyli nocne życie. Powinniśmy przestać się oszukiwać, że w żyjącym 24 godziny na dobę społeczeństwie nocie przeznaczają się na spoczynek, i zerwać z iluzją, że wszystko się kiedyś odeśpi. Już od najmłodszych lat uczymy się nie spać, czerpiąc większą przyjemność z zabawy i czasu spędzanego aktywnie. Po trzydziestce jakość snu drastycznie spada i wtedy pojawia się problem. Ale nawet wówczas, jak potwierdzają badania przeprowadzone na zlecenie Lama Gold, nie zdajemy sobie sprawy, jaką cenę płacimy za bezsenność – powiedział dr Michał Skalski z Katedry i Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Warszawie. W ten sposób psychia-



tra skomentował wyniki badań „Jak śpią Polacy” przeprowadzonych przez Instytut Badawczy SMG/KRC na zlecenie lidera na rynku pościeli wełnianej Lama Gold. Zgodnie z nimi połowa Polaków po 30. roku życia ma problemy ze snem, a tylko co 10. uważa, że sen wpływa na zdrowie.

### Kto nie śpi, tyje?

Naukowcy nie rozstrzygnęli zagadki, po co w ogóle śpimy. Większość tropów prowadzi do potrzeb mózgu, a jedna z nowych hipotez zakłada, że sen jest po to, aby odciążyć mózg od przepracowania tworzeniem wciąż nowych i nowych wspomnień. Wiemy za to bardzo dobrze, jakie są zdrowotne konsekwencje niedoboru snu.

Zacznijmy od tego, co lepiej przemawia do wyobraźni, a więc od wyglądu. Badania opublikowane w 2012 r. w „British Medical Journal” potwierdziły, że

sen poprawia urodę. Badaniem pokazywano zdjęcia tych samych osób wyspanych, a innej grupie – po deprywacji sennej. Okazało się, że kiedy śpimy za krótko, częściej jesteśmy postrzegani jako mało atrakcyjni, a nawet chorzy.

– Jeśli nie mamy czasu się wyspać, nie warto się brać za odchudzanie. Kiedy jesteś na diecie i śpisz 5–6 godzin na dobę, tylko 25 proc. masy, którą utracisz, będzie tłuszcz, a 75 proc. – beztłuszczowa masa ciała. Jeśli będziesz się wysypiać, proporcję wyniosą 50:50 – mówi dr Charles A. Czeisler z Wydziału Medycyny Snu (Division of Sleep Medicine) na Harvardzie. Zjedanie 10 proc. kalorii dziennie więcej niż dotychczas spowoduje, że w ciągu roku przytyjemy ponad 7 kg. Podobnie stanie się, jeśli o 10 proc. skrócimy potrzebny nam czas snu. Kobiety, które śpią 5 lub mniej godzin dziennie, są o 30 proc. bardziej narażone na przy-

branie 15 kg w trakcie 16 lat niż te, które śpią 7 godzin – takie wyniki badań opublikował „American Journal of Epidemiology”. Deprywacja senna zmniejsza wrażliwość organizmu na insulinę regulującą stężenie cukru we krwi. Dlatego po bezsennej nocy zjedzenie ciasteczka bardziej podniesie poziom cukru niż u osoby wyspanej. W dodatku na to ciasteczko będziemy mieli większą ochotę niż zwykle, bo niedosypianie wzmacnia produkcję wzmagającej apetyt greliny. Problemy ze snem zaburzają produkcję insuliny i prowadzą do cukrzycy – wynika z badań prof. Luigię Strambiego z włoskiego Stowarzyszenia Medycyny Snu.

Nie trzeba przez 200 godzin prowadzić audycję radiową, aby z powodu niedoboru snu uprzykrzyć życie rodzinie i współpracownikom. Bezsenność prowokuje do aspołecznych zachowań – stajemy się poirytowani, niecierpliwi, mamy problemy z koncentracją. Badania opublikowane na łamach „Academy of Management Journal” wykazały, że niewyspani częściej zachowujemy się nieetycznie, jesteśmy niegrzeczni i zachowujemy się niestosownie.

### Serce i głowa w opałach

Brak snu zwiększa ryzyko zawału. Z badań naukowców z Uniwersytetu w Bostonie wynika, że przyczyną zwiększonej liczby pacjentów z tym schorzeniem o poranku jest nieprzespana noc, która powoduje zbyt wysokie ciśnienie prowadzące do zawału. Dowiedziono, że atak serca zdarza się 45 proc. częściej u kobiet, które śpią 5 godzin lub krócej. W 2008 r. „Journal of the American Medical Association” pisał, że niedobór snu sprzyja zwapnieniom w naczyniach krwionośnych, czyli sklerozie zwiększającej ryzyko zawału.

Bezsenność podwyższa ciśnienie – im więcej nieprzespanych nocy, tym bardziej i trwalej. U tych, którzy śpią

poniżej 5 godzin, ryzyko wystąpienia nadciśnienia wzrasta 500-krotnie. Podwyższa się także możliwość wystąpienia chorób serca czy alzheimera. Badania naukowców z Uniwersytetu Alabamy w Birmingham dowodzą, że osoby, które śpią zbyt krótko, są bardziej narażone na udar mózgu.

Wzrasta także zagrożenie agresywnym rakiem piersi – wykazali naukowcy z Case Western Reserve University. Dorośli, którzy regularnie śpią za krótko, częściej cierpią z powodu zaburzeń nastroju, depresji i nadużywania alkoholu.

Co zatem robić? Warto przyjąć, że sen to nie ułomność ciała, z którą musimy żyć, ale element umożliwiający cieszenie się życiem i wydłużanie czasu tej radości. Warto też, jak we wszystkich dziedzinach życia, pamiętać, że najpierw należy zadbać o rzeczy ważne, a dopiero potem pilne (czytaj: najpierw wypoczynek, a więc zdrowie, potem zaległy raport). Potem trzeba zadbać o higienę snu. – Do łóżka kładziemy się dopiero wtedy, gdy pocujemy senność – apeluje Tomasz Krasowski, lekarz w trakcie IV roku specjalizacji z psychiatrii. – W sypialni wyposażonej w wygodne łóżko, dobry materac, komfortową pościel powinna panować ciemność i cisza oraz świeże powietrze o temperaturze nie wyższej niż 18 st. C – dodaje Krasowski.

W sypialni nie ma miejsca na urządzenia z monitorami. To dlatego, że kiedy do oka dociera światło, mózg przestaje produkować melatoninę, która jest sygnałem dla organizmu, że pora przejść w tryb „sen”. Wysilek fizyczny jest potrzebny, ale należy go zakończyć mniej więcej 5 godzin przed porą spania. – Wyjątkiem jest seks zakończony orgazmem – zdradza Tomasz Krasowski.

Specjaliści zalecają także kognitywną terapię behawioralną. To tera-

pia mająca na celu zmianę postrzegania trudnej sytuacji (w tym przypadku bezsenności), a przez to umożliwiającą wdrożenie bardziej konstruktywnego sposobu poradzenia sobie z problemami. Warto spróbować, bo często wystarczy zaledwie 4–8 sesji.

### Telewizja zabiera sen

Kiedy warto poprosić o radę lekarza? – Nigdy nie należy bagatelizować zaburzeń snu. Jeżeli przyczyną są choroby somatyczne, należy je leczyć u właściwego specjalisty. Bezsennością mogą się skutecznie zajmować psychiatrzy i to do nich należy kierować tych, którzy mają kłopoty ze snem niespowodowane chorobami somatycznymi. Leczenie bezsenności polega na terapii behawioralnej, a także stosowaniu właściwych leków (na przykład przeciwdepresyjnych, jeśli powodem problemów jest depresja) – tłumaczy Tomasz Krasowski. – Najważniejsze, aby nie zatruć i nie uzależnić chorego. Nierzadko zdarza się, że pacjent ma szerokim gestem wypisywane benzodiazepiny, leki tania i szybko działające uspokajające i nasennie, ale od których pacjent wkrótce się uzależnia. Ze wstydem przyznaję, że zdarza mi się leczyć osoby uzależnione od benzodiazepin przepisywanych przez psychiatrów – ostrzega Krasowski.

Z badań opinii publicznej można wysnuć jeszcze kilka wskazówek dla bezsennych: najkrócej śpią osoby oglądające powyżej 6 godzin telewizji dziennie oraz rozwiedzione lub żyjące w separacji.

Zanim uda się nam zwalczyć bezsenność, warto pocieszyć się sentencją Emila Ciorana: „Nocy, które przespałiśmy, jakby nigdy nie było; pozostają nam w pamięci tylko te, w które cierpiełiśmy, nie mogliśmy zmrużyć oka. Stąd suma naszych nocy jest sumą naszych bezsenności”.

EWA PANEWKA, WANDA DYSK

# Doczekać dyplomu

W dzisiejszych czasach student musi łączyć w sobie przymioty umysłu Einsteina z tężyzną fizyczną i pomysłowością McGyvera. Wykłady to już nie jest okazja do poimprezowej drzemki. Szczególnie zagrożeni są słuchacze wykładów, które w tytułach mają słowa takie jak: moralność, płęć i mniejszość. Głośny incydent ostatnich tygodni (prawicowa bojówka wdarła się na teren Audytorium Maximum UW, by zakłócić wykład Magdaleny Środy – przyp. red.) udowodnił, że na uniwersytetach zaczyna obowiązywać prawo dżungli. Dlatego, przygotowując propozycje modowe dla studentów, **inspirujemy się arcyciekawym światem zwierząt**, które w procesie ewolucji umiejętność przetrwania doprowadziły do perfekcji.

## 1 Człowiek krzak

Inspirowana mimikrycznymi zdolnościami kameleona propozycja dla niechętnych jakimkolwiek kontaktom z napastnikami. W razie nalołu osobników wrogiego gatunku zastycanie w niewielkiej odległości od okna – tam często stoją paprotki. Jeśli w kącie przyjmiesz pozycję kuczną, w ferworze toczących się wokół walk zostaniesz błyskawicznie zakwalifikowany do świata roślin i potraktowany jak – dajmy na to – fikus, co zagwarantuje ci bezpieczeństwo.

## 2 Kazuar lub goryl

Jeśli jesteś studentem skorym do bitki albo przyjechałeś na wykład gościnnie z AWF, musisz jedynie odrobinę wzmocnić swoje naturalne walory. Niechaj wzorem ci będzie kazuar, który, zmuszony do walki, jest bardzo agresywny. Jeśli masz silne nogi, wkładasz kevlarowe skarpety firmy Swiss Barefoot Company, które wzmocnią siłę kopnięcia. Jeżeli do tego jesteś typem showmana, możesz nasadzić na skarpety sztuczne stopy i wykonać dziki troglodytyczny taniec, aby dodać odwagi swoim i śmiertelnie wystraszyć wroga, tak jak czynią goryle. Na koszulce dobrze byłoby wypisać jakieś ideologiczne hasło, np.: „Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach”.

## 3 Pancernik

Opcja dla studentek: suknia Ramony Rey inspirowana światem owadów, przypominająca chitynowy pancerzyk lub zapożyczona bezpośrednio od pancernika. Dobry wybór dla tych, którzy dziwnym trafem zawsze zarybią pięścią w śledziona albo bejsbolem po nerkach.



RICHIE BUXTON/SPLASH NEWS/EAST NEWS



GIO BARTO/EAST NEWS

REX FEATURES/EAST NEWS

## 4 Niedźwiedź

Strój Dody to strzał w dziesiątkę dla studentek, które po wykładach z filozofii z wypiekami na twarzy oglądają przygody Xeny, wojowniczej księżniczki. Taktyka walki na niedźwiedzia: nabijaną ćwiekami torebką przyciągasz napastnika do nabijanej ćwiekami piersi. Nie ma szans.

## 5 Paw

Jeśli jesteś studentem filologii antycznej bądź psychologii, wykorzystaj swoją wiedzę i podsuń napastnikowi lusterko – pomocny będzie strój francuskiej firmy On Aura Tout Vu. Jest nadzieja, że albo zamieni się w kamień jak mityczna Gorgona, albo szeroko uśmiechnie do swojego odbicia i zrezygnuje z bitki. A wówczas lusterko możesz wykorzystać do regulacji brwi podczas przeciągającego się wykładu.

## 6 Pacyfista

Ostatnia propozycja wykracza poza świat zwierzęcych praw i instynktów i odwołuje się do szeroko rozumianego humanizmu. W przypadku niezasadnej agresji przekazujesz napastnikowi znak pokoju, po czym ściągasz ze stopy chlebowego kapciucha i proponujesz przełamanie się na zgodę. Jeśli nie zadziała, możesz w razie potrzeby użyć kapciucha do śmiętego spoliczkowania przeciwnika, ale pamiętaj: agresja rodzi agresję. Jeśli zaś do ataku nie dojdzie, masz zapewniony niskobudżetowy lunch, co, biorąc pod uwagę zasobność studenckiego portfela, jest nie bez znaczenia.

Ewa Panewka i Wanda Dysk prowadzą satyryczno-modowy blog [www.hellozdrowie.pl/blogi/moda-medycyna](http://www.hellozdrowie.pl/blogi/moda-medycyna)

JERZY ZIEMACKI

# Oczko się otworzyło temu misiu

W Polsce żyje na wolności około 100 niedźwiedzi brunatnych. Większość już wybudziła się z zimowego snu. Jak się spało naszym siedmusetkilowym olbrzymom?

**P**ierwszy niedźwiedź w tym roku obudził się w Bieszczadzkim Parku Narodowym. To był luty, dzień przed walentynkami. Kamera zamontowana na drzewie zarejestrowała filmik, na którym zaspany i głodny samiec wygrzebuje spod śniegu resztki sarny upolowanej przez wilki. Gwałtowny powrót zimy w kolejnych dniach zmusił niedźwiedzia, gwiazdę Internetu, do powrotu do zimowego legowiska. Żadna kamera w Bieszczadzkim Parku Narodowym nie zarejestrowała jego dalszej aktywności przez następny miesiąc.

W tym roku zima była ostra. Pozorne lutowe ocieplenie obudziło kilkanaście niedźwiedzi, zdecydowanie za wcześnie. Jednak teraz, pod koniec marca, zima definitywnie się kończy. Większość niedźwiedzi jest już aktywna. Nie pójda spać przez najbliższe pół roku. Niedźwiedzie, które śpią w zimie, zwykle od grudnia do marca, wpadają w stan półhibernacji. A dlaczego nie hibernacji, jak na przykład nietoperze? Bo muszą zachować czujność, by w razie niebezpieczeństwa zerwać się ze snu i walczyć o przetrwanie. Ale i tak w czasie połowicznej hibernacji temperatura ich ciała wyraźnie się obniża, a oddech spowalnia do jednego na minutę.

Co się dzieje, gdy dojdzie do wybudzenia? Przestraszone zwierzę najczęściej ucieka. Kilka lat temu wybudzona ze snu niedźwiedzica zostawiła w gaw-

rze młode (zima to czas narodzin małych niedźwiadków), po które już nie wróciła. Niedźwiadki padły z głodu. Ekolodzy apelują: w krainach niedźwiedzia zachowajmy ciszę! Dawniej respekt przed tymi potężnymi ssakami był większy. Mieszkańcy Podhala nigdy nie wypowiadali nazwy „niedźwiedź” na głos. Mówili: „On”. Lub po prostu: miodojad.

## Bezsenne zimy

Pod filmikiem umieszczonym w Internecie, o rzekomo pierwszym przebudzonym niedźwiedziu, pojawiły się liczne komentarze: ludzie widzieli świeże ślady niedźwiedzi również w grudniu i styczniu. To oznacza, że niektóre osobniki obudziły się już wcześniej lub w ogóle nie zapadły w półhibernację. A zatem może niedźwiedź z popularnego filmiku wcale nie poszedł spać?

Obyczaje niedźwiedzi brunatnych zna dr Wojciech Śmietana, który na co dzień pracuje w terenie, w najwyższych partiach Bieszczad. W Bieszczadach żyje aż 80 proc. polskiej populacji niedźwiedzi brunatnych, czyli około 80 sztuk. – Sen zimowy niedźwiedzi jest przystosowaniem tego gatunku do przetrwania okresów braku dostępu do odpowiedniej ilości pokarmu – tłumaczy naukowiec. I kontynuuje: – Obfite opady śniegu, które drastycznie ograniczają dostęp do pożywienia

i utrudniają przemieszczanie się, skłaniają niedźwiedzie do wyszukania odpowiedniego miejsca, czyli gawry, i zapadnięcia w sen zimowy. Jeśli zima jest łagodna, niektóre niedźwiedzie są aktywne cały rok. Nie gawrują albo gawrują tylko przez miesiąc lub nawet krócej. Tylko samice oczekujące narodzin potomstwa zawsze gawrują, nawet wówczas, gdy zima jest bezśnieżna.

W listopadzie, zanim niedźwiedzie poszły spać, dr Śmietana obserwował na jednym obszarze aż 18 sztuk tego gatunku. – Niedźwiedzie nie są zwierzętami terytorialnymi, jak na przykład wilki. Dorosłe samce to samotnicy, którzy wędrują po rozległych terenach w poszukiwaniu pożywienia i miejsca odpoczynku. Nie żyją z samicami; spotykają się z nimi tylko w maju i czerwcu, w okresie rui.

Nie wychowują młodych. Między samcami czasami dochodzi do otwartej rywalizacji, zwłaszcza w okresie godowym – opowiada naukowiec.

Podkreśla, że trudno mówić o przynależności państwowej danego osobnika, ponieważ zwierzęta pokonują olbrzymie odległości. Kiedyś sądzono, że potrzebują arealów o powierzchni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Dziś wiadomo (dzięki badaniom telemetrycznym), że dorosłe samce potrafi przemieszczać się na obszarze ponad 1000 kilometrów kwadratowych. Te badania rzuciły zupełnie nowe światło



RADIUS IMAGES/EAST NEWS

na problem ochrony zagrożonego gatunku. „Polskie” niedźwiedzie często przechodzą przez granicę (słowacką i ukraińską), zatem ich ochrona wymaga transgranicznej współpracy. Nie zawsze jest to łatwe. Słowacja jeszcze w 2010 r.

wydała zezwolenie na odstrzał kilku dziesięciu niedźwiedzi.

## Tylko nie dokarmiaj!

Ochrona niedźwiedzia wymaga odpowiedzialności i dyskrekcji. Największym

wrogiem niedźwiedzia jest nasza lekko-myślność. – Niedźwiedzie nie zachowują się agresywnie wobec ludzi, jeśli zostawimy je w spokoju. Nie powinniśmy jednak traktować niedźwiedzi brunatnych jak misiów. To nie misie, to dzikie zwierzęta – twierdzi Paweł Średziński z WWF Polska. Przestrzega przed dokarmianiem. Niestety, turyści chętnie zostawiają na szlaku resztki pokarmu i odpady żywnościowe w miejscach, gdzie mają do nich dostęp niedźwiedzie. Praktyka pokazuje, że zwierzęta, które przyzwyczajają się do szukania pokarmu u ludzi, stają się niezdolne do zdobywania pożywienia w naturze. Poszukują go w miejscach, gdzie są ludzie. I dochodzi do sytuacji problemowych, które kończą się tragicznie. Najczęściej dla niedźwiedzia.

Systematyczny postęp cywilizacyjny śmiertelnie zagroził niedźwiedziom. W średniowieczu niedźwiedzie w Polsce mieszały również na terenach nizinnych. Były wszędzie: w Małopolsce, w Wielkopolsce, na Mazowszu. Jako pamiątka zostały po nich nazwy miejscowości oraz herby, w których niedźwiedź często symbolizuje moc i szlachetność. Tam, gdzie występowały, były zabijane dla futra i dla rozrywki (umożliwił to rozwój broni). W XX w. niedźwiedzi w Polsce już prawie w ogóle nie było. Po drugiej wojnie światowej zostało ich ledwie 20 sztuk. Dziś jest ich pięć razy więcej. Niestety, miejsc, gdzie swobodnie mogą żyć te wyjątkowe zwierzęta, jest coraz mniej.

Wiosną niedźwiedzie rozkręcają się powoli. Chodzą po okolicy i szukają pokarmu. Urządzą też barłogi, w których wylegują się w sezonie letnim. Ich ulubioną porą roku jest początek jesieni, gdy lasy i dzikie sady pełne są owoców, roślin i owadów. Przed kolejnym zimowym snem muszą porządnie się najeść. Ale w przeciwieństwie do ludzi, niedźwiedzie brunatne nie muszą martwić się o sylwetkę. Te wyjątkowe zwierzęta mają niezwykłą zdolność zamieniania tłuszczu w mięśnie podczas zimowego snu. I dlatego wiosną budzą się bardziej muskularne. Takim to dobrze!

Knowhow i sprawdzona metodologia

# Bloomberg Businessweek

Polska

Biznes i gospodarka świata

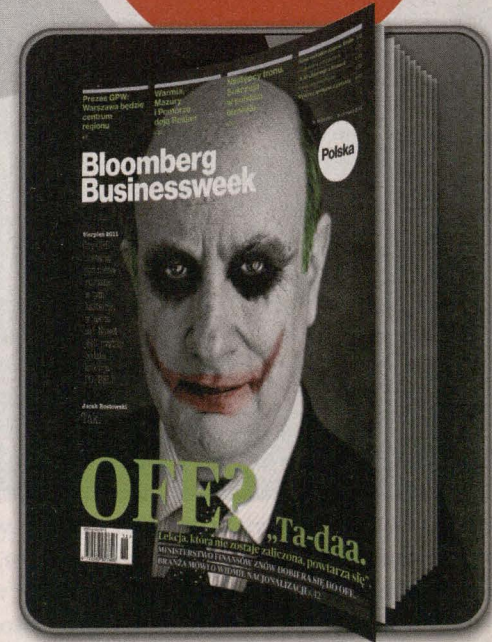
Biznesplan na tydzień

Najważniejszy dla nas jest rynek polski

# Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.



FR BROWNE SJ COLLECTION/UNIVERSAL IMAGES GROUP/FORUM

KUBA DĄBROWSKI

# Zejdź z tego statku

Francisa Browne'a krótka podróż „Titanikiem”.

**10** kwietnia 1912. Z portu w Southampton w swój dziewiczy rejs wyrusza RMS „Titanic”. Największy pasażerski statek świata (269 metrów długości), duma współczesnej myśli inżynieryjnej. Przez Atlantyk będzie płynął do Nowego Jorku. „Titanic” nie jest najszybszym statkiem na tej trasie, jest za to zdecydowanie najbardziej luksusowym – ma wszystko, co można sobie wyobrazić: baseny, salę balową... Na pokładzie melduje się ponad 2200 osób (w tym około 700 członków załogi). Wśród pasażerów pierwszej klasy jest między

innymi 32-letni irlandzki nowicjusz z zakonu jezuitów Francis Browne. Gdy jego rodzice zginęli, wychowywany był przez wuja – biskupa z irlandzkiej miejscowości Cloyne. Wuj lubi obdarowywać wychowanek drogiymi prezentami. Kiedy jeszcze przed rozpoczęciem nowicjatu Francis wyruszył na grand tour po Europie, dostał od niego aparat fotograficzny, z którym od tamtej pory się nie rozstaje. Innym подарunkiem od biskupa jest bilet w pierwszej klasie dziewiczego rejsu hipernowoczesnego transatlantyku. Zgodnie z planem Browne ma spędzić na statku tylko dwa

dni, z pokładu zejść podczas postoju w Queenstown w Irlandii, a stamtąd udać się do klasztoru w Dublinie.

Rejs jest bardzo przyjemny. Wiosenne słońce sprzyja zwiedzaniu poszczególnych pokładów. Francis Browne, jak większość współpodróżników, jest zachwycony skalą statku, jego architekturą i wystrojem kajut. Swym aparatem dokumentuje wszystko, co widzi. Wypłynięcie z portu, scenki na pokładzie, siłownię, kajutę, pokładową restaurację À La Carte i kawiarnię Parisien. Portretuje członków załogi i pasażerów. W sumie naświetla około tysiąca klatek. Podczas pierwszej kolacji Browne zostaje usadzony przy stoliku z małżeństwem amerykańskich milionerów, szybko znajdują wspólny język. Amerykanie sugerują, że duchowny powinien kontynuować podróż, obiecują opłacić mu bilet do Nowego Jorku i z powrotem. To bardzo kusząca propozycja, Browne wysyła do swojego prowincjała telegram z prośbą o pozwolenie na przedłużenie absencji, przy okazji fotografuje pokój telegrafistów. Dostaje zdecydowaną, żołnierską odpowiedź: „Zejdź z tego statku”. Zgodnie z rozkazem nowicjusz wysiada w Queenstown. Stojąc na nabrzeżu, fotografuje odpływający na zachód transatlantyk.

Cztery dni później świat obiega informacja o katastrofie „Titanica”. Zdjęcia Browne'a okazują się jedynymi ocalałymi dokumentami z pokładu. Ich reprodukcje, przy zachowaniu praw autorskich, publikuje większość gazet. Duchowny staje się sławny i bogaty. Najczęściej publikowany kadr przedstawia sielankową scenkę z pokładu – chłopiec bawi się bąkiem, kilku dorosłych obserwuje go z zainteresowaniem i kibicuje. Chłopiec nazywa się Robert Douglas Spedden. On i jego rodzina jako jedni z nielicznych wychodzą cało z katastrofy.

**Kuba Dąbrowski** co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

AGA KOZAK

# Moc jaj

Czy wyobrażacie sobie kuchnię bez ciast, majonezu, sosu béarnaise, lodów?

Pewnie nikt się nad tym nie zastanawia, ale **jaja są niemalże wszędzie.**

A teraz właśnie mamy na nie sezon.

**J**ajo jest produktem kompletnym, doskonałym. To z niego powstaje nowe życie i należy się mu się przez to pełny szacunek – mówi Paweł Kibart, szef kuchni Sinnet Tennis Club, mistrz noża, czyli tzw. knife skills, których uczy na warsztatach w CookUp Studio. I dodaje: – Bez jaja w kuchni się nie da. Tatar bez żółtka? Bez jego kremowości? O jajecznicę nawet nie wspomnę czy sadzonym z nieściętym „słoneczkiem”, które kusi „rozetnić mnie”, tylko po to, żeby błogo rozlać się po talerzu.

W czasie świąt wielkanocnych jajko pojawia się w niezliczonej liczbie form: nie tylko gotowane, ozdobione majonezem, lecz również podtrzymujące strukturę sosów, bab, ciast, pasztetów. Skąd się biorą budulcowe właściwości jaja? Po odpowiedź na to pytanie udaję się do mojego ulubionego kuchennego naukowca, czyli Herve'a Thisa – ojca gastronomii molekularnej, fizyka i chemika z pasją kulinarną. W jego książce „Odkrycia kulinarne” można przeczytać, w jaki sposób zrobić perfekcyjną jajecznicę i sadzone (obydwa rozdziały skupiają się na innych właściwościach fizycznych i chemicznych jaj i mają po pięć stron!). Kuchenny naukowiec proponuje nawet, jak zrobić sobie jajko z domowym majonezem, mając tylko jedno jajko. „Co? Przecież potrzeba jednego jaja, żeby ugotować je na twardo i jeszcze jednego, aby przyrządzić majonez. Niekoniecznie, jeżeli staniecie się adeptami nauk fizyko-chemicz-

PAUL TAYLOR/CORBIS



nych i jeżeli zmienicie swoje podejście do problemu sprzętów kuchennych” – pisze Herve This. I proponuje wbić igłę strzykawki w jajko, pobrać odrobinę żółtka, zrobić na nim majonez, a jajko ugotować. Przy okazji dowiedcie się, że warto zanurzyć jajko po ugotowaniu w zimnej wodzie, bo skorupka kurczy się i łatwiej je obrać, że jajkiem trzeba manipulować, żeby żółtko było dokładnie na środku, a do tego że w przypadku majonezu jajko jest nie tylko dostarczycielem wody i protein, lecz i cząsteczek powierzchniowo czynnych.

Ostatnio podobne eksperymenty z jajkami przeprowadzają też inni ku-

charze, szukając dla jaja formy odmiennej niż zwykle sadzone czy jajecznicę. Że się nie da? Skosztujcie plastycznych żółtek przygotowywanych w niskich temperaturach! – Niedawno odkryłem jajeczne nadzienie do ravioli. Lekko ścięta otoczka żółtka zawinięta jest w ciasto z semoliny. Kilka chwil w gotującej wodzie i gotowe. Jedno musnięcie nożem i pierożek uwalnia pięknie płynne żółtko – opowiada Paweł Kibart.

Przy okazji wielkanocnego tataru ciał żółtek do chrzanu, bicia piany do pasztetu, kręcenia żółtek z cukrem do drożdżowego wykorzystujemy jaja od kur. Ale w końcu nie tylko one są jadal-

ne! – Przepiórcze, gęsie, kaczce, strusie, podobno mewy także. O ile wszyscy są przyzwyczajeni do kurzych, o tyle przed zjedzeniem jaja innego ptaka jest moment zawahania. I chyba jednak „nie”. Jajo to przecież życie i w naszej kulturze jedzenie jaj kurzych od dzieciństwa sprawia, że nie zastanawiamy się nad tym, że z tego właśnie jaja mogłyby wykluć się kurczaczek – przyznaje Kibart. Owe miniaturowe przepiórcze w nakrapianych skorupkach nie są jedynie wymyślną ozdobą dań (pięknie wyglądają na blinach z kawiolem, obok szparagów czy na tatarze), lecz często także ide-

**Każde jajo ma podobne wartości odżywcze, niezależnie od metody chowu czy odmiany kury, która je zniosła.**

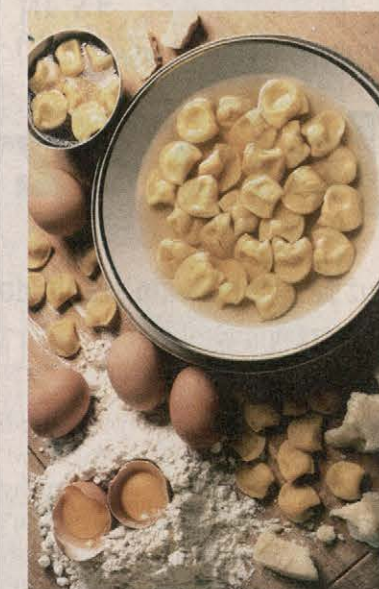
alną alternatywą dla małych alergików uczulonych na kurze białko.

No dobrze, ale jakie jajka wybrać? – Każde jajo ma podobne wartości odżywcze, niezależnie od metody chowu czy odmiany kury, która je zniosła – tłumaczy Kibart. Jajko jest źródłem witamin A, D oraz niektórych witamin z grupy B, a także składników mineralnych: fosforu, potasu, wapnia, żelaza, magnezu. W żółtku jest luteina, która chroni oczy przed szkodliwym promieniowaniem UVA i UVB, zapobiega zwyrodnieniu plamki żółtej i poprawia widzenie. Jajo kurze składa się średnio w 74,8 proc. z wody, 12,6 proc. z białka, 10,0 proc. z tłuszczu (z czego 3,8 proc. to tłuszcze jednonienasycone, 3,1 proc. tłuszcze nasycone, 1,4 proc. wielonienasycone, a ok. 0,42 proc. to cholesterol), w 1,1 proc. z węglowodanów (prawie wyłącznie cukrów prostych). 100 gramów jajek ma 147 kcal.

Ceny „ekologicznych” jaj od zielononózek potrafią dobić do 1,20 – 1,50 za sztukę. Czy są zielone? Niekoniecznie, choć niektórzy w błędnych, lekko przezroczystych skorupkach i tego potrafią się dopatrzeć. Zielononózki, czyli rasa tradycyjnie hodowana w Polsce, lubiąca dużo wolności i karmiona zazwyczaj „na dziko” naturalnym pożywieniem, które wybiera sama kura – niosą jajka o intensywnym smaku i dużym żółtku. Zapewnienia, że są „zdrowsze” lub „mniej wartościowe”, że jajka odpowiedzialne są za poziom „złego” cholesterolu lub że powodują miażdżycę, to mity. Najnowsze badania dowodzą, że dzięki zawartym w jajkach „pogromcy tłuszczu”, czyli lecytynie, można ich jeść całkiem sporo. WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) dopuszcza jedzenie ok. 10 jajek tygodniowo, łącznie z tymi użytymi do kotletów, ciast czy makaronu. Liczba ta odnosi się do żółtek, ponieważ białko możemy spożywać bez ograniczeń. Zasada jest prosta: im więcej w naszej diecie warzyw i owoców, a mniej potraw obfitujących w tłuszcze zwierzęce, tym częściej możemy sobie pozwolić na jajka.

Autorka prowadzi blog „Ugryzienie Kozak”

Przepis Pawła Kibarta



## Ravioli z żółtkiem

ciasto:

- 500g mąki
  - 1 jajko
  - 1 łyżeczka soli
  - 1 szklanka ciepłej wody
- oraz
- 6 żółtek
  - parmezan
  - szalwia

Zagnieść ciasto i odłożyć je na godzinę do lodówki, żeby odпочnęło. Teraz najtrudniejsze: przygotowanie żółtek. Do wrzącej wody włożyć jajka, zsunąć garnek z palnika, a po 5 minutach wyjąć jaja i przelać je zimną wodą. Każde obrać ze skorupki i białka tak, aby nie uszkodzić żółtka – nie może się ono rozlać! Ciasto rozwałkować bardzo cienko, przesypując semoliną. Wyciąć kółka o średnicy mniej więcej 6 cm. Na środek kółka położyć uprzednio przygotowane żółtko. Brzegi ciasta smarować roztrzepanym jajkiem i przykryć drugim kawałkiem ciasta, bardzo ostrożnie skleić brzegi, tak aby w środku nie było powietrza, a żółtko pozostało w całości. Ciasto musi być bardzo cienkie, chodzi o to, żeby jak najkrócej się gotowało. Jeżeli ciasto będzie niewystarczająco cienkie, czas gotowania się wydłuży i żółtko się zetnie. Ravioli gotować we wrzącej osolonej wodzie około 1 minuty. Przed zjedzeniem polewać masłem ze świeżym szalwią i posypywać płatkami parmezanu.

SUSY MEZANOTTE/CORBIS



WOJCIECH BOŃKOWSKI

# Jajo czy kura?

Już za tydzień **wino stanie do walki** ze swoim najgorszym wrogiem.

**S**ą pokarmy, do których pod żadnym pozorem nie podaje się wina. Należą do nich karczochy, szpinak oraz wszelkie potrawy z jaj. „Osiągnięcie harmonii przy stole, gdy podawane są dania z jaj, jest niemożliwe, szczególnie w przypadku win czerwonych”. „Bachus gniew napotkasz mściwego/Jeśli wino do jaja podasz kurzego”. To wszystko autentyczne cytaty z XIX-wiecznej literatury winiarskiej. Obrazują jedno z największych tabu: potrawy, które „nie pasują” do wina.

Lista była całkiem pokaźna. Oprócz mitycznych karczochów (które rzekomo sprawiły, że wszystkie wina smakują gorzko) i szpinaku były to m.in. sałata, szparagi, sos winegret, sery pleśniowe, zupy i desery. Smak wina miały psuć czosnek oraz orzechy. W ogóle dawniej z winem należało obchodzić się bardzo ostrożnie. Kawałek polędwicy z rusztu albo ryba z wody – to było idealne, bo mileżące, towarzystwo do najlepszych butelek. Tkwiło w tym ziarno prawdy, bo dawniej pito najczęściej wina wiekowe, które dojrzewiając, straciły na mocy, a zyskały na delikatności.

Dwudziestowieczna nowoczesność wyrzuciła to wszystko do góry nogami. Nie tylko obaliła stare stereotypy uroczono streszczone w wierszyku: „Ryby, drób i cielęcina/lubią tylko białe wina,/Zaś pod woły, sarny, wieprze/jest czerwone wino lepsze”. Dziś już nikogo nie szokuje podanie czerwonego pinot noir do łososa z grilla albo sandacza w sosie grzybowym, a białego burgunda do wieprzowej polędwiczki. Rozpra-

wiliśmy się także z dawnymi zakazami. Szparagi? To jedno z wymarzonych dań do wina, w szparagowym sezonie sprzedaż rieslinga i silvanera – dwóch najlepszych partnerów – skokowo rośnie. Sery pleśniowe? Pole do popisu dla win likierowych. Zupy? Do barszczu chianti, do grzybowej sherry. Nawet do karczocha, który nieprawidłowo przygotowany rzeczywiście zabija usta goryczą, można znaleźć pasujące wina; niedawno w Atelier Amaro sommelier Paweł Białęcki odważnie zaproponował mi sauvignon blanc – i zadziałało.

Ale problem jaja pozostał. W różnych formach przeobrażonych – fritata, suflet, crème brûlée – nie sprawia winu aż takiego kłopotu, natomiast im postać bardziej podstawowa, tym gorzej. A jajo najbardziej jajeczne, czyli na twardo, to wciąż tabu. Luminarze sommelierstwa proponują rozmaite cudaczne rozwiązania, jak lekko słodka włoska Malvasia z późnego zbioru z rocznika 2008, ale zaraz na winiarskiej agorze odpowiadają im adwersarze, że nie, że to nie tak, wino staje się kwaśne, a smak jaja dominuje nad wszystkim.

Sięga się wręcz po wyjaśnienia kosmologiczne i psychoanalityczne. Jajo jest zaczątkiem całego życia, więc jest pokarmem zbyt ogromnym, by dopasować do niego jakieś tam pojedyncze wino. Energia yang jaja na twardo jest tak wielka, że spala wszystko, co się do niej zbliży. Jajo symbolizuje życie, tymczasem wino (czyli alkohol) to śmierć; powstaje w wyniku fermentacji, która jest w przyrodzie dewiacją, rozkładem. Jajo



**1** Patricius Tokaji Furmint 2011, jabłko, cytryna, miód, do jaj na twardo, ok. 47 zł



**2** Gutierrez Colosia Sherry Fino, jabłko, drożdże, sól, do jaj faszerowanych, ok. 38 zł



**3** Domaine Machard de Gramont Pinot Noir 2009, wiśnie, porzeczki, fiołki, do jaj w koszulkach, ok. 69 zł

było przed kurą i w ogóle przed wszystkim, dlatego temu jednemu pokarmowi wino powinno ustąpić. Itd., itp.

Najzabawniejsze jest to, że w regionach winiarskich tymi zabobonami się zupełnie nie przejmują. Lokalne dania z jaj łączą z lokalnymi winami i jakoś nie następuje żadna implozja yang. A już największym szokiem jest wycieczka do Burgundii, gdzie w każdej ludowej knajpie zamówić można specjal zwaną œufs en meurette, czyli jaja w koszulkach gotowane w... winie. I to czerwonym! Autorzy dawnych podręczników przewracają się w grobie, choć ten burgundzki przepis znany jest od co najmniej 300 lat.

Dlatego nadchodzącą Wielkanoc potraktujcie jako test na winomanię. Jeżeli pięć razy sprawdzicie w Internecie, jakie wino do nich najlepiej pasuje, trzy razy zmienicie jadłospis, po czym oznajmicie rodzinie, że do tego wychuchanego chablis jaja nie pasują – to znaczy, że połknęliście winnego bakcyla, a właściwie on połknął was. Jeżeli natomiast ugotujecie jaja na twardo tak samo jak co roku i podacie do nich takie wino, na jakie macie ochotę – to jesteście jeszcze normalni. Zachowujecie się tak jak ludzie w tradycyjnych krajach winiarskich, gdzie je się i pije to, co akurat jest pod ręką, bez robienia zbędnych ceregieli. Wesołego Jajka (z winem)! ☺

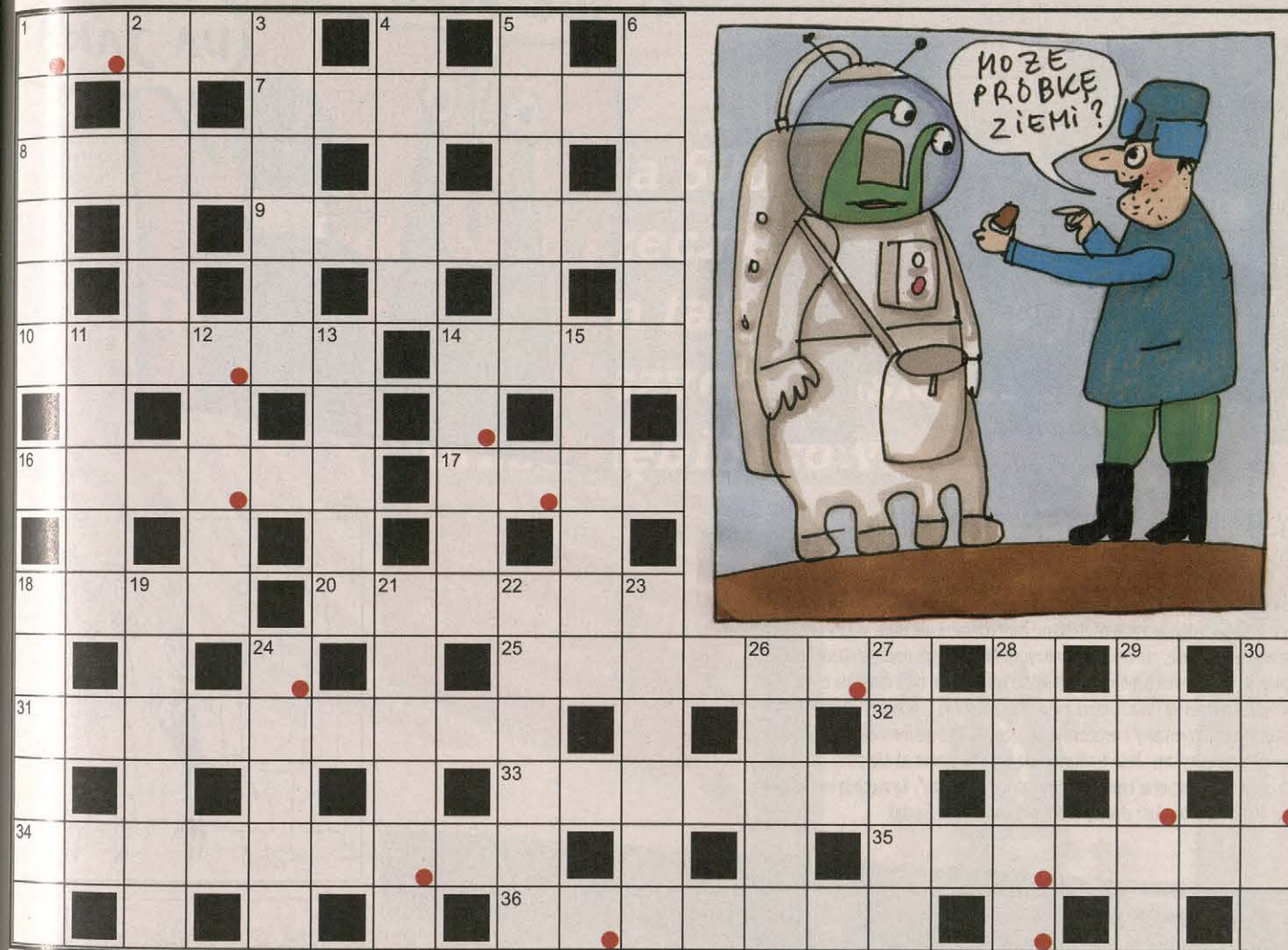


**WOJCIECH BOŃKOWSKI**

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

WINA

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



**POZIOMO:**

- 1. OPERACJA KOLANA
- 7. WIE, ŻE WSZYSTKO WIE
- 8. TAFLA NA KAFLACH
- 9. EKS-PAN KLEKS
- 10. NA KRZYWY RYJ
- 14. TAŚMA, CO JĄ STAŚ MA
- 16. RĄBIE DRZEWA
- 17. CIĄGNIĘ SIĘ W OGNIE
- 18. MA SAME GRUBE
- 20. ŁUK HEROSA
- 25. NIESTRZEŻONEGO PAN BÓG STRZEŻE
- 31. ZE SPALONEGO TEATRU
- 32. DZIKI W KLATCE
- 33. PILNUJE TWOJEGO NOSA
- 34. RZADSZE W GÓRACH NIŻ NAD MORZEM
- 35. DŹWIĘKI DESZCZOWEJ PIOSENKI
- 36. POPRAWI BŁENDY

**PIONOWO:**

- 1. LWIA CZĘŚĆ
- 2. CIĘTE, GDY ROSNĄ
- 3. NAPAD PODCZAS NAPADU
- 4. MATKA DO TAŃCA I DO RÓŻAŃCA
- 5. DRAPIEŹNIK NA BIEŻNIK
- 6. OBERWAŁ BUTELKĄ NA CHRZCINACH
- 11. LOKAL PRZED RESTAURACJĄ
- 12. PSI UROK
- 13. GDZIE RYM, GDZIE KRYM
- 14. KSIĄŻKI W WARSZAWIE
- 15. OKURZA
- 18. SIŁA KRYSZTAŁU
- 19. PISTOLET NA ŚLINĘ
- 21. STAŁE W ŻELAZIE
- 22. RYM DO CHODNIKA
- 23. NIE SKRYWA, ŻE SKRAWA
- 24. TRZY, CZTERY: I JESZCZE JEDEN...
- 26. IZORBA
- 27. ŁYSA GÓRA
- 28. CIĘTA RIPOSTA INDIANINA
- 29. OBIAD PO OPUSZCZENIU ZAKOPANEGO
- 30. KIJE DO GOLFA



Nagrodą w tym tygodniu jest film DVD „City Island” w reżyserii Raymonda De Felitty

Wygraj jeden z 10 filmów. Rozwiązania należy przesłać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 12”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 31 marca 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

**LAUREACI Z NR. 9**

Marek Krajewski, Słupsk; Wanda Woźniak, Dzierżonów; Luiza Kupis, Piaseczno k. Warszawy; Szymon Szczypiński, Sosnowiec; Barbara Bieleńska, Orlik; Krzysztof Borski, Poznań; Zbigniew Balcerak, Zielona Góra; Iwona Raszowska, Brwinów; Marta Żelazko, Kraków

**ROZWIĄZANIE Z NR. 10**  
KRZYŻÓWKA: SEZON NA LESZCZA

**POZIOMO:** 1. NA POLU DLA CHWAŁY – POPIS 7. CZEKA JĄ KLAPA – ODZNAKA 8. ZRÓB CIASTO – WYRÓB 9. KOŃSKI GAZ – OSTROGA 10. DANIE GRANIE – KOTLET 14. DOROSŁA W PODSTAWÓWCE – PANI 16. NAJMNIEJSZY SSKA – MOSKIT 17. O RAJU – EDEN 18. WINA NA KARTKI – FAUL 20. KAPELUSZ SPOD IGŁY – MAŚLAK 25. CAŁY DZIEŃ IDZIE POZYCZYĆ CUKIER – ODŁUDEK 31. CZAS TO PIENIĄDZ – ABONAMENT 32. PRZEJŚCIE DLA KRÓW NA DRUGĄ STRONĘ – RZEŹNIA 33. DZIAŁA NA NERWY – NERWICA 34. STAJĄ OTWÓRKIEM – DRZWIČKI 35. SKUPIA NA SOBIE WZROK SAMOTNEGO MĘŻCZYZNY – SPŁAWIK 36. JEDEN PTAK NA GODZINĘ – KUKULKA

**PIONOWO:** 1. WCHODZI BEZ DOWODU – PEWNIK 2. O OBROTACH CIAŁ – PIURJET 3. FUTRO Z KRÓLI – SOBOLĘ 4. PASOWANA NA KRÓLA – SZATA 5. SMUTEK WSKUTEK – ŻALOBA 6. KTO DOGONI LWA – SAFARI 11. MĘŻCZYŹNA LUB KOBIETA RODZAJU ŻEŃSKIEGO – OSOBA 12. 1500 METRÓW DO WYNAJĘCIA – LOKAL 13. CZUWA PRZED NAMIOTEM – TOTEM 14. PRAWA KOBIETY – PIERS 15. NIE W PORZĄDKU – NIELAD 18. WESOLE KÓŁO RADOŚCI – FRAUDA 19. DALEKO OD SZOSY – UBOCZE 21. OBECNOŚĆ W KRATKĘ – ARESZT 22. WZNIOSŁY ZAWÓD – LOTNIK 23. W SUKIENCIE DO ŚLUBU – KLERYK 24. UROK CZARUJĄCEJ OSOBY – MAGIA 26. FIRMOWA KOMÓRKA – DZIAŁ 27. URODA (INACZEJ) – KRASA 28. WYPALONA W PRACY – CEGŁA 29. ZBOŻNY CEL – ŻNIWA 30. PACJENT MA RACJĘ – DAWKA

RYŚ: MAREK RACZKOWSKI/ARCHIWUM „PRZEKRÓJ”

# ROZMAITOŚCI



*Szermanckie ssaki*

## Czy dżentelmen tworzy bezimienne dzieła?

Wyhodować tajemnicę to dziś marzenie ściętej głowy. Kto do niego aspiruje? Otóż nikt i jeszcze raz nikt. Stąd, być może, za byle sekretem ciągną się takie stada sekretożerców i faktoplujków. Dżentelmen, choćby cierpiał na straszliwy deficyt tajemniczości w życiu osobistym, cudzych cieni nie tropi. A gdy przypadkiem w jakiś wdępnie, nie nęka tym odkryciem wszystkich dookoła. Daruje sobie pastwienie się w postach metodą aluzyjki do aluzyjki. Nie traci czasu na tworzenie bezimiennych dzieł na forach, a już zwłaszcza na stanie „zycliwej” korespondencji właścicielowi tajemnicy i osobom powiązanym. Dżentelmen ma do tajemnicy stosunek pragmatyczny. Jeśli trafiła mu się taka, co sama aż się prosi na świat, płodzi wówczas bestseller typu: „Ostatnie tango w negliżu”. Tą metodą na cudzym cieniu dorabia się blasku i chwały... a nie chały. → Ula Ryciak



Marek Raczkowski

FILUTER

**77** Kobieta może uczynić tego mężczyznę tylko miliarderm. Danny Kaye



LEVAREN



**Kociak tygodnia:** Kasia Lins, 22 lata – wokalistka, pianistka i kompozytorka, której autorski album ukaze się w połowie tego roku. Praca nad płytą miała miejsce w legendarnym Ocean Way Nashville Studio we współpracy z amerykańskim zespołem Tower of Power. Fot. Sonia Szóstak

**Lista 500**  
**Sukces to rzecz osobista.**  
**Dowiedz się czym tak naprawdę jest dla największych polskich przedsiębiorców**



**NOWY NUMER**  
**już w sprzedaży**

Czytaj m.in.:

**Relikwie na sprzedaż**

Pamiętki po gwiazdach kosztują majątek

**Garnitur szyty na miarę**

Oto tajna broń współczesnego biznesmena

**Marissa Mayer**

Uratowała Google. Zarabia miliony dla Yahoo!

**SUKCES. MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH**

www.sukcesmagazyn.pl



**KRK**

**Jacek Majchrowski**  
Prezydent Miasta Krakowa  
zaprasza



**OFF plus  camERA**

INTERNATIONAL FESTIVAL  
OF INDEPENDENT CINEMA

**12-21.04.2013**  
**KRAKÓW**



znajdź nas na:



[www.offpluscamera.com](http://www.offpluscamera.com)

Sponsor tytularny:



Sponsrzy główni:



Mecenas:



Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego  
Dofinansowano ze środków  
Ministra Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy:



Patroni medialni:



Współorganizatorzy:

